



Bohaterowie Września '39
Dodatek specjalny o wojnie
Polski z Niemcami

Śmierć w wodach Elstery
Tajemnica księcia Józefa
Poniatowskiego

Historia alternatywna
Co by było, gdyby Adolf Hitler
wygrał wojnę?

NR 9(103)/2021 WRZESIEŃ 2021

CENA 9,90 Zł (w tym 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO



DO RZECZY HISTORIA

Numeru 296 031



Kolaboracja na Podhalu
ZDRADA
GORALENVOLK



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021



PARTNER
STRATEGICZNY



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Piotr Włoczyk

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne:

Wojciech Niedziółko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: Edyta Bortnowska,

Przemysław Traczyk

Korekta: Anna Zalewska, Marzena Dobosz

Okładka: NAC/Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem:

Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media
SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Nowakowska, Monika Doros

tel.: 539 953 631, 508 040 664

prenumerata@pmpg.pl

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaję egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na

adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub

kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi

Klienta pod numerem: 801 800 803

lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń

ani nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze

rozpowszechnianie materiałów opublikowanych

w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest

zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku

chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa

zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu

tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki

licencjonowania materiałów prasowych na www.

dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Tatry, 1928 r.

Uczestnicy drugiego konkursu bryndzarskiego na Hali Tomanowej



Od redaktora /  Piotr Zychowicz

Terror w Zakopanem

Goralenvolk to jeden z najbardziej kontrowersyjnych i bolesnych epizodów polskiej historii drugiej wojny światowej. Oto grupa wpływowych górali – krótko po upadku Rzeczypospolitej – podjęła kolaborację z okupantem niemieckim. Na czele akcji stanął popularny na Podhalu przywódca góralski Wacław Krzeptowski.

Pal sześć, gdyby skończyło się na współpracy ograniczonej do ratowania substancji biologicznej i poprawy sytuacji materialnej górali. To jeszcze można byłoby zrozumieć. Problem w tym, że Krzeptowski i jego stronnicy posunęli się znacznie dalej. „Wacek” – jak nazywano go powszechnie w Zakopanem – publicznie wychwalał „niemieckie wyzwolenie górali spod polskiego jarzma”.

Ideolodzy Goralenvolku chcieli wyodrębnić naród góralski z narodu polskiego. To była już postawa renegacka. Granice zostały przekroczone. Cała sprawa miała o tyle paskudny posmak, że – wbrew temu, co twierdził „Wacek” – górale w II RP wcale nie byli gnębieni. Wprost przeciwnie, społeczność ta była przed wojną hołubiona. Dla Polaków

Goralenvolk był więc wielkim zawodem.

W 1943 r. pojawiły się nawet pomysły, aby stworzyć góralski legion Waffen-SS. Akcja ta zakończyła się fiaskiem i kompromitacją twórców Goralenvolku. Młodzi górale nie mieli najmniejszego zamiaru umierać za Führera.

Wielkim błędem byłoby bowiem oceniać wszystkich górali przez pryzmat Goralenvolku. Zdecydowana większość mieszkańców Podhala zachowywała się lojalnie wobec Polski. W Tatrach działała rozgałęziona niepodległościowa siatka konspiracyjna. Wielu górali za swoją patriotyczną postawę zapłaciło najwyższą cenę.

W hotelu Palace w Zakopanem działała potworna katownia gestapo. Niemcy dokonali egzekucji, puszczali góralskie wioski z dymem, wywozili ludzi na roboty do Rzeszy. Podhale nie uniknęło terroru okupanta.

Górale podczas wojny zdali więc egzamin z przyzwoitości. Akcja „Goralenvolk” była bardzo nagięta przez niemiecki aparat propagandowy, ale – podkreślmy to jeszcze raz – na Podhalu poparła ją zdecydowana mniejszość ludności. © ©

/ WRZESIEŃ '39



.22 MARIAN SŁOWIŃSKI

**Walczyłem
we Wrześniu '39**.26 MACIEJ ROSALAK
Honor bohatera.30 MAREK GAŁĘZOWSKI
**Stolica:
bój do ostatniej godziny**

/ CZASY I LUDZIE

.34 SŁAWOMIR
KOPER
**Książę Józef
pod Lipskiem**.38 JAKUB
OSTROMECKI
**„Krzyżacy”
wedle
Gomułki**.43 MIKOŁAJ IWANOW
Nasi dąbrowszczacy.46 ARKADIUSZ
KARBOWIAK
Albania w ogniu.50 MARTIN DUGARD
**Tajemnica zaginięcia
Livingstone'a**.54 PIOTR ZYCHOWICZ
Ucieczka z Vaterlandu.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Środek na komary

/ TEMAT NUMERU

.06 WOJCIECH SZATKOWSKI

**Zdrada
na Podhalu**.10 TOMASZ STAŃCZYK
**Krótką karierą „góralskiego
księcia”**.14 FOTOREPORTAŻ
Zakopane pod okupacją.18 PIOTR ZYCHOWICZ
Góralski legion Waffen-SS

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
**Wojna
Stanisława
Rembeka**

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK

**Wojna
o kosmos**.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Targowisko krzywd.69 PIOTR SEMKA
**Sadowa
– bitwa nasza i nie nasza**.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
25 lat LTW

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK

**Strażnicy
polskości**/ BATALIE
I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

**Kres Galów pod
Aleją**

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Powrót arrasów**



Wydawnictwo IPN poleca

Do zobaczenia!

-  **9–12 września**
Warszawskie Targi Książki
-  **23–26 września**
Targi Wydawców Katolickich



Wizyta generalnego gubernatora
w Zakopanem, listopad 1939 r. FOT. NAC

Wywiad

Z Wojciechem Szatkowskim, autorem
książki „Goralenvolk. Historia zdrady”



rozmawia Piotr Zychowicz

Zdrada na Podhalu

PIOTR ZYCHOWICZ: Kto się do kogo zgłosił?
Niemcy do górali czy górale do Niemców?

WOJCIECH SZATKOWSKI: To nie była inicjatywa góralska, to była inicjatywa niemiecka. Już przed wojną Niemcy prowadzili w Zakopanem działalność wywiadowczą. Zwrócili uwagę na górali i spenetrowali to środowisko za pomocą swoich agentów. Jednym z nich był szpieg Abwehry Witalis Wieder. Niemcy wytypowali ludzi, którzy mogliby z nimi w przyszłości współpracować. O tym, że pomysł powołania Goralenvolku wyszedł od strony okupanta, świadczą dokumenty generalnego gubernatora Hansa Franka oraz Heinricha Himmlera. Obaj podczas okupacji odwiedzali Zakopane i obaj byli entuzjastami Goralenvolku.

Po co Niemcom byli do szczęścia akurat górale? To w końcu niewielka społeczność.

Górale w okresie międzywojennym byli bardzo popularni. Zakopane stało się letnią, a potem zimową stolicą Polski. Zjeżdżali tu politycy, oficerowie, artyści, dziennikarze, gwiazdy kina i estrady. Elita

Niemiecki okupant chciał wbić klin między Polaków. Dlatego postanowił powołać do życia naród góralski

II RP. Kultura góralska, folklor – wszystko to było niezwykle modne. Cała Polska śledziła zakopiańskie zawody narciarskie. I nagle ci sami górale – mówiąc brutalnie – wchodzą w dupę Niemcom.

Dla Polaków to musiał być szok.

Oczywiście. Niemcom chodziło o to, żeby wbić klin między Polaków. Skłócić podbity naród, podzielić go na wiele mniejszych nacji. Zgodnie ze starą rzymską zasadą divide et impera – dziel i rządź. Niemcy chcieli pokazać, że górale wcale nie są Polakami, że mają germańskie korzenie. Aby to udowodnić, zmobilizowali pseudonaukowców, takich jak dr Anton Plügel, Erhard Riemann czy Hans Joachim Beyer. I oni pisali różne bzdury. Z faktu, że górale mają własną kulturę, stroje, wyciągali niedorzeczne wnioski.

Podobno uznali, że górale są potomkami Gotów.

(śmiech) Dokładnie. W pewnym momencie na Podhalu przyjechali nawet naukowcy z krakowskiego Instytut Niemieckich Prac na Wschodzie. Przeprowadzili badania antropologiczne. Mierzyli obwody czaszek góralskich dzieci, długość kończyn. Szukali u górali aryjskich cech rasowych, takich jak niebieskie oczy czy blond włosy. Krótko mówiąc: nauka w służbie ideologii.

Kto z polskiej strony grał główne skrzypce w tej aferze? Przedstawiciele znanych rodów góralskich czy może „cepy”, czyli polscy intelektualści, którzy osiedlili się na Podhalu, ludzie tacy jak dr Henryk Szatkowski?

Szefem Goralenvolk był Wacław Krzeptowski. Góral. Nie ulega jednak wątpliwości, że dużo większą winę od

Wacka Krzeptowskiego ponosi mój dziadek Henryk Szatkowski. To Szatkowski – zwany popularnie „Dzidkiem” – przygotował intelektualną podbudowę dla Goralenvolku. Krzeptowski był oczywiście na Podhalu ważną figurą, ale Niemcy traktowali go instrumentalnie. Nazywali go „góraliskim Führerem” i „góraliskim księciem”, ale za plecami się z niego podśmiewali. Krzeptowski był twarzą Goralenvolku, ale mózgiem był Szatkowski.

Dodajmy – postać przed wojną bardzo zasłużona. Legionista Piłsudskiego, ranny w sztyję w trakcie walk z Moskalami...

... a potem działacz patriotyczny na Podhalu. Angażował się w wiele inicjatyw Polskiego Związku Narciarskiego, w budowę kolejki na Kasprowy Wierch. W rodzinie mówi się, że „Dzidek” miał dwa oblicza. Zapisał dwie karty. Pierwszą, chlubną – przed wojną. Drugą, niechlubną – w trakcie wojny.

Czyli z jednej strony mamy Niemców. Z drugiej strony polskiego intelektualistę Henryka Szatkowskiego. Z trzeciej rozsadanego ambicjami „góralskiego księcia” Wacława Krzeptowskiego. A zwykli górale?

Oni w dużej mierze zostali w to wmanewrowani. Wielu z tych ludzi nie potrafiło pisać i czytać. Byli bardzo ubodzy. Przede wszystkim chcieli przetrwać wojnę, przezimować okupację. Właśnie dlatego wielu z nich wystąpiło o góralskie kenkarty z literą „G”. W niektórych podhalańskich wioskach w ogóle nie było zresztą możliwości pobrania polskich kenkart. W innych działacze Goralenvolku stosowali różnego typu naciski. Mieszanie groźb i obietnic. Wielu ludzi weszło w posiadanie kenkart „G” wbrew własnej woli. Po prostu bali się niemieckich represji. Zrobili to dla świętego spokoju.

Co dawały kenkarty góralskie?

Nic. Ich posiadacze nie byli traktowani lepiej niż Polacy. Liczba kenkart góralskich miała być rodzajem testu popularności Goralenvolku wśród mieszkańców Podhala. Wiadomo, że wielu górali pisało do Komitetu Góralskiego podania o przyznanie im kenkart polskich. W jednej z wiosek doszło do incydentu, który dobrze obrazuje stosunek ludności do Goralenvolku. Pewien góral zgłosił się do Komitetu po kenkartę polską, ale urzędnik chciał mu na siłę wcisnąć

kenkartę „G”. „Masz białą koszulę, spinę i portki góralskie – powiedział. – Czyli jesteś góralem”. Na co ten góral odpowiedział: „No tak, ale to co mam w portkach mam już polskie”.

(śmiej) To ilu ludzi przyjęło kenkarty góralskie?

Około 27–30 tys. Czyli 18 proc. ludności Podhala.

To niewiele.

Niewiele. Zdecydowana większość górali zachowała się lojalnie wobec państwa polskiego. Zresztą – podkreślam jeszcze raz – wielu ludzi, którzy dostali kenkartę „G”, nie miało na to wpływu. Liczbę realnych kolaborantów oceniam na kilkaset osób.

Jaka była motywacja tych ludzi? Jakie były ich kalkulacje. Bo – tu wystąpię w roli adwokata diabła – Goralenvolk miał też swoje osiągnięcia. Góraliska szkoła, góraliska drużyna sportowa, działania na rzecz kultury, akcja charytatywna...

Szczególnie to ostatnie było kluczowe. W trakcie okupacji sytuacja żywnościowa na Podhalu była

tragiczna. Działacze Goralenvolku zorganizowali kilkanaście kuchni ludowych, z których dożywiali górali. Załatwiali pomoc lekarską, sprowadzali z Krakowa medykamenty. Niemcy co miesiąc przekazywali na te cele spore środki. Goralenvolk pomagał również pogorzelcom. Wszystko to było oczywiście możliwe dzięki współpracy z okupantem. Jest jednak również druga, nieprzyjemna strona działalności Goralenvolku. Otóż Krzeptowski i cała wierchuszka Komitetu czerpali ze swojej działalności pokaźne zyski. Wacek miał doskonale prosperujący sklep. To – w trakcie okupacji – byli bez wątpienia bardzo uprzywilejowani ludzie.

Z pańskiej książki wynika, że Krzeptowski był przekonany o wszechmocy Niemiec. O tym, że Wehrmacht jest niezwycięzony i Polskę czeka kolejne 100 lat rozbiorów. A co za tym idzie – trzeba się jakoś w tej sytuacji odnaleźć.

Myślę, że Wacek wierzył, że tworząc Goralenvolk, uratuje góralczyznę. On wiedział, że Niemcy chcą wymordować polską inteligencję, sterroryzować naród. I miał nadzieję, że w zamian za lojalną



■ współpracę – represje na Podhalu będą słabsze. Trzeba przyznać, że miał na tym polu pewne osiągnięcia. Wyciągnął na przykład ze stałagów ok. 1 tys. młodych górali, którzy dostali się do niemieckiej niewoli w trakcie kampanii 1939 r. Był tragiczną postacią.

Jego rachuby chyba jednak zawiodły. Podhale nie uniknęło terroru. W willi „Palace” działała straszliwa katownia Gestapo. Niemcy spacyfikowali szereg góralskich wsi, na ulicach Zakopanego organizowali łapanki. Wielu mieszkańców Podhala trafiło na roboty do Rzeszy. Czy Goralenvolk miał coś z tym wspólnego?

Ludzie opowiadali po wojnie, że działacze Goralenvolku wydawali ludzi Niemcom. Dzisiaj trudno te opowieści zweryfikować. Jedno można jednak powiedzieć na pewno – ludzie niewygodni dla Goralenvolku znikali z Podhala. Czytałem tajne dyrektywy Himmlera, który bez ogródek pisał, że tych górali, którzy się nie podporządkują, należy bezwzględnie wyrzucić. Myślę, że gdyby Krzeptowski znał te dokumenty, nie zaangażował by się w tak daleko idącą współpracę. Nawiasem mówiąc ród Krzeptowskich był bardzo rozgałęziony i ciekawy. Dalszy kuzyn Wacka – Józef Krzeptowski – dokonał innego wyboru. Został jednym ze słynnych kurierów tatrzańskich ZWZ/AK. Kilkadziesiąt razy przechodził przez Tatry z tajną pocztą i ludźmi. Był bohaterem.

Dodajmy, że Wacław wiedział o jego działalności i nie wydał go gestapo.

To jednak była bardzo bliska rodzina. Nie mogłyby czegoś takiego zrobić. Wacek wiedział sporo o działalności kurierów i konspiracji na Podhalu, trzymał język za zębami.

Jak przebiegała akcja „Goralenvolk”?

Wszystko zaczęło się od góralskiej pielgrzymki do Częstochowy w październiku 1939 r. Władze okupacyjne podstawily do Zakopanego pociąg dla pielgrzymów. W ten sposób górale mogli przekonać się na własne oczy, że Niemcy nie zniszczyli Jasnej Góry. Gadzinową prasę obieżyły zdjęcia górali zgromadzonych przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Potem był 7 listopada 1939 r. i hołd wawelski.

Na Wawel do Franka przybyła góralska delegacja. Mężczyźni i kobiety



**WOJCIECH SZATKOWSKI
„GORALENVOLK. HISTORIA
ZDRADY”**

KANON

w ludowych strojach. Na czele oczywiście Wacek. Górale wręczyli Frankowi ciupagę i zapewnili o swojej lojalności. Krzeptowski zaproponował, że stworzy dla gubernatora góralską straż przyboczną. I rzeczywiście kilku młodych górali trafiło na Wawel, gdzie pełnili wartę honorową w strojach góralskich.

A potem nastąpiła rewizyta.

Tak, Hans Frank ze swoją świtą zajeżdżał z pompą do Zakopanego. Górale witali go na Bahnhofstrasse, czyli dzisiejszej ulicy Kościuszki. Na zdjęciach widać Krzeptowskiego, Szatkowskiego – ma na głowie tyrolski kapelusik – i innych liderów Goralenvolku. Wtedy właśnie z ust Wacka padły straszne słowa: „Przez 20 lat cierpieliśmy pod naporem narodu polskiego, ale teraz wreszcie wróciliśmy pod skrzydła narodu niemieckiego”. To było straszne.

Wkrótce pański dziadek złożył Frankowi memoriał. Co w nim było?

Henryk Szatkowski z wykształcenia był prawnikiem. I w memoriale znalazł się postulat, żeby prawnie wyodrębnić naród góralski z narodu polskiego. A także – wiele pomysłów na to, jak poprawić byt mieszkańców Podhala. W memoriale znalazły się również wątki antysemickie. Tu trzeba wspomnieć, że w trakcie okupacji Niemcy wymordowali 99 proc. zakopiańskich Żydów. I tu ciekawy wątek: 24 Żydów otrzymało od Komitetu Góralskiego kenkarty z literą „G”. Dzięki nim przetrwali wojnę. Na powojennym procesie ludzie ci zeznawali na korzyść jednego z czołowych działaczy Goralenvolku Józefa Cukiera.

To pokazuje, że ta historia nie jest zero-jedynkowa.

Oczywiście. Swoją książkę nazwałem „Goralenvolk. Historia zdrady”. Bo przywódcy Goralenvolku bez wątpienia byli zdrajcami. Staram się jednak nie ferować łatwych wyroków. Nie potępiać zwykłych ludzi zaangażowanych w tę sprawę. Oni znajdowali się w tragicznej sytuacji. Chcieli przeżyć wojnę. Stali przed dramatycznymi wyborami, których my dziś nie jesteśmy w stanie zrozu-

mieć. W książce próbuję więc przede wszystkim wytłumaczyć, jak to się mogło zdarzyć. A nie miotać oskarżenia.

Jak Goralenvolk był zorganizowany?

Niemcy utworzyli Komitet Góralski. Na jego czele stanął Wacław Krzeptowski, jego zastępcą był Józef Cukier. Był to rodzaj góralskiego rządu. Jego siedziba mieściła się w budynku przy ul. Kościuszki 2 w Zakopanem. Do tego było kilkanaście delegatur na terenie Podhala. Czarny Dunajec, Rabka, Kościelisko, Szczawnica. Zasięg akcji był więc spory.

Najbardziej kontrowersyjną sprawą była próba stworzenia góralskiego legionu Waffen-SS. Chociaż to chyba należy traktować w kategoriach czarnej komedii.

Niemcy oczekiwali od górali, że bardziej się zaangażują. Stąd pomysł stworzenia tej jednostki. Komitet Góralski zorganizował akcję werbunkową. Ostatecznie zgłosiło się ok. 200 „ochotników”. Wysłano ich do obozu szkoleniowego w Trawninkach, ale po drodze niemal wszyscy uciekli. Ci, którzy zostali, pobili się z ukraińskimi poborowymi. Z całego legionu zostało... 10 górali. Jeden z Niemców podsumował całą akcję krótko: „Chyba będziemy musieli sobie poradzić na tej wojnie bez górali”. Oczywiście nie było mowy o tym, żeby na Podhalu powstało coś w stylu ukraińskiej Dywizji Waffen-SS „Hałyczyna”.

Jaka była reakcja polskiego podziemia na Goralenvolk?

Na Podhalu istniały struktury ZWZ/AK. Powstała tak zwana Konfederacja Tatrzańska. Pomysł był taki, że górale muszą sami zmyać hańbę Goralenvolku. Krzeptowski dostał zaocznie wyrok śmierci. Przez pierwsze lata okupacji nie podejmowano jednak poważniejszych prób likwidacji czołowych działaczy Komitetu. Obawiano się bowiem, że w odwecie Niemcy utopiać Podhale we krwi. Wiem tylko o jednej niedosłej próbie zamachu na Krzeptowskiego. W 1940 r. grupa żołnierzy ZWZ przyjechała do Zakopanego z zamiarem zasztytowania Wacka, ale ich dowódca złamał nogę w Tatrach i cała akcja spaliła na panewce.

Z czasem jednak AK energiczniej przystąpiła do akcji.



Tak, to już było pod koniec wojny. Wtedy rzeczywiście wykonano wyrok na wielu ludziach związanych z okupantem i Goralenvolkem. Donosicielach, osobach, które szkodziły Polakom. Był to już okres, gdy entuzjazm do współpracy z Niemcami wśród górali drastycznie spadł. W lutym 1943 r. nastąpiła klęska pod Stalingradem, potem alianci Zachodni wylądowali w Normandii. Jasne się stało, że Niemcy przegrają.

Co wtedy zrobił Krzeptowski?

Gdy Niemcy – w obliczu klęski – zaczęli coraz bardziej na niego naciskać i żądać większego zaangażowania, Wacek uciekł w góry. W ten sposób współpraca między góralami a Niemcami została zerwana. Krzeptowski razem z najbliższymi współpracownikami zaszył się w chacie w niedostępnej części Tatr. Ale ponieważ zima była śnieżna, zszedł w końcu do swojego brata do Kościeliska. Tam schwytali go partyzanci AK z oddziału „Kurniawa”. 20 stycznia 1945 r. powiesili Wacka na świerku na pograniczu Zakopanego i Kościeliska.

I w ten sposób wypełniła się przepowiednia. Już na początku okupacji ktoś miał powiedzieć Krzeptowskiemu: „Oj, Wacek, będziesz wisiał”.

Rozmawiałem na ten temat z wieloma przedstawicielami rodu Krzeptowskich. Moja prababka była zresztą z domu Krzeptowska. Wszyscy mieli żal, że Wacława zabito w takim pośpiechu. Nie dano mu szansy obrony. Jako historyk też bardzo żałuję, że nie został przesłuchany, że nie dano mu opowiedzieć własnej wersji Goralenvolku. Najwyraźniej wiedział za dużo, był niebezpieczny i chciano się go szybko pozbyć.

A co się stało z Henrykiem Szatkowskim?

Uciekł z Podhala. Podobno w przebraniu mnicha przedostał się do Włoch, gdzie został rozpoznany przez narciarza

z Zakopanego. Amerykańskie władze okupacyjne miały mu tam zorganizować proces. „Dzidek” ostatecznie trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie widziano go po raz ostatni w latach 60. Nie próbował kontaktować się z rodziną albo UB przechwytywała jego listy.

Władze komunistyczne również przeprowadziły swoje rozliczenia.

W latach 1945–1947 w Zakopanem odbyło się kilka procesów góralskich. Przed sądem postawiono wielu działaczy Komitetu Góralskiego. Większość uniewinniono, kilkunastu skazano. Między innymi Józefa Cukra – na 15 lat więzienia. Przeszedł gehennę w komunistycznych obozach, wkrótce po powrocie zmarł z wycieńczenia. Inny czołowy działacz Komitetu Stefan Krzeptowski – krewny Wacka – trafił do sowieckiego łagru na Syberię. Procesy góralskie skończyły się konkluzją prokuratury, że zwolennicy Goralenvolku stanowili na Podhalu zdecydowaną mniejszość. A większość górali podczas okupacji zachowała się godnie i przyzwoicie.

Wspomniane przez pana wcześniej statystyki potwierdzają tę ocenę.

Ta konkluzja była bardzo ważna. Bo Niemcy skutecznie zohydziili w oczach reszty Polaków górali. Gdy po wojnie górale w swoich strojach jeździli z produktami żywnościowymi do Krakowa – ludzie pluli im w twarz. To samo działo się w Warszawie. Doszło do tego, że górale wyjeżdżając z Podhala, musieli się przebić.

Warto wspomnieć słynnego „górala”, czyli banknot 500-złotowy wypuszczony przez bank Generalnego Gubernatorstwa.

W efekcie góralski strój kojarzył się ze zdradą. Nie wiadomo o kurierach tatrzańskich, o pięknej karcie, którą zapiął słynny narciarz Stanisław Marusarz. Jego siostra Helena Marusarzówna, która

wpadła i została zamordowana przez Niemców. Nie wiadomo o niemieckich mordach na Podhalu. A przecież akcja Goralenvolk spotkała się nawet ze sprzeciwem najbliższych członków rodzin jej organizatorów. Najlepszym przykładem jest moja babcia, Maria, żona Henryka Szatkowskiego, która zabrała dzieci i wyprowadziła się z domu. Nie chciała firmować akcji męża.

Historia Goralenvolku jest o tyle zaskakująca, że górale mają dzisiaj opinię superpatriotów. Na Podhalu wszędzie widać polskie flagi, wizerunki Jana Pawła II. Czy w trakcie pracy nad książką nie spotykał się pan z oporem. Głosami w stylu: „Po co się w tym babać? Było – minęło”. Czy nie napotkał pan na opór we własnej rodzinie?

Moja rodzina udzielała mi od samego początku wsparcia. Ojciec przeczytał książkę już w maszynopisie i uznał, że przedstawiłem Goralenvolk w sposób uczciwy. Jednak ze strony górali były również głosy niezadowolenia. Gdy miałem spotkanie autorskie w Wiedniu, tamtejsze środowisko góralskie zagroziło rozróbą. W efekcie organizatorzy przydzielili nam ochronę. Dwóch ludzi z bronią.

No cóż, górale znani są z krewkości, z tego, że łatwo łapią za ciupagi.

Myślę, że jakoś byśmy sobie poradzili. Zresztą pojechaliśmy później do góralskiej restauracji w Wiedniu, w której siedzieli ci ludzie i próbowaliśmy z nimi rozmawiać. Natrafiliśmy jednak na mur. Oni nie chcieli słuchać argumentów. Do dzisiaj są przekonani, że Armia Krajowa żywcem przerznęła Wacka na pół piłą do cięcia drewna. No cóż, to są wszystko bolesne, trudne sprawy. Ludzie nie lubią, gdy wywleka się je na światło dzienne. Najważniejsze, że górale – dzięki takim bohaterom jak Helena Marusarzówna – wyszli z tej całej historii z twarzą. Większość z nich nie zdradziła Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Szatkowski

jest historykiem, pracownikiem Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.



Tomasz Stańczyk

/ Wacława Krzeptowskiego doprowadziły do zdrady pycha i ambicja. Zapłacił za to życiem

Krzeptowscy to jeden z najznaczących i zasłużonych rodów góralskich z Zakopanego i Kościeliska, gałąź rodu Gąsieniców. Najbardziej znany jest Jan Krzeptowski, zwany Sabałą, legendarny muzyk i gawędziarz, towarzysz tatrzańskich wypraw Tytusa Chałubińskiego. Jan Krzeptowski Gąsienica był trzykrotnie wybierany na wójta Zakopanego. Stanisław Krzeptowski „Biały” był, jak Sabała, gawędziarzem, a także pisarzem ludowym. Jakub Krzeptowski Wawrytko budował szlak turystyczny Orlej Perci. Jan i Józef Krzeptowscy służyli w Legionach i byli odznaczeni Krzyżem Niepodległości. Adam Krzeptowski był filmowcem, reżyserem filmu fabularnego „Biały ślad” (1932 r.) oraz dokumentów „Z Tatr” i „Zima w Zakopanem”, Andrzej Krzeptowski (II) startował w zawodach narciarskich, brał udział w olimpiadzie w St. Moritz w 1928 r., był mistrzem Polski w biegu na 50 km. Przez wiele lat prowadził schronisko w Dolinie Pięciu Stawów. Józefa Krzeptowskiego nazywano „królem kurierów tatrzańskich”. Zenon Krzeptowski walczył podczas drugiej wojny światowej w polskim dywizjonie myśliwskim w Wielkiej Brytanii.

Latem 1938 r. odbył się w Zakopanem zjazd rodziny Krzeptowskich. Seniorem rodu był wówczas Wojciech Krzeptowski, dyrektor Banku Podhalańskiego, były sekretarz gminny i prezes Związku Górali. Rodzina jednogłośnie przyjęła wniosek o zasilenie Funduszu Obrony Narodowej, by dać dowód, „że tak jak przed laty [ród – przyp. T.S.] poszedł na bój w szeregach Legionów i w 1920 r. na zew szefa Rządu Obrony Narodowej złożył ofiarę krwi za wolność ojczyzny, tak i teraz jest gotów do ponoszenia ofiar”. Rok jeszcze miał upłynąć do wybuchu drugiej wojny światowej, ale atmosfera międzynarodowa stawała się coraz gęstsza i napięta. Czuł

FOT. MAC

1939–1945 / Zakopane i Podhale

Krótką karierą „góralskiego księcia”



ją dobrze Wojciech Krzeptowski, gdy mówił do zebranej rodziny: „To wyrobienie w sobie mocy potrzebne jest zwłaszcza dzisiaj, gdy czekają nas niewątpliwie ciężkie czasy, byśmy mogli utrzymać największy skarb, jakim jest wolność zdobyta w wolnej Polsce”.

Działacz ludowy

Słowem tym przysłuchiwał się Waclaw Krzeptowski. Chyba w każdej rodzinie, oprócz osób godnych szacunku i zasłużonych, są także czarne owce. I taką najczarniejszą owcą okazał się właśnie Waclaw Krzeptowski. Był w prostej linii potomkiem Sabały, urodził się w 1897 r. w Kościelisku. Piastował stanowisko wiceprzewodniczącego Związku Górali. Zaangażował się też w politykę. W 1931 r. został wybrany do Rady Naczelnej Stronnictwa Ludowego w powiecie nowotarskim, znał dobrze Wincentego Witosa. Gdy ten wybitny przywódca ludowy musiał udać się na emigrację polityczną, to m.in. Krzeptowski zapewniał mu kontakt z krajem. Podczas manifestacji chłopskiej w 1936 r. ku czci wójta Michała Pyrza, broniącego Nowosielec przed Tatarami, Krzeptowski w obecności marszałka Śmigłego-Rydza wznosił demonstracyjne okrzyk: „Niech żyje rząd chłopski z prezesem Witosem na czele!”.

„W okresie II Rzeczypospolitej Krzeptowski był postacią powszechnie szanowaną – pisał Wojciech Szatkowski. – I to nie tylko w Zakopanem i na Podhalu, lecz także w całym kraju. Miał zawsze wielkie ambicje, kierujące go w świat wielkiej polityki i uparcie dążył do tego, by je zrealizować. Niektórzy mówią, że na siłę i ponad miarę” (W. Szatkowski, „Goralenvolk. Historia zdrady”).

Ambicje i próżność Krzeptowskiego były znacznie większe niż jego niewielka inteligencja. I to właśnie wykorzystali Henryk Szatkowski i Witalis Wiedera. To właśnie oni, przybysze w Zakopanem, byli inspiratorami góralskiej kolaboracji, a nie sami górale. Poza tym Krzeptowski był bardzo zadłużony i we wrześniu 1939 r. miała się odbyć licytacja jego majątku. „Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Wiedera dowiedział się o kłopotach finansowych Krzeptowskiego i postanowił go tak wmanewrować we współpracę, by móc w okresie późniejszym szantażować



Waclaw Krzeptowski przemawia do uczestników zjazdu rodzinnego, sierpień 1938 r. FOT. NAC

przyszłego »góralskiego księcia« możliwością licytacji. Było to działanie bardzo sprytne i zabójczo skuteczne” – stwierdzał Szatkowski. Obietnica wstrzymania licytacji – dotrzymana – niewątpliwie wpłynęła na Krzeptowskiego. Dodatkowo Szatkowski i Wiedera przekonywali go, że III Rzesza jest niezwykła. Tak mogło się wydawać po przegranej kampanii wrześniowej. Upatrzony przez Szatkowskiego i Wiedera na przywódcę ludu – czy też raczej narodu góralskiego – Krzeptowski zgodził się na wyznaczoną przez nich rolę, w trosce, jak uważał, o los górali. To oczywiście najbardziej korzystna dla jego oceny wersja postępowania.

Nigdy wcześniej nie słyszał o tym, że górale to nie Polacy, lecz potomkowie Ostrogotów, a więc lud germański. Wiedera i Szatkowski mogli go przekonywać, że przecież to nie niemiecki, lecz polski profesor Włodzimierz Antoniewicz wskazał na podobieństwo góralskich spiniek z gockimi, z czego naukowiec wysnuł fałszywy wniosek o etnicznym pochodzeniu górali z germańskiego pnia.

Na czele komitetu

Pierwszym krokiem Waclawa Krzeptowskiego w stronę zdrady i kolaboracji było przyjęcie zaproszenia na udział w uroczystości objęcia władzy przez Hansa Franka, który został generalnym gubernatorem podbitych, a nie włączonych do Niemiec ziem polskich. Uroczystość wjazdu na Wawel, który stał się jego rezydencją, odbyła się 7 listopada 1939 r. Przybyła na nią kilkusobowa delegacja górali, a w jej składzie znaleźli się Waclaw Krzeptowski i jego później współpracownik Józef Cukier, były

prezes Związku Górali. 12 listopada Hans Frank pojechał do Zakopanego, by złożyć rewizytę Krzeptowskiemu, który witając generalnego gubernatora, uchylił przed nim kapelusza i powiedział, że górale byli uciskani przez władze polskie. Dwa tygodnie później Waclaw Krzeptowski stanął na czele Związku Górali (Goralenverein). Reaktywacja związku nastąpiła mimo burzliwych dyskusji. Łamała prawo, dekret prezydencki wydany w chwili wybuchu wojny zawieszając bowiem działalność wszelkich organizacji.

Goralenverein pod prezesurą Krzeptowskiego (jego zastępcą był Józef Cukier) zajmował się zaopatrzeniem w żywność ludności góralskiej. Wojna wpędziła wielu żyjących z turystyki w biedę, poza tym Podhale nie było samowystarczalne żywnościowo. Nic dziwnego, że – jak pisał Wojciech Szatkowski – w Krzeptowskim i Cukierze wielu mieszkańców Podhala widziało „mężów opatrnościowych”.

Waclaw Krzeptowski osobiście przekonywał działaczy ruchu ludowego do poparcia góralskiego separatyzmu. „Czy to zbieg okoliczności, że gestapo aresztowało tych, którzy odmówili współpracy?” – pytał retorycznie Wojciech Szatkowski. Jednak wiadomo też, że Krzeptowski skutecznie interweniował w obronie aresztowanych górali. „Nikogo nie wsypał, nikogo nie sprzedał Niemcom. A są na to dowody, kiedy i kogo wyciągnął z gestapo” – stwierdzał Józef Uznański ze znanej rodziny podhalańskiej (B. Kuraś, P. Smoleński, „Krzyżak niespodziany. Czas Goralenvolk”). Krzeptowski uzyskał zwolnienie ponad 100 górali ze stalagów, przyczynił się do zwolnienia z obozu koncentracyjnego malarza i scenografa Andrzeja Stopki, ■



Wacław Krzeptowski wita Hansa Franka w Zakopanem, listopad 1939 r. FOT. NAC

■ ostrzegł przed aresztowaniem Włodzimierza Wnuka, znanego po wojnie pisarza, a także swego kuzyna Józefa Krzeptowskiego, kuriera Polskiego Państwa Podziemnego.

W lutym 1942 r. powołano Komitet Góralski, rodzaj samorządu. Na jego czele stanął Wacław Krzeptowski, u swojego boku miał nadal Józefa Cukra, jako zastępcę. Wacław nie był jedynym Krzeptowskim w Komitecie Góralskim. Szefem delegatury w Zakopanem był Andrzej Krzeptowski (I), wielokrotny mistrz Polski w narciarstwie i uczestnik dwóch olimpiad, podczas okupacji prowadził sklep o nazwie Spółka Handlowa. „Wychodziła naprzeciw palącym problemom panującego głodu i nędzy na Podhalu” – stwierdzał Wojciech Szatkowski.

Góralska karta

Komitet pod prezesurą Krzeptowskiego zajmował się pomocą materialną dla górali i nie tylko dla tych, którzy byli z nim związani. Krzeptowskiemu chodziło bowiem o zjednanie (przekupienie) jak najszerzego grona rodzimych mieszkańców Podhala. Jednak Wacław Krzeptowski, nawet gdyby chciał, nie mógł ograniczyć się jedynie do działalności dobroczynnej. Raz zadeklarowawszy, zgodnie z planami niemieckimi, że górale stanowią odrębny naród, nie miał wyboru. Pod dyktando niemieckie musiał firmować akcję przyjmowania przez górali specjalnej góralskiej kenkarty z literą „G”.

Od powodzenia tej akcji zależała jego pozycja wobec Niemców i prezes Komitetu Góralskiego zaangażował się w nią

bardzo mocno. Oświadczał delegatom komitetu: „Celem uchronienia ludności od narażania się na karę upraszamy uprzejmie o przedstawienie ujemnych następstw niepodpisania w terminie kart rozpoznawczych. Zaznaczam, że dla ludności góralskiej, urodzonej w powiecie nowotarskim muszą być wydane karty z literą »G«” (W. Szatkowski, „Gorale-nvolk. Historia zdrady”).

Stosowano przymus psychiczny, grożono wywiezieniem z Podhala, skierowaniem na roboty do Niemiec, aresztowaniem, a nawet osadzeniem w obozie koncentracyjnym. Zdarzało się bicie opornych. Krzeptowski groził, że kto nie weźmie karty góralskiej, ten „20 kg pod pachę i wio z Podhala” (W. Szatkowski, „Goralenvolk...”).

Rzeczywiście, były wysiedlenia i aresztowania części opornych. W Komitecie Góralskim – co najmniej za wiedzą Krzeptowskiego – fałszowano podania o wydanie kart polskich, przerabiając je na karty góralskie lub – gdy osoby składające podanie pisały w nim jednocześnie „Góral” i „Polak” – wymazywano to ostatnie słowo. Henryk Jost, mieszkaniec Zakopanego, autor książki o dziejach miasta w latach niemieckiej okupacji, stwierdzał stanowczo, że posiadanie karty z literą „G” nie dawało żadnych przywilejów. Brano te karty ze strachu, nie dla korzyści.

Akcja wydawania kart góralskich skończyła się niepowodzeniem, przyjęło ją bowiem w powiecie nowotarskim ok. 18 proc. mieszkańców, w Zakopanem – 23 proc., a na całym Podhalu prawdopodobnie ok. jednej czwartej górali. Nie był to jednak akt kolaboracji. Rzeczywistymi kolaborantami byli jedynie działa-

cze i pracownicy Komitetu Góralskiego, razem może 300 osób. W 1945 r. Mieczysław Wionczek pisał w tygodniku „Odrodzenie”, że te 300 osób to 2 proc. ludności Podhala i zwracał uwagę, że „w wojennej Warszawie znalazło się więcej kanalii niż 2 proc. i więcej niż 2 tys. warszawiaków należałoby od czci odsądzić”.

Kolejną konsekwencją zadeklarowania przez Krzeptowskiego, że górale to inny naród niż Polacy, był jego udział, wraz z innymi działaczami Komitetu Góralskiego, w próbie zmontowania Legionu Góralskiego SS, w 1943 r. Była to spektakularna porażka. Obiecywano sutę żołąd i zwolnienie od wyjazdu na roboty do Niemiec. Znalazło się 300 chętnych, z których do służby zakwalifikowano połowę, część z nich uciekła z pociągu wiozącego ich do obozu szkoleniowego w Trawninkach lub z samego obozu, część odmówiła służby. Tak że chętnych zostało kilku lub kilkunastu. Na tym skończyła się polityczna kolaboracja Komitetu Góralskiego. Nie miała ona charakteru ideowego. Ani Krzeptowski, ani jego najbliżsi współpracownicy nie byli przecież faszystami, sympatykami narodowego socjalizmu, a można mocno wątpić w to, że wierzyli, iż są potomkami Ostrogotów.

Zdrada i kolaboracja Wacława Krzeptowskiego nie ulega wątpliwości. Jednak działalność kierowanego przez niego Komitetu Góralskiego nie miała jedynie na celu realizacji interesów niemieckich. Działalność komitetu to także dość rozbudowana pomoc żywnościowa i materialna dla górali znajdujących się w ciężkich warunkach bytowych.

Sąd ZWZ-AK wydał na Krzeptowskiego wyrok śmierci już w 1940 lub w 1942 r. Jednak wykonano go dopiero w lutym 1945 r. Tłumaczono to tym, że trudno było zlikwidować prezesa Komitetu Góralskiego w Zakopanem zamienionym na kurort i lecznicę dla żołnierzy Wehrmachtu w związku z obawami przed niemieckimi represjami. Krzeptowski zerwał z Niemcami latem 1944 r. Zniknął z Zakopanego. Został jednak wytropiony w górach i powieszony w lutym 1945 r. w Kościelisku przez żołnierzy plutonu dywersyjnego „Kurniawa” oddziału „Chełm” Armii Krajowej. Zanim wykonano wyrok, napisał oświadczenie, że zapisuje swój majątek na rzecz tego oddziału jako rekompensatę za krzywdę, którą wyrządził Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
W. POLAK, S. GALIJ-SKARBIŃSKA

**„ZBRODNIA I GRABIEŻ.
JAK NIEMCY TUSZUJĄ PRAWDĘ O SOBIE”**

DRAMATYCZNA PANORAMA TRUDNYCH RELACJI POLSKO-NIEMIECKICH PO 1939 R.

Książka opowiada o ludobójstwie dokonanym przez III Rzeszę, kiedy Niemcy podczas II wojny światowej dokonali nieprawdopodobnych zbrodni wobec Polaków: wymordowali ponad 5 milionów 200 tysięcy naszych obywateli, wywozili masowo naszych rodziców i dziadków na roboty przymusowe w głąb Rzeszy, terroryzowali i poniżali Polaków, więzili ich i torturowali w obozach koncentracyjnych i gestapowskich oraz policyjnych kazamatach, zniszczyli setki polskich miast i tysiące wsi, zrabowali nasze skarby narodowe, dzieła sztuki, aktywa bankowe, zakłady przemysłowe, wywieźli do Rzeszy w celu zniemczenia 200 tysięcy polskich dzieci, celowo spalili wiele polskich zabytków, skarbów kultury, największe archiwa i biblioteki.

Te zbrodnie nigdy nie zostały odpowiednio ukarane. O owym braku kary i sprawiedliwości również opowiada ta książka, a ponadto opisane są dzisiejsze relacje polsko-niemieckie. Są one złe i to wyłącznie z winy naszego sąsiada zza Odry. W ostatnich dziesięcioleciach polityka Republiki Federalnej Niemiec wobec wolnej już Polski była bowiem bezwzględna i cyniczna.

101 zł

oszczędność 90 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

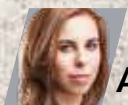
JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.



Fotoreportaż / Niemcy w stolicy polskich Tatr

Zakopane pod okupacją



Anna Herbich

/ Za dnia niemieccy żołnierze jeździli na nartach i odpoczywali na Krupówkach. Nocami gestapo katowało ludzi w hotelu Palace

Niemieckie władze okupacyjne zamieniły Zakopane w kurort dla niemieckich żołnierzy urlopowanych z frontu. Żołnierze Wehrmachtu,

marynarze i lotnicy mogli korzystać z pięknych narciarskich stoków, odpoczywać w licznych – zarekwirowanych obywatelom polskim – pensjonatach i hotelach. Poznawać góralski folklor

i raczyć się specjałami miejscowej kuchni. Częstym gościem w Zakopanem był Hans Frank, który ukończył w miasteczku kurs narciarski. Zakopane tylko na pozór było jednak sielanką. Jednocześnie

Niektóre białe niedźwiedzie z Zakopanego nie odmawiały zdjęć z Niemcami FOT. FOKA/FORUM



Górale na robotach w Niemczech FOT. BUNDESARCHIV BILD

Dekoracja podczas niemieckiej konferencji poświęconej rolnictwu FOT. NAC



okupant dokonywał okrutnych represji wymierzonych w miejscową ludność. Niemcy dokonywali egzekucji i wywózek na roboty do Rzeszy. SS zgładziła społeczność podhalańskich Żydów. ©©



Występ taneczny dla Niemców

FOT. NAC



U góralskiego twórcy ludowego

FOT. NAC



Zakopane było miejscem rekreacji i sportu dla niemieckich wojskowych

FOT. NAC





Haus Schlesien, dom wypoczynkowy dla niemieckich lotników FOT. NAC

REKLAMA

Seria

HISTORYCZNE BITWY

*wydawana
od 1980 roku*

BELLONA





Piotr Zychowicz

/ Niemcy chcieli wysłać górali na front wschodni. Projekt stworzenia legionu zakończył się spektakularnym fiaskiem

To był osobliwy przemarsz. Najpierw Krupówkami, a potem w stronę dworca kolejowego w Zakopanem. Około 200, pijanych w sztok, młodych górali maszerowało w eskorcie niemieckich żołnierzy. Na peronie czekał pociąg specjalny, do którego zapakowało się upojone wódką towarzystwo. I w akompaniamencie chóralnych śpiewów odjechało na wschód.

W ten sposób wyglądał wyjazd „ochotników” z Podhala do góralskiego legionu Waffen-SS. Młodzi ludzie w styczniu 1943 r. trafili do obozu w Trawnikach na Lubelszczyźnie, gdzie mieli przejść wszechstronne szkolenie wojskowe. Następnie jednostka miała zostać wysłana na front wschodni, aby – jak głosiła propaganda – u boku niemieckich towarzyszy broni walczyć z hydrą bolszewizmu. Za Podhale, Rzeszę i Europę! No i oczywiście za Führera.

Kłopoty zaczęły się już wkrótce po odjeździe. Gdy tylko pierwsi górale nieco wytrzeźwili – zaczęli uciekać. Ku przerażeniu niemieckich podoficerów z eskorty, na każdej stacji i na każdym postoju część niedoszłych wojaków ulatniała się w tajemniczych okolicznościach. A następnie piechotą wracała na Podhale. W efekcie do Trawnik dojechała tylko część rekrutów.

Tam zaczęły się dalsze problemy. Okazało się, że górale nie mają najmniejszej ochoty na „chwalebna” służbę w siłach zbrojnych III Rzeszy. Co nie znaczyło, że byli nastawieni pacyfistycznie. Wprost przeciwnie. Górale niemal z miejsca

Wojna z Sowietami / Szalone pomysły Himmlera

Góralskie Waffen-SS

wdali się w dziką awanturę ze szkolonymi w Trawnikach ochotnikami ukraińskimi. Krewcy górale zakasali rękawy. W ruch poszły pięści, kopniaki i sztachety płotów.

Niemieccy oficerowie biegali bezradnie po tym „polu bitwy” i na próżno próbowali zapanować nad chaosem. Nie byli w stanie porozumieć się ze swoimi nowymi „podwładnymi”, którzy mówili wyłącznie w gwarze góralskiej. Nie pod-

porządkowywali się żadnym rozkazom i zarządzeniom. O wprowadzeniu jako takiej dyscypliny wojskowej nie było mowy.

Raport Krügera

W tej sytuacji Niemcy skapitulowali. Machnęli ręką na cały projekt i przyznali,





RYS. KRZYSZTOF WIEŻYŃSKI

że z górali wojska nie będzie. Mało tego – nie uda się z nich stworzyć nawet jednostki wartowniczej. Profesor Stanisław Żerko opublikował następujący raport Friedricha Wilhelma Krügera, wyższego dowódcy SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie, z 5 kwietnia 1943 r.:

„Według ostatnich zapewnień – pisał Krüger – rzekomo 410 górali było gotowych zaciągnąć się do Waffen-SS celem wzięcia udziału w walkach na froncie. Przed komisją poborową stawiało się już tylko 300. Mimo

że lekarze kierowali się najbardziej liberalnymi kryteriami, jako nadających się do służby zakwalifikowano z tej grupy jedynie 154. Reszta

odpadła ze względu na ciężkie choroby, w szczególności gruźlicę i syfisy.

Nadających się do służby skierowano do obozu w Trawnikach. Mieli być użyty w charakterze strażników, zwłaszcza w obozach pracy. Do Trawnik dotarło

jedynie 140 „ochotników”, a z nich SS zmuszone było natychmiast zwolnić 21 jako chorych na padaczkę, gruźlicę oraz choroby serca. W trakcie i tak maksymalnie skróconego przeszkolenia zwolniono kolejnych 88 górali, gdyż nastąpił u nich zanik zdolności lub też odmówili pełnienia służby.

W pewnych okresach każdego dnia ok. 20–40 krewnych oblegało obóz w Trawnikach, chcąc zabrać część spośród przebywających wewnątrz z powrotem do domu. 19 górali zbiegło. W końcu, w dniu 21 marca 1943 r., w obozie przebywało łącznie 12 górali. Tylu pozostało z 410.

Górale w żaden sposób nie różnią się od Polaków, a nawet przeciwnie, należy ich ocenić gorzej niż Polaków. Na pytanie, w jakim stopniu ci górale potrafią porozumiewać się po niemiecku, mogę odpowiedzieć – posługują się jedynie słowem „Vodka”. Tym samym można powiedzieć o tej narodowości wszystko. Skoro nie da się uczynić z górali nawet wartowników, to należy zaprzestać prób wcielenia ich do Waffen-SS”.

W takich to okolicznościach wielki projekt Heinricha Himmlera – mający na celu zmobilizowanie „pokrewnie rasowego” narodu góralskiego do walki o wspólną Europę – spalił na panewce. Doktor Rudolf Brandt z kancelarii Reichsführera-SS podsumował całą sprawę ironicznie: „Jestem stanowczo przekonany, że potrafimy tę wojnę wygrać i bez górali”.

Ostatecznie w Trawnikach pozostało zaledwie ok. 10 górali. W dużej mierze byli to ludzie z marginesu społecznego, cieszący się złą opinią na Podhalu. Znaną są nazwiska kilku z nich: Karkosz, Mytkowicz, Duda, Suleja, Marzec. To było całe góralskie „wojsko”.

Bartłomiej Kuraś i Paweł Smoleński w książce „Krzyżak niespodziany” opublikowali wierszyk, jaki na ten temat ułożono w Zakopanem:

*Wielka armia księcia pana,
Hen szeroko w świecie słynie,
Trzech złodziei i Suleja,
Jeden osioł, cztery świni.*

Brak rekruta

Tak, historię niedoszedłego góralskiego legionu Waffen-SS należy rozpatrywać w kategorii czarnej komedii. Zaczęło się jednak poważnie. Otóż wspomniany

Górale nie zasilili formacji Waffen-SS FOT. WIKIMEDIA COMMONS



■ w wierszyku „książę pan” – czyli szef Goralenvolku Wacław Krzeptowski – chciał udowodnić Niemcom, że jego akcja polityczna cieszy się na Podhalu dużym powodzeniem.

Wystawienie licznej góralskiej jednostki do walki z bolszewizmem miało być swego rodzaju testem dla Goralenvolku. Krzeptowski, jak to Krzeptowski, obiecał więc Niemcom złote góry. Przechwalał się, że na jego rozkaz do komisji poborowych stawia się rzesze gotowych na wszystko, nastawionych bojowo ochotników.

Obietnice padły na podatny grunt. Niemiecka koncepcja wojny na Wschodzie załamała się bowiem z hukiem. To, co miało być szybkim blitzkriegiem, zamieniło się w strasliwą, długoletnią wojnę totalną na wyniszczenie. Front wschodni pochłaniał kolosalne ilości sprzętu i żołnierzy.

W efekcie III Rzesza cierpiała na strasliwy niedobór rekruta.

Stąd – mimo początkowych oporów Himmlera i Hitlera – Niemcy zaczęli tworzyć na wschodzie cudzoziemskie formacje zbrojne. Mundury Waffen-SS założyli m.in. Rosjanie, Azerowie, Tatarzy, Turkmeni, Estończycy, Łotysze czy Ukraińcy. Do tego Holendrzy, Norwegowie, Francuzi i przedstawiciele innych narodów Europy.

W tym towarzystwie – zgodnie z utopijnymi pomysłami rasowych „ekspertów” z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – nie mogło zabraknąć górali. Jak podaje Wojciech Szatkowski w książce „Goralenvolk. Historia zdrady”, początkowo Niemcy liczyli na to, że z wielkiego Podhala uda im wyciągnąć... 10 tys. ochotników. A więc wystawić góralską dywizję SS o liczebności porównywalnej z ukraińską dywizją „Galizien”.

Była to oczywiście mrzonka. Raz, że potencjał demograficzny Podhala był zupełnie nieporównywalny z potencjałem demograficznym Galicji. Dwa, że chęć do walki po stronie Niemiec w przypadku górali była nieporównywalnie niższa niż w przypadku Ukraińców. Dla ukraińskiego ruchu niepodległościowego wrogiem numer jeden był Związek Sowiecki. A jego jedynym realnym sojusznikiem była III Rzesza. Dla górali bolszewicy byli abstrakcją.

Tworzenie przez Niemców góralskiej formacji w ramach Waffen-SS skończyło się niepowodzeniem i żalosną kompromitacją działaczy Goralenvolku

O nastrojach panujących na Podhalu wiele mówi fakt, że gdy Niemcy próbowali zmobilizować na front góralskie konie – miejscowa ludność na wszelkie możliwe sposoby sabotowała akcję. Konie były ukrywane w górach. Górale robili wszystko, by nie oddać swoich



zwierząt, w czym ochoczo pomagali im miejscowi weterynarze. Skoro więc nie chcieli poświęcić dla dobra III Rzeszy koni, to cóż dopiero mówić o własnym życiu.

Zakrojona na szeroką skalę mobilizacyjna agitacyjna władz niemieckich i Goralenvolku trafiła więc w próżnię. Wiece organizowane w Zakopanem, Szczawnicy czy Nowym Targu nie wywoływały większego zainteresowania miejscowej ludności.

Na Podhalu – jak pisze Szatkowski – wysłanych zostało dziesięciu werbunkowych, których zadaniem było agitować młodzież i zapisywać ją do Waffen-SS. Stosowali przy tym metodę przekupstwa, obiecując w zamian rozmaite przywileje. Wysoki żołd, zwolnienie z robót w Rzeszy, a nawet wypuszczenie z niemieckich więzień.

Chociaż Krzeptowski przechwalał się, że udało mu się pozyskać 800 ochotników, to w rzeczywistości było ich znacznie mniej. Wszyscy zostali zaproszeni na 8 stycznia do słynnego hotelu Morskie Oko na Krupówkach. Tam urzędowała

wojskowa komisja poborowa złożona z lekarzy SS. Tak jak pisał w swoim piśmie Krüger, na miejscu okazało się jednak, że spora część młodych górali po prostu nie nadaje się do służby frontowej.

Ostatecznie do Trawnika miało wyruszyć 216 ochotników. Przed wymarszem na dworzec w Morskim Oku odbył się pożegnalny bankiet. Stoły ugięły się od zakąsek i butelek z wódką. Były przemówienia niemieckich urzędników i przedstawicieli Goralenvolku. Niedośłyż legion Waffen-SS miał więc zostać poczęty w trakcie tradycyjnej podhalańskiej biesiady. „Ochotnicy” zostali spojeni przez Niemców, aby można ich było spokojnie wpakować do pociągu.

Auschwitz i roboty

Dalszy ciąg tej historii już znamy. Górale w demonstracyjny sposób odmówili włożenia niemieckich mundurów. Większość z nich uciekła, na część za odmowę służby spadły niemieckie represje. Już w Trawnikach najbardziej niesubordynowanych górali Niemcy zamknęli w areszcie na terenie byłej cukrowni. Inni „ochotnicy” trafili do Auschwitz lub na roboty.

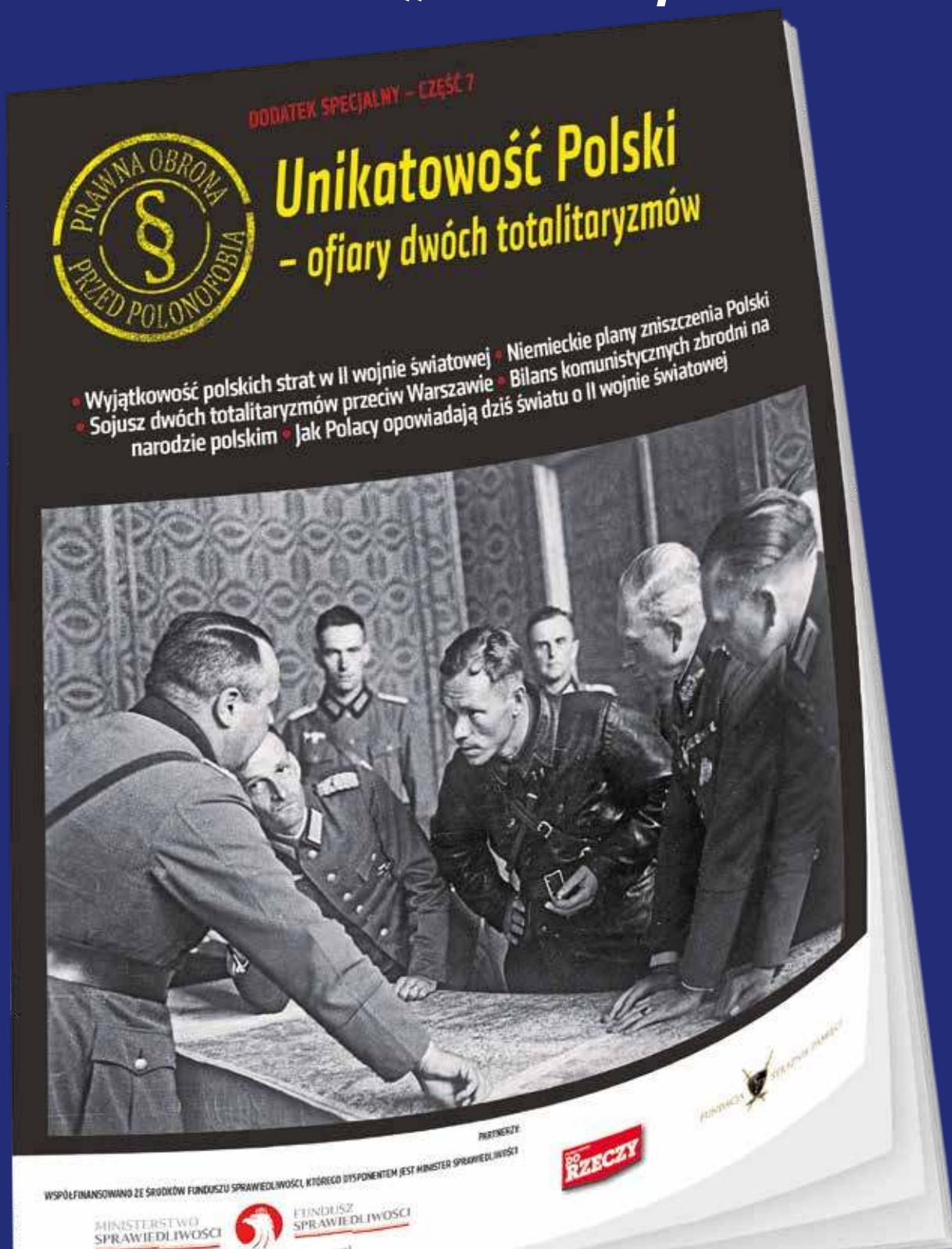
„Tworzenie przez okupanta Legionu Góralskiego Waffen-SS – pisał Wojciech Szatkowski – skończyło się niepowodzeniem i kompromitacją działaczy Goralenvolku. Przyczyną klęski było kilka. Konsekwencje okupacji pod Tatrami (terror i rozstrzeliwania, wywózki do Rzeszy), duże obciążenia kontyngentami oraz fakt, że kennkarty »G« nie spełniły oczekiwań górali. Wszystko to spowodowało, że większość ludności góralskiej była coraz bardziej niechętnie nastawiona do okupanta”.

Warto dodać do tego jeszcze jeden fakt. Nawet najbardziej zdeklarowani zwolennicy idei Goralenvolku potrafili czytać i wiedzieli, co się dzieje na froncie wschodnim. Wkrótce po tym, gdy góralscy „ochotnicy” trafili do Trawnika – pod Stalingradem kapitulowała 6. armia generała Friedricha Paulusa. Dni III Rzeszy były już policzone.

Trudno oczekiwać, żeby w tej sytuacji ktokolwiek dobrowolnie chciał przelewać krew nie tylko za obcą, lecz także za... przegraną sprawę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 13 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 1c46387460



FOT. PIOTR WŁOZCZYK

Rozmowa / Z mjr. Marianem Słowińskim



rozmawia Piotr Włoczyk

Walczyłem we Wrześniu '39

/ Na niebie pojawiły się samoloty ze swastykami na kadłubach.
Ktoś krzyknął: „Cholera, wojna!”

PIOTR WŁOCZYK: W czasie wojny obronnej 1939 r. przebył pan blisko tysiąc kilometrów. Jak brzmiał pański rozkaz?

MARIAN SŁOWIŃSKI: „Szykujcie się, za chwilę wyjeżdżacie do Rzeszowa. Musicie się tam jak najszybciej dostać, to bardzo pilna sprawa” – powiedział do nas krótko dowódca. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy. To był początek września 1939 r. Ten rozkaz miał zaważyć na całym moim życiu.

Dlaczego rozkaz był taki pilny?

Przez pierwsze dni września mój 67. pułk piechoty wykrwawiał się, cofając się spod granicy z Prusami Wschodnimi w głąb kraju. Przy takiej przewadze broni pancernej mogliśmy tylko opóźnić marsz Wehrmachtu. Nagle okazało się, że mam zostawić przeżywających piekło kolegów i błyskawicznie przebiec się na drugi kraniec Polski. Towarzyszyć mi w tej wyprawie kolega ze szkoły wojskowej w Śremie. Okazało się, że w Rzeszowie potrzebowali instruktorów do szkolenia młodego wojska i brakowało im oficerów i podoficerów. Władze szykowały się do stworzenia reduity obronnej na południowo-wschodnich rubieżach Polski, a my mieliśmy pomóc w przygotowaniu do walki nowych żołnierzy.

Do Rzeszowa mieliśmy prawie 500 km, a jak kraj długi i szeroki, na drogach panował kompletny galimatias. Niemcy wrzynali się w Polskę z każdej strony i przecinali linie komunikacyjne. Drogi zapchane były przez uciekającą ludność cywilną, a tory kolejowe kompletnie poszatkowane przez Luftwaffe. Spoglądanie na rozkład jazdy pociągów nie miało najmniejszego sensu. Jeżeli już coś jechało, to poza rozkładem. Tej podróży nie da się zapomnieć. Jechaliśmy wszystkimi środkami lokomocji: furmankami, pociągami, samochodami ciężarowymi, a część drogi odbyliśmy pieszo, kiedy już nie mogliśmy złapać żadnego sensownego transportu.

A nad waszymi głowami cały czas krążyły niemieckie maszyny.

Każdy samolot na niebie zwiastował wtedy tragedię. Masa ludzi na drodze, co drugi człowiek pcha jakiś wózek, a tu nagle z chmur wylatuje samolot z czarnym krzyżem, pikuje i strzela jak popadnie do ludzi. Do zwykłych cywili – kobiet, dzieci i starców. Pamiętam te obrazy. Nie da się pomylić kolumny wojska z tłumem ucieki-

nierów. Ale najwyraźniej dla tych „bohaterów” z Luftwaffe każde ludzkie skupisko było doskonałym celem. Byli w tym śmiertelnie skuteczni – strzelając do tłumu na szosie, nie da się nie trafić, w tych bestialskich atakach zawsze ktoś ginął... Ale my dostaliśmy do wykonania bardzo pilny rozkaz, więc nie było czasu na odpoczynek. Bezustannie parliśmy na południowy wschód. Dzień i noc, dzień i noc.

Po dotarciu do Rzeszowa szybkie zapoznanie z naszym nowym dowódcą i z podkomendnymi. Zaczęliśmy się przygotowywać do nowych obowiązków. Miałem dopiero 20 lat, ale zdarzało się, że uczyłem dyscypliny starszych ode mnie. Byłem już bowiem kapralem z pięcioletnim doświadczeniem w mundurze – naukę żołnierskiego fachu zacząłem w wieku 15 lat w szkole wojskowej w Koninie. Wszystkie plany szkoleniowe wzięty jednak w łeb. Wróg zbyt szybko na nas nacierał. Już kilka dni później również ten rejon Polski zapłonął i nie było mowy o szkoleniu. Zamiast tego otrzymałem rozkaz sformowania kolumny ewakuacyjnej na Węgry.

Jak wyglądał konwój, którym pan dowodził?

Miałem wywieźć z jednostki wszystko, co mogło się nam przydać do walki na obczyźnie: dokumenty, pieniądze, broń, mundury, a nawet koce. Wojna rzuciła mnie więc jeszcze bardziej na południe. Załadowaliśmy to na kilkanaście wozów i ruszyliśmy przed siebie.

Dotarliśmy w końcu do Nadwórnej, miasteczka położonego na południe od Stanisławowa, czyli dzisiejszego Iwano-Frankowska na Ukrainie. Stamtąd mieliśmy rzut kamieniem do granicy w Węgrami, ale także do przejścia z Rumunią. W czasie postoju w Nadwórnej dogonili nas gońcy na motocyklach. Mieli dla mnie pisemny rozkaz. Jego treść nie mieściła mi się w głowie: „Niezwłocznie zniszczyć wszystkie, bez wyjątku, przewożone materiały, dokumenty i pieniądze”. Czyli tak wyglądał nasz koniec. Zostaliśmy wzięci w niemiecko-sowieckie kleszcze i na drugą stronę granicy nie mogliśmy niczego zabrać.

Staliśmy z tym naszym taborem na poboczu, obok były jakieś kanały i stawy. Chcąc, nie chcąc, broń rozmontowywaliśmy, jej poszczególne części porzucaliśmy dookoła, a zamki wrzucaliśmy do wody. Muszę się jednak przyznać, że nie do końca skrupulatnie wykonałem

rozkaz, bo takie marnotrawstwo uważałem za olbrzymi błąd. Mundury i koce kazałem rozdać okolicznej ludności, która była z tego bardzo ucieszona.

A pieniądze?

Teraz już mogę się przyznać bez obaw, że nie zniszczyłem ich, tylko podzieliłem je równo między żołnierzy. Swoją część schowałem w owijaczce. Co dobrego dałoby zniszczenie pieniędzy? Czułem, że się jeszcze przydadzą. Nie było łatwo przekroczyć granicę. Zostawiałem za sobą kraj ogarnięty pożogą. Daleko na północy, w Inowrocławiu, cała moja rodzina – mama, tata i czworo rodzeństwa, musiała sobie jakoś radzić beze mnie. Ja szedłem dalej w nadziei, że takich jak ja jest dużo więcej i za granicą uda nam się odbudować armię.

Chociaż wrzesień 1939 r. to dla mnie długi marsz z północy na południe Polski, to nie zawsze miałem wroga za plecami. Do momentu otrzymania rozkazu przebiecia się do Rzeszowa aż za dobrze poczułem, czym jest bitewny zgiełk.

Jak wojna z Niemcami wyglądała u pana do momentu otrzymania rozkazu przebiecia się do Rzeszowa?

Pamiętam, że zaczęło się od warkotu. Coraz bardziej dudniące „wrrr” – zbliżało się do nas od granicy z Prusami Wschodnimi. To nie mogli być nasi. Po chwili na niebie widać już było samoloty. Jedna za drugą, maszyny leciały na tyle nisko, że można było zobaczyć swastyki na ich kadłubach.

„Cholera, wojna!” – ktoś krzyknął. Jakby na potwierdzenie tych słów, niemieckie maszyny zaczęły do nas strzelać i zrzucać bomby. Musieliśmy się błyskawicznie rozprzecznić w poszukiwaniu schronienia. Wczesnym rankiem 1 września wracaliśmy akurat polami z nadgranicznego patrolu. Mój pułk, na stałe skoszarowany w Brodnicy, miał strzec granicy, która biegła jakieś 20 km na północ od miasta. To przepiękny rejon Polski – lasy, jeziora, niewielkie wzgórza. Tuż przed wojną, gdy wiadomo już było, do czego to wszystko zmierza, namachałem się łopatami, bo trzeba było wykopać mnóstwo rowów przeciwczołgowych i okopów.

Równolegle z samolotami odezwała się niemiecka artyleria. Odpowiedzieliśmy tym samym. Wtedy okazało się, że warto było się namachać łopata –

okopy ratowały nam życie. Chociaż nie było to stuprocentowo pewne schronienie. Dla kilku moich kolegów z pułku okopy stały się wtedy grobami.

Ilu podkomendnych pan wówczas stracił?

W drużynie, którą dowodziłem, straciłem wtedy trzech chłopaków. Na co dzień dyrygowałem nimi, musiałem utrzymywać między nami odpowiedni dystans, ale w czasie ćwiczeń, a już szczególnie na wojnie, byliśmy po prostu jak bracia. Kiedy jeden zginął przy karabinie maszynowym, ja rzuciłem się w jego miejsce i „ciąłem” do Niemców, zapewniając osłonę kolegom. Na wojnie każdy z nas myślał o reszcie kolegów i wszelkie różnice schodziły na daleki plan.

Te pierwsze dni pod Brodnicą były straszne. 3 września musieliśmy wyjść z okopów, bo Niemcy dosłownie miażdżyli nas czołgami i artylerią. Potraciliśmy wtedy mnóstwo ludzi. Wycofując się, minowaliśmy drogę za nami, próbując spowolnić natarcie.

Jak się pan z tym wszystkim czuł?

Nie będę ukrywał, że widok masy sprzętu, który wtedy Niemcy na nas rzucili, był szokujący. Czołgi, pojazdy opancerzone, lotnictwo, potężna artyleria. Tymczasem my do transportu używaliśmy wciąż głównie zaprzęgów konnych. Ich piechota mogła się skryć za pancerzami maszyn, my takiego luksusu raczej nie mieliśmy. Niemcy dysponowali na tym odcinku miażdżącą przewagą nad nami. Dzięki temu mogli się szybciej przemieszczać, zaskakiwać nas. Choć czasem może nawet przemieszczali się zbyt szybko.

Co ma pan na myśli?

Pamiętam taki widok: cztery pojazdy opancerzone wjeżdżają do lasu, tuż przed naszymi pozycjami. To jeszcze było w pobliżu Brodnicy. Niemcy ewidentnie nas nie wiedzieli... Takie okazje nie nadarzały się zbyt często. Zasłaliśmy ich od tyłu i solidnie obrzuciliśmy to towarzystwo granatami. Zrobiła się taka rozróża, że Niemcy zniechęceni i załogi wyszły z podniesionymi rękami z samochodów. Przyznam się, że trochę mnie to zaskoczyło, bo myślałem, że to dopiero początek



Oddział polskiej piechoty, wrzesień 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

walki, że tak łatwo nie sprzedadzą skóry. To był jeden z tych niewielu momentów, gdy to my mieliśmy ich w garści. Butni Niemcy, którzy przyszli do nas jak po swoje, na widok wycelowanego w nich karabinu maszynowego nawet nie mrugnęli. Potem trzeba było jakoś zneutralizować ten ich sprzęt. W niszczenie wkładaliśmy całe serce. Poprzecinaliśmy opony, kable powyrzaliśmy, słowem lepiej zepsuć tych pojazdów chyba się już nie dało.

Wtedy nad granicą z Węgrami znów niszczył pan sprzęt, tylko że tym razem własny, polski...

Niestety, nie było innego wyjścia. Jeżeli chodzi o żołnierzy, to rozkazy były takie, że kto chciał wracać, mógł wracać, a kto chciał iść na Węgry, ten miał wolną drogę. Pamiętam, że żonaci żołnierze w większości chcieli wracać. Młodszy, w tym ja, wybierali raczej krok w nieznaną, jakim było przejście na Węgry. Co ciekawe – ci, którzy postanowili wracać w głąb kraju, bardzo szybko, biegiem wręcz, wrócili nad granicę. Okazało się, że powrotna droga to koszmar – Ukraińcy wyłapywali polskich żołnierzy, niektórych nawet zabijali. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy się wtedy przeciw nam sprzysięgli.

Opuszczałem Polskę na osiem długich lat. Kto mógł wtedy przypuszczać, że ta odyseja tyle potrwa? Przecież wszyscy liczyliśmy na Francję, naszego potężnego sojusznika, który już niedługo – jak spodziewała się cała Polska – rozgromi Hitlera... Nie miałem żadnych wątpliwości, żeby iść na Węgry. Myślałem, że tam się odrodzimy. Nie wiedziałem jednak, że nasi bratankowie są tak bardzo naciskani przez Niemców.

Jakie powitanie czekało na was po drugiej stronie granicy?

Węgrzy przyjęli nas dosyć przyjaźnie. Rozbroili nas, nakarmili, pokleпали po

plecach, ale po tym powitaniu przyjechały samochody ciężarowe, kazali Wojsku Polskiemu załadować się na nie i wywieźli nas do obozu. W ten sposób zostałem internowany, choć chyba wtedy nie do końca rozumiałem, z czym to się miało wiązać.

W obozie w Érsekújvár byłem od 19 września 1939 r. do 4 kwietnia 1940 r. Dziś nie znajduję już państwa nazwy Érsekújvár na mapie. To miasto nazywa się teraz Nové Zámky i leży w południowej Słowacji.

Węgrzy stworzyli w obozie w miarę znośne warunki?

Muszę przyznać, że generalnie nie traktowali nas tam źle. Luksusów nie było, ale warunki były w miarę przyzwoite. Na Węgrzech faktycznie było jak w tym powiedzeniu: „Polak, Węgier, dwa bratanki”. Chociaż akurat Węgrzy pochodzenia niemieckiego, którzy stali przy bramie, odnosili się do nas wręcz fatalnie. Traktowali nas jak jakichś więźniów-kryminalistów. Mimo że w obozie dało się żyć, to prawie każdy chodził przybity. Byliśmy młodzi, rwaliśmy się do walki. Oczekiwanie – właściwie nie wiadomo na co – było trudne do zniesienia. Była jednak szansa, by to zmienić.

Ucieczka.

Tak. Dosyć szybko się zorientowałem, że w obozie działa specjalna grupa, która organizuje ucieczki. Jej efekty było widać gołym okiem. W baraku właściwie każdego dnia widać było coraz więcej „luzów”. Niestety, kolejka do ucieczki była bardzo długa i trzeba było swoje odczekać. Ja jednak jestem od dziecka bardzo niecierpliwy... Postanowiłem uciec na własną rękę.

Nikomu w obozie nie powiedziałem o moim planie, wysłałem tylko rodzinie list z kluczowym zdaniem-kodem: „Jadę się zobaczyć z wujkiem Leonem”. A wiadomo przecież, że wujek Leon, brat mojej mamy, mieszkał we Francji. Nie miałem wątpliwości, że zrozumieją, gdzie mnie powinni dalej szukać.

Jak wyglądał pański plan?

Co trzy miesiace przyjeżdżał do nas swoim samochodem przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, żeby sprawdzić, w jakich warunkach

przetrzymani są internowani. Wreszcie w kwietniu 1940 r. postanowiłem „dać nogę”. Plan był dosyć prosty: miałem wyjechać z obozu główną bramą schowaną w bagażniku jego auta.

No tak, najciemniej pod latarnią...

Kiedy po raz kolejny przyjechał do nas na kontrolę, poczekałem na odpowiedni moment, otworzyłem bagażnik, zagrzebałem się na samym spodzie i przykryłem się jakimiś rzeczami. Dość długo czekałem, aż Szwajcar wróci do auta. W bagażniku nie było źle, powietrza mi tam nie brakowało. Wyjeżdżając z obozu, samochód musiał przejechać przez próg z kółkami. Strażnicy nie zajrzeli do bagażnika...

Poczułem wstrząs, wiedziałem więc, że jestem już za bramą. Jednak zamiast rozluźnić się, ni stąd, ni zowąd zacząłem się dusić z nerwów i kaszleć. Tragedia. Myślałem sobie: „To by było na tyle z mojej ucieczki”. Szwajcar zjechał na pobocze... Słyszę, że podchodzi do bagażnika. Otwiera klapę...

Byłem przygotowany na najgorsze, ale inspektor – lekko zdziwiony – wypuścił

mnie i kazał siadać koło siebie w kabinie. Zapytał tylko: „Gdzie cię wysadzić?”. W obozie usłyszałem o pewnym zaufanym żydowskim krawcu z Polski, który mieszkał w Érsekújvár i sprzyjał Polakom. Poprosiłem, żeby mnie do niego zawiózł. Na koniec dał mi jeszcze trochę pengő (waluta węgierska). Wierzyć się nie chciało, że trafiłem na takiego człowieka!

Ale to był dopiero sam początek pańskiej tułaczki, która skończyła się we Francji, a tak naprawdę dopiero w Wielkiej Brytanii, gdzie dołączył pan do dywizji gen. Maczka...

U krawca zostałem dobrze przyjęty i dostałem nowe ubranie. Zamówił mi nawet taksówkę, którą pojechałem prosto do polskiej ambasady w Budapeszcie. To było jakieś 100 km podróży.

Droga do stolicy Węgier nie była jednak tak prosta, bo ja przecież nie miałem odpowiednich papierów, a wiadomo było, że po drodze jest kontrola. Dostałem wytyczne, że po drodze mam zabrać dziewczynę, bez której to wszystko nie mogło się udać. Plan wyglądał całkiem ciekawie: tuż przed posterunkiem mieliśmy

się zacząć bardzo namiętnie całować. Nie oponowałem, zrobiłem, jak mi kazano... Wartownik z karabinem na moście tylko na moment zajrzał do środka, ale widząc bardzo zajętą parę, dał sobie spokój z kontrolą. Byłem w Budapeszcie!

Chyba że trzy tygodnie trwało, zanim dostałem w polskiej ambasadzie papiery. Stałem się Marianem Lewandowskim. Wszystkie moje dane pozostały po staremu, tylko nazwisko się zmieniło. W ambasadzie spotkałem też dwóch kolegów z obozu. Widać było, że Węgrzy przymykają oko na nasze próby przedostania się do wojska we Francji.

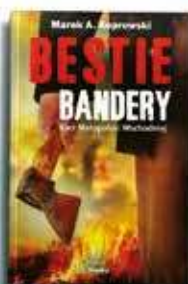
Powyższa, niepublikowana wcześniej rozmowa odbyła się jesienią 2018 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mjr Marian Słowiński (1919–2020) był uczestnikiem wojny obronnej 1939 r., walczył w szeregach Wojska Polskiego we Francji w 1940 r., a następnie, po ewakuacji do Wielkiej Brytanii, wstąpił do 1. Dywizji Pancerniej.

REKLAMA

Książki Marka A. Koprowskiego uświadamiają skalę okrucieństwa, które Polacy doświadczyli z rąk ukraińskich oprawców



PREMIERA
PAŹDZIERNIK

Replika

www.replika.eu

Tel. 515 339 739

ODWIEDŹ NAS NA





Żołnierze WP, obrońcy
polskiego Wybrzeża
w 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kampania wrześniowa / Lądowa Obrona Wybrzeża

Honor bohatera



Maciej Rosalak

**/ Pułkownika Stanisława Dąbka i obronę Gdyni
w 1939 r. da się porównać jedynie do Jerzego
Wołodyjowskiego w Kamieńcu Podolskim
A.D. 1672...**

Oniewielkich rozmiarach Zatoki Gdańskiej możemy się przekonać w pogodny dzień, a najlepiej wieczorem, kiedy zapalają się latarnie morskie. Popatrzmy od ujścia Wisły, z najdalej na południe wysuniętego rejonu Zatoki. Widzimy światła Helu i Gdyni, Gdańsk mamy z lewej strony jak na dłoni, i tylko mały zakątek Zatoki Puckiej niknie za horyzontem. Zaledwie część tego krajobrazu, ogarniętego gołym okiem, przyznano Polsce po pierwszej wojnie światowej. Północną granicę

Wolnego Miasta Gdańska wytyczono za Sopotem; na wybrzeżu pełnomorskim należały do nas jedynie Władysławowo, Jastrzębia Góra i Karwia. No i półwysep Hel. Długość jego linii brzegowej wynosiła niemal połowę całego naszego przedwojennego wybrzeża, liczącego łącznie 140 km. I jeszcze parę piędzi ziemi polskiej w formalnie „wolnym”, ale faktycznie niemczonym Gdańsku – budynek poczty i półwysep Westerplatte; pierwsze cele hitlerowskiej napaści.

Walki w tym nadbałtyckim rejonie polegały na obronie Wybrzeża – z Gdynią

– od lądu i morza oraz na działaniach Floty Wojennej połączonych z obroną Helu. Całością dowodził poważany 55-letni kadm. Józef Unrug, dawny oficer niemieckiej Kaiserliche Marine. Wydzielił on Dowództwo Morskiej Obrony Wybrzeża pod rozkazami kmdr. Stefana Frankowskiego i Dowództwo Lądowej Obrony Wybrzeża, które objął płk Stanisław Dąbek. Działaniami Floty Wojennej kierował sam kontradmirał, który przeniósł się na Hel z Dowództwa Floty na Kępie Oksywskiej.

Poczta, Westerplatte, flota

Poczty Gdańskiej broniło 48 cywilnych urzędników i listonoszy pod komendą porucznika rezerwy Konrada Guderskiego (zginął już rankiem 1 września). Byli wśród nich Kaszubi, jak Alfons Flisykowski (dowodzący po

Guderskim) – najaktywniejszy obok dyrektora okręgu Jana Michonia organizator oporu. Dysponowali karabinami, paroma rkm-ami, granatami. Mieli bronić się sześć godzin, a wytrwali 13... Zapowiadana pomoc nie nadeszła... Niemcy atakowali z sąsiednich budynków i od czoła, kryjąc się za samochodami pancernymi. O godz. 17 zburzyli miną część ściany frontowej, ostrzałem z dział zmusili pocztowców do zejścia do piwnic, tam przełamali opór granatami i miotaczami ognia. Z 49 obrońców zginęło w walce czterech. Michonia i naczelnika urzędu Józefa Wąsika Niemcy rozstrzelali natychmiast. Czterech przedarło się. Pozostali – 39 – zostali pobici podczas przesłuchań i rozstrzelani jeszcze we wrześniu. Jeden z pierwszych dowodów niemieckiego bestialstwa w tej wojnie.

Westerplatte. Na półwyspie o długości 1 km i 200-metrowej szerokości u podstawy, przyznanym Polsce decyzją Ligi Narodów w 1925 r., zorganizowano Wojskową Składnicę Tranzytową. Fortyfikacje stanowiły betonowe piwnice pięciu warowni oraz dwie zamaskowane placówki. Załoga składała się z 182 oficerów, podoficerów i strzelców pod dowództwem mjr. Henryka Sucharskiego. Poza broń strzelecką dysponowali oni jedną armatą 75 mm, dwiema armatkami ppanc. 37 mm, czterema moździerzami 81 mm, 18 ckm-ami i 23 rkm-ami.

1 września o godz. 4.45 na Westerplatte spadły salwy pancernika szkolnego „Schleswig-Holstein”, przebywającego w Gdańsku z „kurtuazyjną” wizytą. W ciągu siedmiu minut padło ponad pięć ton materiałów wybuchowych i stali. Ogień z pancernika okazał się niezbyt celny, a polska załoga zdołała zająć stanowiska bojowe. Niemiecka kompania, która zaatakowała przez przesmyk lądowy tuż po artyleryjskiej nawale, w silnym ogniu prowadzonym z doskonale umieszczonych placówek, poniosła znaczne straty i uciekła, pozostawiając zabitych i rannych. Kolejne natarcia kończyły się z podobnym skutkiem. Zlikwidowano także próbę forsowania kanału naprzeciw północnego cypla, ale Polacy stracili jedyne dział 75 mm. Następny dzień przyniósł atak samolotów nurkujących, które zrzuciły 16 ton bomb. Piekielnych bombardowań skłoniło majora do poddania placówki, ale sytuację opanował kpt Franciszek Dąbrowski i już wieczorem natarcie niemieckie załamało się tak jak poprzednie.



Pułkownik Stanisław Dąbek FOT. WIKIPEDIA

Według planu załoga Westerplatte miała się bronić 12 godzin – do nadejścia odsieczy. A broniła się sześć i pół dnia... Poległo 16 naszych żołnierzy (losu siedmiu nie znamy; rannych było ok. 50). Siedemnastego, telegrafistę sierżanta Kazimierza Rasińskiego, Niemcy zamordowali w nocy z 7 na 8 września, gdyż odmówił ujawnienia tajnych szyfrów. Na jednego poległego żołnierza polskiego przypadło zapewne do 10 zabitych Niemców. Obrońcy Westerplatte dali rodakom w całym kraju zastrzyk dumy i wiary we własne siły.

Nad portem gdyńskim przeleciał rankiem 1 września klucz niemieckich samolotów zwiadowczych. W basenie portu wojennego stały jeszcze dwa okręty podwodne – „Orzeł” i „Wilk”. Parę godzin później pojawiły się nieprzyjacielskie bombowce. Nasze okręty podwodne wyszły już w morze, a na ich miejscu stała baza dla nurków „Nurek” i pozbawiony już wyrzutni, dawny torpedowiec „Mazur”. Albo piloci niemieccy nie odróżnili owych słabo uzbrojonych jednostek od okrętów podwodnych, albo właśnie brak „Orła” i „Wilka” wywołał ich wściekłość, faktem pozostaje, że przez długi czas 30 junkersów i heinkli bombardowało najpierw „Nurka”, a potem „Mazura”.

Ich załogi podjęły nierówny bój – mając kilka tylko luf – z samolotami. Bomba niemal rozerwała „Nurka”, powodując wybuch ładowanej właśnie na okręt amunicji. Z 17 członków załogi zdołano uratować tylko sześciu; pierwszy okręt poszedł na dno w tej wojnie. „Mazur” walczył dalej. Kilka niemieckich maszyn, uszkodzonych przez jedyne dział 1 ckm,

zostawiając smugi dymu, uciekło znad Gdyni. Ale odłamki bomby, która rozerwała się na pobliskim moście, pozabijały i poraniły ludzi, poprzebijały burtę. Okręt zaczął tonąć, ale załoga tej tonącej reduty starała się bić nadal. Choć kolejna bomba przełamała jednostkę na pół, to por. Jacenty Dehnel, który wziął w swe ręce maxima na części rufowej, strzelał aż do momentu, gdy woda zalała lufę.

Dopiero wtedy ruszył – wraz z kpt. Rutkowskim – wpływ do nabrzeża.

Polską Marynarkę Wojenną tworzyły we wrześniu 1939 r. niszczyciele „Wicher” i „Burza” (produkcji francuskiej) oraz zamówione w Anglii duże niszczyciele: „Grom” i „Błyskawica”, okręty podwodne „Ryś”, „Wilk” i „Żbik” oraz (większe) „Sęp” i „Orzeł”, kilka zbudowanych w kraju trałowców (zastąpiły złomowane poniemieckie), parę kutrów, stawiacz min „Gryf”.

Aby uniknąć zniszczenia w matni, jaką stawał się Bałtyk, nad którym panowały Luftwaffe i Kriegsmarine, 30 sierpnia wyszły z Gdyni i wzięły kurs na Wielką Brytanię niszczyciele: „Grom”, „Błyskawica” i „Burza”.

Pozostałe okręty polskie oraz działa z baterii nabrzeżnych od 1 września toczyły zacięte walki z nadlatującymi nad Gdynię samolotami i okrętami niemieckimi. Wielkokalibrowe dział 10 Oksywie i armaty z baterii im. Heliodora Laskowskiego z Helu trzymały na bezpieczną odległość pancernik „Schleswig-Holstein”, a 3 września niszczyciel „Wicher”, stawiacz min „Gryf” i bateria z Helu stoczyły zwycięski bój z dwoma niszczycielami niemieckimi, poważnie je uszkadzając.

Małe okręty nawodne walczyły do 15 września, zatapiane kolejno bombami z junkersów. Ale potrafiły też ogniem średniokalibrowych dział rozpędzać ataki piechoty niemieckiej na pozycje obrońców Wybrzeża. Okręty podwodne zdołały rankiem 1 września zająć wyznaczone pozycje na morzu, lecz ich dłuższy pobyt na płytkim akwenie był nazbyt ryzykowny. „Orzeł” zawiął do Tallina, gdzie został internowany 15 września, ale po brawurowej ucieczce, bez map, kodów i torped opuścił wody Bałtyku i przedarł się do Anglii. Wymknął się także „Wilk”. ■





■ Pozostałe okręty podwodne internowano do końca wojny w Szwecji.

Trzy polskie niszczyciele dotarły do Anglii i już od 6 września brały udział w licznych patrolach bojowych, eskortowaniu konwojów, stawianiu min...

Mężny i uparty

Siły Lądowej Obrony Wybrzeża liczyły dwa dwubatalionowe pułki strzelców, cztery bataliony Obrony Narodowej i dywizjon artylerii. Pełne uzbrojenie miały tylko pułki morskie – nawet po dwa działa 75 mm. Jeden z batalionów miał jedynie mundury marynarskie, ułatwiające wrogowi celowanie. Konsolidacja tych sił, ich potrojenie w ciągu kilku tygodni do ponad 15 tys. zbrojnych, sprowadzenie dodatkowego sprzętu z Pińska, Modlina i Gdyni, koncepcja i organizacja obrony były zasługą 47-letniego dowódcy, płk. Stanisława Dąbka, który przybył tu w końcu lipca 1939 r.

Był to chłopski syn, jeden z sześciorga dzieci Szczepana i Rozalii z Powęskich. Urodził się w Nisku na Podkarpaciu, ale rodzice przeprowadzili się rychło do wsi Felendorf. O jego wychowanie w duchu patriotycznym troszczyli się matka oraz dziadek Franciszek Powęski – leśniczy, powstaniec z 1863 r. Jako absolwent maturalnego seminarium nauczycielskiego i początkujący nauczyciel Stanisław Dąbek został w 1914 r. jednorocznym ochotnikiem powołanym do wojska austriackiego. Po ukończeniu szkoły oficerów rezerwy mianowano go podporucznikiem i skierowano na front w Karpatach. Zdołał wyleczyć się z odniesionych tam ciężkich ran i walczyć do końca wojny we Włoszech.

Do Wojska Polskiego wstąpił natychmiast po powrocie do kraju z końcem 1918 r. W stopniu porucznika przywiódł z frontu kompanię piechoty złożoną z uzbrojonych i wyekwipowanych żołnierzy Polaków. Już w grudniu 1918 r. obronił Lubaczów i okolice przed nacjonalistami ukraińskimi dowodzonymi przez Niemca Kleya, dlatego chłopci przemianowali Felendorf na Dąbków. Walczył z Ukraińcami o Małopolskę Wschodnią oraz z bolszewikami o ocalenie polskiej niepodległości. Za męstwo okazane w boju dwukrotnie otrzymał Krzyż Walecznych.

Po zakończeniu wojen pozostał w Wojsku Polskim jako major, na stano-

wiskach dowódcy batalionu, aż do dowodzenia pułkiem włączanie. W 1924 r. otrzymał awans do stopnia podpułkownika. W latach 1928–1930 był komendantem szkół podchorążych rezerwy w Tomaszowie Mazowieckim i w Zambrowie, a potem dowódcą 7. Pułku Piechoty Legionów z awansem (1932) do stopnia pułkownika. Spór z gen. Władysławem Bortnowskim, któremu zarzucał faworyzowanie oficerów o przeszłości legionowej, kosztował go przeniesienie na stanowisko dowódcy 52. pułku piechoty Strzelców Kresowych w Złoczowie.

Jednak w obliczu zbliżającego się najazdu niemieckiego przeniesiono stamtąd tego zdolnego oficera, znanego jako człowiek twardej ręki i wielkiej odwagi, do obrony Wybrzeża. „Przysłali mnie, abym wypił piwo, które nawarzyli inni” – tak płk Dąbek skomentował niewielkie siły oraz wieloletnie zaniechanie przygotowań do lądowej obrony Wybrzeża. Jeszcze większą obawą napawało ugrupowanie Armii „Pomorze”, niedające szans udzielenia pomocy Polakom na Wybrzeżu. Wyjaśnienia dowódcy Armii (znanego mu gen. Bortnowskiego) w tej sprawie, powołującego się też na pomoc ze strony sojuszniczej Royal Navy (na Bałtyku!), były nader mgliste...

Ale do wykonania zadania Dąbek zabrał się z niebywałą, właściwą mu energią i skutecznością, dodając animuszu podkomendnym i mieszkańcom. Plan obrony z Kępą Oksywską jako centralną twierdzą, którą opasywały wysunięte polskie pozycje umożliwiające stopniowe cofanie się do Gdyni i wreszcie na Oksywie, sprawdził się całkowicie. Niemcy mieli na Wybrzeżu trzykrotną przewagę w sile żywej, czterokrotną w broni maszynowej, dziewięciokrotną w artylerii oraz absolutną w lotnictwie i okrętach. Żołnierze płk. Dąbka mieli utrzymać przedpole Gdyni trzy dni, a samą Kępę Oksywską – siedem dni. Jak wiadomo, obrońcy Gdyni utrzymali się na przedpolu 12 dni i 7 dni na Kępie Oksywskiej...

Gdy w 1946 r.

ekshumowano jego zwłoki i pochowano na Cmentarzu Obrońców Wybrzeża w Gdyni Redłowie, grób opatrzone inskrypcją ze słowami, które miał wypowiedzieć tuż przed śmiercią: „Pokażę wam, jak Polak walczy i umiera”. Pokazał. Nieskory do pochwał płk Marian Porwit („Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku”), opisując ostatnią, stoczoną przezeń 19 września walkę, gdy „przeniósł śmierć z własnej ręki nad kapitulację”, nazwał go „pierwszym żołnierzem kampanii 1939 roku”.

... do ostatniego tchu

1 września nieprzyjaciół nacierał głównie z południa, od strony Gdańska i od zachodu. Korpus gen. Kaupischa liczył blisko 40 tys. żołnierzy ze składu 207 DP, dwóch pułków Grenzschutzu, trzech pułków policji i batalionu SS „Heimwehr Danzig”. Przeszło dwa razy więcej niż oddziały Lądowej Obrony Wybrzeża (LOW), nawet licząc z improvisowanymi podczas walk oddziałami harcerzy czy kosynierów. Przewaga Niemców w broni maszynowej była czterokrotna, a w artylerii aż dziewięciokrotna. Do 7 września jednostki niemieckie opanowały przedpole polskich pozycji biegnących łukiem od Wejherowa do Orłowa. Dwa dni później Polacy wycofali się z Pucka, tracąc połączenie z oddziałami na Helu.

W ciągu pierwszego tygodnia stoczono 31 walk. „Do cech wspólnych – pisał Porwit – zaliczyć trzeba uporczywe trzymanie stanowisk nawet na czatach i aktywności w odbijaniu utraconego terenu. Pod tym względem konkurują ze sobą dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża, dowódcy pułków i dowódcy batalionów. Naliczyłem dziewięć przeciwuderzeń lub wypadów w walce obronnej lub

z własnej inicjatywy". Rosła jednak liczba zabitych i rannych, zniszczonych dział i broni maszynowej. Brakowało amunicji. Ginęli bohaterscy dowódcy, prowadzący żołnierzy do ataku. Kurczyły się polskie pozycje...

Męstwo i upór dowódcy LOW udzielały się gdynianom, dla których zabrakło już karabinów, i z ppłk. Stanisławem Wężykiem na czele utworzyli cztery kompanie kosynierów. Dwukrotnie – 11 i 12 września – dość skutecznie zaatakowali oni wroga. Ochotniczy szwadron krakusów świetnie wywiązywał się z zadań wywiadowczych, a pociąg pancerny „Smok Kaszubski”, zmontowany pod okiem przyszłego dowódcy kpt. mar. Jerzego Błęszyńskiego w warsztatach Portu Marynarki Wojennej, dał się Niemcom mocno we znaki już 7 września pod Wejherowem. Strzelał z dwóch działek i 11 ckm-ów. Płyty ochronne wzięto z niedokończonych okrętów „Orkan” i „Huragan”, a jedno z działek wydobyto z zatopionego 1 września „Mazura”.

12 września, w dniu najcięższych walk o Gdynię, do ataku na Mosty, obsadzone przez 32. pułk Grenzschtzu, ruszył kmr ppor. Zygmunt Horyd (zasłużony dla Gdyni inżynier budowlany) na czele sformowanego przez siebie batalionu, złożonego z marynarzy. Wykorzystał chwilową dezorganizację nieprzyjaciela i straty zadane mu przez trzy polskie trałowce, które podpłynęły od strony Helu i ostrzelały Niemców z dział 75 mm. Polacy odbili Mosty, ale zginął ich dowódca... Tego dnia 7. kompania III batalionu ON pod dowództwem por. Hipolita Walkowskiego zmusiła do ucieczki i porzucenia ciężkiego sprzętu dwukrotnie silniejszy batalion SS „Heimwehr Danzig”. I batalion ON zdobył zaś samochód dowódcy 207 DP i generał musiał pieszo uciekać do Wejherowa razem ze ścisłym sztabem.

Rankiem 12 września linia polskiej obrony przebiegała jeszcze na przedpolach Gdyni – przez Rewę, Rumie, Chwarzno i Orłowo. Ostre walki, a zwłaszcza przynajmniej przewaga wroga w artylerii, osłabiły jednak obrońców do tego stopnia, że płk Dąbek podjął nocą decyzję o wycofaniu się na Kępę Oksywską.

14 września Niemcy wtargnęli do Gdyni, co było osobistą tragedią dzielnego pułkownika, który wcześniej wystosował do mieszkańców płomienną odezwę, zapowiadając, że miasto będzie bronione

„do ostatniego tchu, do ostatniego żołnierza”.

Resztki wykrwawionych oddziałów narażone były na Oksywiu na ogień z morza (podpłynął m.in. „Schleswig-Holstein”), lądu i powietrza. W tych warunkach obrońcy wytrzymali jeszcze pięć dni. Ich determinacja była olbrzymia. 18 września na Podgórzu strzelec Kłoczko z wejherowskiej kompanii harcerzy, walcząc samotnie w ruinach zburzonego domu, zdetonował wiązkę granatów. Zginął, ale wraz z nim poniosł śmierć 12 napastników. Jeszcze o północy z 18 na 19 września Polacy usiłowali kontraktować. Do godz. 15 uległy ostatki walczących oddziałów.

Na stanowisku dowodzenia w Babim Dole został płk Dąbek wraz z kilkusetoma oficerami i żołnierzami. Byli z nim m.in. mjr Józef Szerwiński i kpt. Wacław Tym ze sztabu, dowódca 2. Morskiego Pułku Strzelców ppłk Ignacy Szpunar oraz 16 innych oficerów i żołnierzy. Pułkownik Dąbek nadał już do kontradmirała Unruga meldunek o upadku Kępy Oksywskiej, ale jeszcze przeszło godzinę sam strzelał z działka ppanc. do bombardujących stanowisko moździerzy, aż został ranny odłamkiem granatu. Wtedy zastrzelili się, uprzedzając żołnierzy, aby nie kontynuowali walki po jego śmierci. On, jak obiecał, walczył „do ostatniego tchu”. Nasuwają się skojarzenia z sienkie-

wiczowskim mitem pułkownika Wołodyjowskiego...

Jednak polskie działa nad Bałtykiem jeszcze nie umilkły. Dowódca Rejonu Umocnionego Hel, dawny oficer carskiej marynarki wojennej, 47-letni kmr Włodzimierz Steyer miał pod rozkazami ok. 2,8 tys. żołnierzy (batalion KOP złożony z dwóch kampanii piechoty i kompanii ckm-ów, dwie rezerwowe kompanie przeciwdesantowe, „spieszni” marynarze) oraz czterodziałową baterię im. kmr. Heliodora Laskowskiego 152 mm (po 186 pocisków na działo), dwie dwudziałowe baterie 105 mm, po kilkanaście dział 75 mm i przeciwlotniczych. Do upadku Kępy Oksywskiej Niemcy nie atakowali większymi siłami, przeprowadzili tylko trzy natarcia, łatwo odparte u nasady półwyspu. Ciężkie działa z Helu trzymały na dystans okręty Kriegsmarine. W trzeciej dekadzie września wrogowie wznieśli jednak bombardowania z morza, lądu i powietrza, mając łatwe cele na tym wąziutkim pasemku ziemi. Aby utrudnić Niemcom ataki lądowe, między Kuźnicą i Jastarnią wysadzono zaporę minową, przecinając półwysep, gdyż w leje po wybuchach wdarła się woda. Dowódca skapitulował dopiero 2 października, kiedy przestały nadchodzić wieści o walkach w głębi kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Groby obrońców Kępy Oksywskiej FOT. MMW

Wieść o wkroczeniu Rosji w granice Rzeczypospolitej przywalała nas niczym góra i jużemy się spod niej nie

wygrzebali do końca. Odczuło się od razu zmianę w nastrojach, w ogniu, który ogarnął wielu i płonął jeszcze płomieniem odwagi, czynu i inicjatywy, a który na wieść o nowej wojnie przysnął i przeszedł w stadium tlenia. Ja sam też opuściłem skrzydła [...], na wieść o wkroczeniu Rosji coś się we mnie załamało, zrozumiałem bezradność, pojąłem, że paraliż ogarnął organizm państwowy, na który wtoczył się dodatkowy ciężar kolosa rosyjskiego, łamiąc pozostałe resztki, któryśmy jeszcze władali”

– wspominał szef sztabu Dowództwa Obrony Warszawy płk dypl. Tadeusz Tomaszewski.

Podobna była ocena innych oficerów DOW.

„Nota Mołotowa do Grzybowskiego zabiła mnie z nóg na kilka godzin. Leżałem na łóżku w moim pokoju w Dowództwie, jak bez duszy. A więc Rosja zastąpiła Hitlerowi Włochy, a więc to niewątpliwie koniec i naszej polskiej wojny!” – zapisał w dzienniku ppłk Wacław Lipiński. Lecz codzienny komunikat, dotyczący sytuacji broniącej się przed agresorami Polski, Lipiński zakończył słowami: „Walka będzie prowadzona nadal”.

„Lany poniedziałek”

W następnych dniach trwał ostrzał artyleryjski miasta, Niemcy bombardowali również Warszawę z powietrza. Naloty spowodowały liczne pożary, które gaszono z najwyższym trudem. Palił się Prudential przy pl. Napoleona, fabryka Norblina przy ul. Żelaznej. Pożary niszczyły Stare Miasto, Powiśle, drewnianą przeważnie zabudowę Pragi. Bomby spadły na ratusz miejski,



Zdjęcie wykonane przez amerykańskiego korespondenta Juliana Bryana przed Teatrem Wielkim, wrzesień 1939 r.

FOT. BEGW

1939 r.

Obrona Warszawy

Bój do ostatniej godziny



Marek Gałęzowski

Kiedy w dowództwie zaczęła dojrzewać myśl o poddaniu miasta, które nie mogło się już bronić, nacierający Niemcy napotkali mężny opór polskich żołnierzy

Muzeum Narodowe, Teatr Wielki. Płonęły szpitale. Jednak największym ciosem było uszkodzenie Stacji Filtrów i poważne utrudnienia w dostawie wody, a także Elektrowni Miejskiej na Powiślu 23 września, co pozbawiło obrońców prądu.

Kiedy i to ich nie złamało, 26 września Niemcy przystąpili do szturm generalnego. Poprzedził go największy z dotychczasowych nalotów na miasto. Jedenaście godzin od rana 25 września blisko 400 samolotów niemieckich zrzucało bomby, których przeznaczeniem były nie tyle pozycje wojskowe, ile samo miasto, jego ludność cywilna i infrastruktura. „Paręset samolotów nadlatujących systematycznie falami zrzuca ładunki bomb burzących i zapalających na centralne dzielnice Warszawy. Szpitale oznaczone znakami Czerwonego Krzyża niszczone są planowo na równi z gmachami publicznymi, świątyniami i blokami mieszkalnymi [...]. Lotnicy ostrzeliwują masowo ludność z broni pokładowej. Liczba równoczesnych pożarów w mieście oceniana jest na 200, przy czym niektóre z nich obejmują całe ulice [...]”. Życie miasta jest całkowicie sparaliżowane – pisał świadek nalotu, Władysław Bartoszewski.

Wieczorem, w budynku Poczty Kasy Oszczędności, gdzie znajdował się schron DOW, gen. Tadeusz Kutrzeba pytał ppłk. Lipińskiego o dalszy cel kontynuowania walki: „Nie wiążemy już nic i nikogo, jesteśmy już tylko wyspą, nie czekamy na żadną odsiecz, bo jej nie będzie, nic nie jesteśmy w stanie zmienić [...]”. Za tę obronę płaci Warszawa, płacą tak straszliwie jej mieszkańcy [...], miasto zostanie zrównane z ziemią, jeśli zostanie rozpoczęty atak i niech przełamią Niemcy naszą linię, niech wdrą się do miasta – nastąpi rzeź”.

Dowódcy znad Bzury wtórowali inni oficerowie – ppłk Aleksander Pragłowski i mjr Karol Riedl, którzy prosili wręcz – „skończcie z tą obroną, nie przedłużajcie jej, z Warszawy kamień na kamieniu nie zostanie. Pragłowski już wprost powiada: wysłać parlamentarzysty do Niemców, kapitulować...” – pisał Lipiński. Sam Lipiński należał do przeciwników kapitulacyjnych nastrojów. Jednak i on zmienił zdanie po wyjechaniu wieczorem na ulice płonącej stolicy: „Biją dalej na nieszczęsne miasto, na palące się ulice, na oszalałą z przerażenia ludność. [...] Wśród



Niemieccy żołnierze na ul. Grójeckiej

FOT. NAC

rozżarzonych ogniem ulic [...] zapadła we mnie wewnętrzna decyzja. Dość. Nie mamy prawa. Warszawa zrobiła swoje – czas kończyć...”.

Wysadzony fort

Kiedy jednak w dowództwie zaczęła dojrzywać myśl o poddaniu miasta, nacierający następnego dnia po straszliwym „lanym poniedziałku” Niemcy napotkali na mężny opór polskich żołnierzy. A nawet więcej. Jak bowiem pisał Józef Wroniszewski w swojej *Obrobie Warszawy*, „początek niemieckiego szturm uległ zwłoce ponadgodzinnej, spowodowanej dwoma działaniami bojowymi z nocy i wczesnego ranka, których inicjatywy wyszły ze strony polskiej”. Na Mokotowie Polacy podjęli próbę zdobycia fortu Dąbrowskiego, na który uderzyli szwoleżerowie rtm. Antoniego Wieniawskiego, i pałacyku Królikarnia, gdzie atak prowadził dowódca południowego odcinka obrony Warszawy, ppłk Kazimierz Galiński. Ten ostatni, bohater wojny z bolszewikami, którą zakończył jako kawaler Orderu Virtuti Militari, kilka lat przed wybuchem drugiej wojny przeszedł w stan spoczynku. We wrześniu 1939 r. natychmiast wrócił do służby. Był bardzo ceniony przez przełożonych za swoją energię i ofiarność, a ppłk Marian Porwit świadczył, że robił więcej dla obrony miasta, niż przedstawiał to w swoich meldunkach.

Polskie uderzenie zostało jednak powstrzymane przez Niemców. Poległo wielu szwoleżerów, na czele z rtm. Wieniawskim, zaś w rejonie Królikarni – piechurów Galińskiego, który sam został śmiertelnie ranny.

Drugie natarcie polskie skierowano na fort Szcześliwice na Ochocie. Znajdował się on w strefie niczyjej, ale w dzień zajmowali go Niemcy, skąd dotkliwie ostrzeliwali pozycje polskie. I chociaż w Dowództwie Obrony Warszawy nie widziano szans zdobycia i utrzymania fortu, to dowódca 40 pp Dzieci Lwow-

skich ppłk Józef Kalandyk zdecydował się podjąć próbę usunięcia stamtąd Niemców. Także tutaj nie udało się osiągnąć powodzenia.

Po tych polskich atakach rozpoczął się szturm

niemiecki. Poprzedził go potężny ostrzał artyleryjski. Tego dnia Niemcy na minutę mogli wystrzelić nawet ok. 4 tys. pocisków, gdy polska artyleria miała już tylko po kilkanaście pocisków na działo (przeciwlotnicza była ich w ogóle pozbawiona). Jak zauważył Apoloniusz Zawilski: „W tym jednym dniu Niemcy wystrzelili więcej pocisków artylerii, niż Polacy mieli od początku do końca oblężenia”.

Pierwszym celem był fort Czerniakowski, obsadzony przez żołnierzy 360 pp. Wspominał jeden z oficerów polskich, ppor. Michał Gazicki: „Okolo godz. 5.00 Niemcy próbowali zająć fort przez na wpół zerwany mostek na forcie. Zabroniłem strzelać, by umożliwić Niemcom przejście. Dopiero po tej stronie otworzyliśmy ogień z odległości 50 metrów. Sukces ten kosztował Niemców kilkudziesięciu zabitych i rannych. Po pewnym czasie Niemcy zarzucili fort pociskami z ciężkich moździerzy. Ogień ten trwał dość długo; obsada na forcie miała duże straty. Równocześnie uderzył wróg na mostek i na domy, które kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Po stracie domu utrzymanie mostku stało się niemożliwe. Moje przeciwnatarcia nie odniosły skutku. Niemcy wdarli się na wierzch fortu” [cyt. za: „Obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. w relacjach jej uczestników”, „Niepodległość i Pamięć” 2010, nr 1]. Stopniowo w zaciętym boju Niemcy zepchnęli obrońców do pozostałych budynków, tych jednak nie mogli zdobyć. Lecz wkrótce ppor. Mieczysław Cichowski zameldował, „że słychać kucia w ścianie fortu”. To niemieccy saperzy zakładali miny i po pewnym czasie wysadzili znaczną część budynków fortecznych, obsadzonych przez Polaków. Wśród poległych był i ppor. Cichowski. Jak relacjonował dalej Gazicki, „zebrałem resztę ludzi przy wschodniej bramie fortu, rozdałem po ostatnie pięć naboju. Brama była zasypana do połowy ziemią, od strony zewnętrznej przywalona bryką. Melduje się czterech ochotników chcących ją otworzyć. Praca bardzo ciężka pod ogniem ckm z odległości

■ 100 metrów. Trzech żołnierzy ginie. Najdłużej pracował kapral Lewandowski Stefan, wreszcie ranny w szyję, przyczółgał się do fortu. Widać było, że Niemcy pilnowali dobrze bramy, nie można ich było zaskoczyć. Ostatnia droga ratunku odcięta”.

Kiedy ostatni obrońcy fortu poddali się, Niemcy ruszyli dalej, szybko dotarli do ul. Chełmskiej. Polacy kontratakowali, odrzucając nieprzyjaciela, by jednak wkrótce cofnąć się ponownie na linię Chełmskiej, gdzie szczególnie zacięte walki toczyły się w pobliżu kaplicy, a dziś kościoła św. Kazimierza.

Na Ochocie

Silny atak niemiecki na Warszawę ruszył również z kierunku południowego zachodu. Tak przedstawiał go płk Kalandyk: „O godz. 9.10 nieprzyjacieli przystąpił piechotą do natarcia na odcinku 11/40 pp wsparty potężnym ogniem artylerii, który w pewnych momentach swego natężenia miał cechy ognia huraganowego. Natarcie przeciwnika kierowało się na odcinek Czyste – Ochota. [...] Bardzo gwałtowna walka trwała od godz. 9.10 do godz. 16.00 i wszelkie próby wdarcia się w pozycję obronną nie miały powodzenia. Straty w obu kompaniach dochodzą do 40 proc.”.

Kiedy poległ dowódca jednego z batalionów 40 pp mjr Antoni Kassian, obrona zaczęła się łamać. Lecz przybycie na pozycje pułkowników Kalandyka i dowódcy 56 pp Wojciecha Tyczyńskiego umocniło ducha i pozwoliło zorganizować kontratak, który odrzucił Niemców z ul. Częstochowskiej i zmusił do zaniechania dalszych prób wdarcia się w głąb polskich pozycji.

Jeszcze cięższe walki toczyły się na pobliskich Szczęśliwcach, przy torach linii kolejowej, prowadzącej do Dworca Zachodniego. Kiedy Niemcy zepchnęli jedną z kompanii pułku Dzieci Lwowskich z jej stanowisk, uderzyły przeciw nim inne i powstrzymały napór nieprzyjaciela przy ul. Kopińskiej, już w najbliższym sąsiedztwie Dworca Zachodniego. Natarcie Polaków dotarło do parowozowni szczęśliwickiej. Tam doszło do zaciętej walki wręcz. Spośród oficerów pułku Dzieci Lwowskich poległ wówczas ppor. Leon Fisch, polski Żyd, w cywilu lwowski adwokat. Tak się stało, że zginął w swoim miodowym miesiącu, gdyż ślub

wziął w przededniu wyruszenia na wojnę. Polacy, odparci, uderzyli z determinacją ponownie, ale i tym razem musieli się cofnąć z ciężkimi stratami.

Po południu trzecią próbę zdobycia parowozowni podjął ppłk Leopold Okulicki, rzucając do ataku grupę wypadową mjr. Zygmunta Zbrowskiego. W jej skład weszli m.in. żołnierze Lotniczego Oddziału Szturmowego, złożonego z pilotów, którzy utraciwszy swoje maszyny kontynuowali walkę na ziemi. Jak pisze w swojej „Polsce walczącej” Jerzy Ślaski: „Na najtrudniejszych odcinkach i wykonujący najtrudniejsze zadania”. Uderzenie wsparł pluton czołgów rozpoznawczych w liczbie dziewięciu tankietek – stoczył chyba ostatnią walkę polskich sił pancernych we wrześniu 1939 r. I to natarcie było nieudane, a idący w awangardzie lotnicy ponieśli dotkliwe straty. Kapitan Antoni Klimas, główny organizator lotniczego oddziału, w walce wręcz został ciężko ranny. W nocy z 26 na 27 września polscy żołnierze podjęli jednak czwartą próbę. I tym razem Niemcy nie wytrzymali. Pluton prowadzony przez por. Zdzisława Pacaka-Kuźmierskiego „zdobył parowozownię, błyskawicznym szturmem niszcząc niemal w całości niemiecką kompanię” (Wroniszewski). Odbito też rannych lotników, w tym kpt. Klimasa.

Antoni Klimas jako 15-latek wstąpił do I Brygady Legionów, za wojnę z bolszewikami został odznaczony Orderem Virtuti Militari. Długo leczył się z ran. Jako inwalida nie poszedł do niewoli. Wstąpił do Armii Krajowej, służył w Wydziale Lotnictwa Oddziału III KG AK i wziął udział

w Powstaniu Warszawskim, kończąc służbę w stopniu podpułkownika WP. Ten bohater po wojnie został „nagrodzony” prześladowaniami komunistycznymi – „kilkakrotnie aresztowany i zwalniany nie miał chwili spokoju” (Ślaski), popełnił samobójstwo w grudniu 1949 r.

Bieleński klasztor

Z Młocin ruszył niemiecki atak na Bielany w północnej części miasta, bronione przez 60 pp. „Atak nie przyniósł nieprzyjacielowi większych sukcesów. Niemcy zostali powstrzymani na linii Lasku Bieleńskiego” (Wroniszewski).

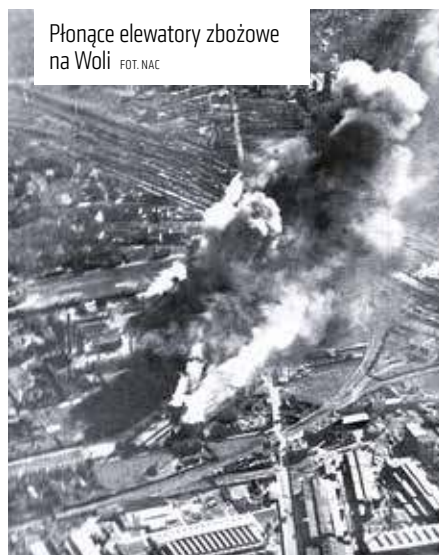
To zapewne obronę pokamedulskiego klasztoru Zgromadzenia Księżki Marianów opisano w jednej z niemieckich relacji, którą cytujemy za artykułem Józefa Mackiewicza, opublikowanym w wileńskiej „Gazecie Codziennej” w listopadzie 1939 r.: „Na lewo klasztor. Tam się ukrywa większa liczba żołnierzy polskich. Ciągłe naprzód. Ale pada znów jeden, znów drugi »fürs Vaterland«. Polacy stawiają wściekły opór. I my strzelamy ze wściekłością, przylegając do ziemi. »Szybko ładować – dobrze celować!« – pada komenda wzdłuż linii. Ale wciąż go zagłusza inny okrzyk: »Sanitariusze, sanitariusze«. Ciężka artyleria rozpoczyna znów ogień i przeruza na dalekie tyły przeciwnika. Odpowiada nam gęsto i gęsto ścielą się trupy”. Niemcy przerwali walkę, gdy dowództwo polskie zdecydowało o poddaniu stolicy.

26 września 1939 r. w Warszawie żołnierze Wojska Polskiego spełnili więcej, niż nakazywały obowiązki i poczucie honoru. Dowiedli, że nie były banałem słowa wypowiedziane kilka miesięcy wcześniej w Sejmie RP przez polskiego ministra spraw zagranicznych, do których odwoływał się Naczelnny Wódz WP. W chwili decydującego szturm Warszawy nie było ich już w kraju od dziewięciu dni. I nic już tego nie zmieni, a każdemu tłumaczeniu tej postawy tak odmiennej od męstwa walczących do ostatniej godziny obrońców stolicy Polski, towarzyszyć będą słowa Mariana Hemara: „O Polska tragedio plew, które ziarnami łudzą / Jak łatwo powiedzieć «krew», gdy chodzi o cudzą”.

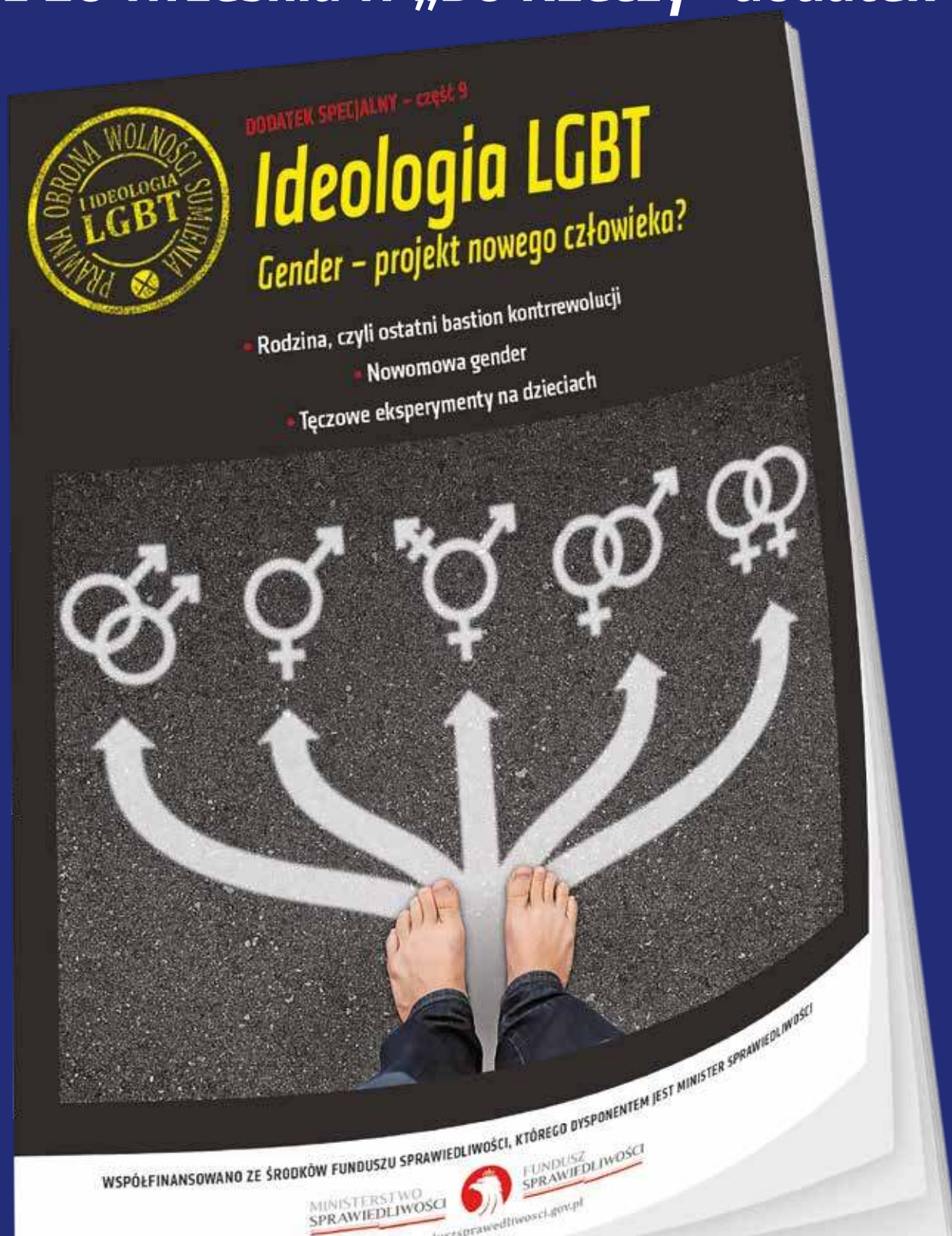
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

Płonące elewatory zbożowe na Woli
FOT. NAC



Już 20 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 1c46387460



Sławomir Koper

/ Pod gradem kul Józef Poniatowski zdołał się jeszcze wspiąć na skarpe po drugiej stronie Elstery, ale wówczas pocisk przeszył mu pierś...

Postać bratanka ostatniego króla Rzeczypospolitej znajduje się w każdym wykazie polskich bohaterów narodowych, a jego legendę utrwaliła bohaterska śmierć w bitwie pod Lipskiem. A jeszcze bardziej słowa, że Bóg powierzył mu honor Polaków.

Książę Pepi (czeskie zdrobnienie imienia Józef) był jednak nie tylko dzielnym żołnierzem. Jednocześnie bowiem ze sławą wojenną zyskiwał ogromne powodzenie wśród płci pięknej – i ochoczo z tego korzystał. W sprawach erotyki był zresztą prawdziwym demokratą; wśród jego kochanek można było znaleźć: arystokratki, mieszcзки, aktorki czy też pokojówki.

Ten ulubieniec Warszawy miał wyjątkowo rozrywkowy charakter i prawdziwie ułańską fantazję, dzięki czemu stał się bohaterem głośnego skandalu. Z powodu zakładu z jednym z kolegów przejechał bowiem konno Warszawę w stroju adamowym, budząc sensację. Okna budynków na trasie przejazdu księcia były oblegane, a ich właściciele pobierali za wstęp sowite opłaty. Zdążyło mu się również podróżować nago powozem. Nic zatem dziwnego, że na jego wyczyny powoływali się polscy ułani w czasach II RP z Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim na czele.

Książę Pepi dobrze bił się podczas kampanii napoleońskich, a w trakcie wyprawy na Rosję zajmował stanowisko dowódcy jednego z korpusów. Pod Wiazmą został poważnie ranny i do Warszawy powrócił kontuzjowany, ale natychmiast rozpoczął odtwarzanie armii Księstwa Warszawskiego. Przy okazji w ogóle nie brał pod uwagę możliwości poddania się carowi Aleksandrowi I i zwalczał kapitulancie nastroje. Rosyjski impe-

1813 r. / Śmierć tylko honorowa czy także rozumna?



Książę Józef pod Lipskiem

rator kokietował bowiem polskie elity perspektywą zjednoczenia ziem dawnej Rzeczypospolitej pod swoim berłem. A co ważniejsze, znajdował wielu zwolenników.

Poniatowski, będący ministrem wojny Księstwa Warszawskiego, czuł się przede wszystkim żołnierzem, który ślubował lojalność wobec Napoleona. Czy jednak

wierzył, że cesarz ma jeszcze szansę na zwycięstwo? Raczej wątpliwe.

Noc w Krakowie

Na początku lutego 1813 r. Poniatowski wyprowadził podległe sobie oddziały ze stolicy i ruszył na południe. Warszawa

była zagrożona przez Rosjan, a księżę oczekiwał na informacje z zachodniej Europy, gdzie cesarz Francuzów zbierał nową armię. 20 lutego Pepi dotarł do Krakowa, gdzie dowiedział się, że nie ma szans, by na ziemi polskie dotarły francuskie posiłki, tym bardziej że lojalność sprzymierzonych państw niemieckich stała pod znakiem zapytania. Mimo to księżę odpowiadał kolejnym carskim wysłannikom, że „w politykę się nie wdaje”, a „jako żołnierz honoru swego strzeże”.

W kwietniu do Krakowa przybył przyjaciel Poniatowskiego, książe Antoni Radziwiłł. Ponowił propozycję poddania się carowi, który zawarł już formalne przymierze z Prusami. Być może właśnie wtedy padła też propozycja, by Pepi objął w przyszłości polską koronę. Książe Józef pozostał jednak niewzruszony i polecił przyjacielowi opuścić miasto potwierdzając po raz kolejny, że honor ceni przede wszystkim.

W nocy z 6 na 7 maja 1813 r. Poniatowski w samotności analizował sytuację. Gdyby chodziło tylko o niego, zapewne by się nie wahał i bez słowa podążyłby na zachód do Napoleona. Ale podlegało mu kilkanaście tysięcy ludzi, za których czuł się odpowiedzialny. Poza tym wiedział, że jego decyzje wpłyną na sytuację Polski w Europie. Obawiał się, że poddanie się rosyjskiemu dyktatowi spowoduje, iż z Polakami nikt już nie będzie się liczył. W ten sposób przepadałaby piękna karta osiągnięć militarnych z ostatnich lat, gdy postawę polskich żołnierzy podziwiała cała Europa.

Poniatowski kazał sobie przynieść gorzałkę, inkaust i pióro, a na stole położył dwa nabite pistolety. W ponurym nastroju pił wódkę gotowy do napisania listu pożegnania lub może – co bardziej prawdopodobne – testamentu politycznego. Podobno ukazało mu się wówczas widmo białej damy, która od lat zapowiadała jego rodzinie tragiczne wydarzenia. Król Stanisław August miał ją widzieć przed pierwszym rozbiorem, a potem po rzezi Pragi, natomiast sam Pepi – przed wyprawą Napoleona na Rosję. Po raz kolejny ujrzał zjawę podczas odwrotu znad Berezyny, a teraz ukazała mu się po raz trzeci. Książe był pewien, że zapowiada kolejną tragedię, ale podjął decyzję, że nie opuści Napoleona.

Jeszcze tego samego dnia Poniatowski wyruszył, by połączyć się z cesarzem. Prowadził niespełna 17 tys. ludzi,

Bal w Sukiennicach na cześć księcia Józefa Poniatowskiego, 1809 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA



a wśród nich oddział bitnych krakusów. Była to formacja lekkich kawalerzystów uważanych za następców kosynierów Kościuszki. Dosiadali drobnych, ale wytrzymałych wierzchowców, a ich umundurowanie i uzbrojenie upodabniało ich nieco do rosyjskich kozaków.

Wojsko polskie maszerowało do Saksonii, by tam połączyć się z Napoleonem, którego armia nadeszła z Francji. Po drodze Pepi dowiedział się o zwycięstwach cesarza pod Lützen i Budziszynem, ale raczej już nie wierzył, że karta może się jeszcze odwrócić. Dobrze wiedział, że na rosyjskich pustkowiach pozostali na zawsze najlepsi francuscy oficerowie i żołnierze, a nowy zaciąg nie mógł uzupełnić takich strat.

Już na terenie Niemiec doszło do walk z Rosjanami i Prusakami, lecz Poniatowskiemu udało się dotrzeć do głównych sił cesarza. Napoleon był pod wrażeniem jego lojalności, a dodatkowo zachwycił się krakusami. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że ta „pigmejska jazda” bez problemu daje sobie radę z kozakami.

Polacy po raz kolejny potwierdzili swoje umiejętności, a Poniatowski, pod Zedlitz wyruszył osobiście na czele szarży na rosyjskich strzelców. Podobno chciał dać dobry przykład swoim żołnierzom, ale takie zachowanie mogło sugerować, że książe szuka efektownego zakończenia swojej biografii. Zawsze zresztą powtarzał, że należy „albo zwyciężyć, albo umrzeć ze sławą”.

Pierwszego dnia bitwy pod Lipskiem dostał nominację na marszałka Francji. Mimo że był to jedyny taki awans obcokrajowca w armii cesarza, Poniatowski nominację przyjął „z powinną wdzięcz-

nością, lecz zresztą z obojętnością zupełną” i nie planował zamiany „polskiego munduru na uniform francuskiego marszałka”. Co więcej, w rozmowach z otoczeniem wyraził się, że „jeśli nie będzie wojny o Polskę, to nikt go też inaczej jak w cywilnym surducie nie zobaczy”.

Rozpoczęta 16 października 1813 r. bitwa była największym starciem zbrojnym kampanii napoleońskich. Napoleon miał siły o połowę mniejsze – dysponował 175 tys. żołnierzy wobec 360 tys., miał również znacznie mniej armat (700 dział wobec 1500). Gorzej, że część armii cesarza stanowili niemieccy sprzymierzeńcy, których lojalność była wątpliwa.

Pod Lipskiem

Nie bez powodu Napoleona nazywano bogiem wojny – przez dwa dni żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi. 18 października sprzymierzeni zaczęli jednak wypierać wojska cesarskie, lecz kolejne kontrataki odrzuciły siły koalicji na poprzednio zajmowane stanowiska. Szczególnie odznaczył się korpus księcia Józefa, który wraz z oddziałami marszałków Nicolasa Oudinota i Pierre’a Augereau zmusili do odwrotu rosyjskich kirasjerów. Podobno austriacki bliski przyjaciel Polaka, książe Karl Schwarzenberg miał powiedzieć, że „trzeba ustąpić i wstrzymać rzeź”, gdyż „nie pokonają dziś Poniatowskiego”.

Nadciągnęły jednak kolejne oddziały sprzymierzonych – Polacy i Francuzi zostali odepchnięci z zajmowanych pozycji. Co gorsza, niebawem otrzymano wiadomość, że część wojsk saskich przeszła na

■ stronę wroga. Księżę Pepi nie spał tej nocy. Nie był już młodzieńcem, skończył 50. rok życia i czuł zmęczenie. Był dwukrotnie ranny w rękę (raz piką, raz kulą). Wiedział, że bitwa jest przegrana, a ponad połowa jego ludzi zginęła lub trafiła do niewoli. Uważał jednak, że „można stracić wszystko z wyjątkiem honoru”.

Z klęskę zdawał sobie sprawę również Napoleon i podjął decyzję o odwrocie. Doskonale wiedział, że nie będzie to łatwe zadanie – postanowił więc poświęcić część sił, by reszta mogła się uratować. Najbardziej wysunięte pozycje zajmowały oddziały Poniatowskiego i marszałka Étienne’a MacDonalda, który zauważył, że „po cóż by Polacy istnieli na świecie, jak nie po to, by ich wysyłać na pewną śmierć”. Jednak gdy cesarz nie zmienił rozkazów, Poniatowski stwierdził, że Polacy utrzymają pozycje i „wszyscy gotowi są poleć”. Podobno nocą ponownie ukazała mu się biała dama...

Gdy rankiem podniosła się mgła, ponownie rozgorzały walki. Pod naporem sprzymierzonych polskie oddziały cofały się w kierunku centrum Lipska, a Poniatowski wydawał się być wszędzie. Mimo że sprawiał wrażenie „zmienionego i smutnego”, zachęcał podwładnych do wytrwania, nawołując, by pamiętali, „że są Polakami”.

Osobisty przykład księcia, który walczył jak zwykły żołnierz, podzielał na morale podwładnych – na krótko zatrzymano Austriaków i Prusaków. Jednak kolejne natarcie zachwiało Polakami, a wtedy na stronę przeciwnika przeszła stojąca dotychczas w rezerwie kompania żołnierzy z Badenii. Skierowali swoje karabiny w plecy Polaków i otworzyli ogień. Poległ wówczas dowódca Pułku Piechoty Nadwiślańskiej, płk Stanisław Malczewski, a także wielu jego podwładnych.

Tymczasem Poniatowski wycofał się na teren ogrodów położonych nad rzeką Pleissą. Wciąż zachęcał swych żołnierzy do wzmożonego wysiłku, choć wiedział, że nie mają już sił. Towarzyszył mu MacDonald, któremu podlegały resztki jego własnego korpusu. Gdy jednak zaatakowali Prusacy, a zaraz potem pojawili się Rosjanie ze wsparciem artylerii, część Francuzów się poddała. Poniatowski walczył jednak nadal i nawet trzecia rana



Ciało księcia Józefa Poniatowskiego odnalezione w Elsterze
FOT. DOMENA PUBLICZNA

(kula trafiła między obojczyk i łopatkę) nie zmusiła go do oddania dowództwa. Wprawdzie walka coraz bardziej przypomina bezładną rąbaninę na bagnety i kolby, ale księciu udało się jeszcze zarządzić w miarę uporządkowany odwrót. Odmówił też opatrzenia rany, krzycząc, że „nic to, dzieci, naprzód!”.

Konieczna była przeprawa przez mocno wezbraną po jesiennych deszczach Pleissę, a Poniatowski dostał kolejny postrzał – tym razem kula uszkodziła żebra. Rana była znacznie poważniejsza niż poprzednie, księżę chwiał się w siodle, musieli podtrzymywać go adiutanci. Nie myślał jednak o kapitulacji, choć podwładni błagali, by ocalił życie dla Polski. Zapewne był już wówczas zdecydowany na walkę do końca i śmierć na polu bitwy.

Polacy zostali przyparci do Pleissy i forsowali ją wpław. Poniatowski przed rzucał się konno w nurt rzeki powiedział, że „chcę zginąć śmiercią walecznych”, lecz los darował mu jeszcze kilkadziesiąt minut. Wprawdzie nurt rzeki porwał konia, ale towarzyszący mu sztabowcy doholowali dowódcę do brzegu.

Garstka Polaków przedzierała się pieszo ku Elsterze, którą także mieli pokonać wpław. Francuscy saperzy przedwcześnie bowiem wysadzili most, odcinając w ten sposób kilkanaście tysięcy ludzi na drugim brzegu. Nad rzeką księcia znów dosięgła kula z karabinu – padł w ramiona otaczających go oficerów. Gdy odzyskał przytomność, wsiadł na podanego mu konia i chociaż chwiał się w siodle, nie dał się opatrzyć i po raz kolejny kategorycznie odmówił poddania się. To właśnie wówczas padły słynne słowa, że „Bóg powierzył mi honor Polaków i tylko Bogu go odda”. Na brzegu Elstery powiedział jeszcze do współtowarzyszy: „Kto kocha Boga i ojczyznę”, niech rusza za nim.

Rzucił się konno do rzeki, a wtedy z przeciwnego brzegu rozległy się strzały. Pod gradem kul Poniatowski

zdołał się jeszcze wspąć na skarpę po drugiej stronie, ale wówczas kula przeszła mu klatkę piersiową. Na dodatek pękł popręg i księżę zwałił się do rzeki. Zniknął pod powierzchnią wody i już nie wypłynął.

Więcej szczęścia miał marszałek MacDonald, któremu w innym miejscu

udało się forsować Elstere. Przeżył bitwę i dołączył do Napoleona, brał też udział w kolejnych potyczkach cesarza. Po abdykacji Bonapartego stał się natomiast stronnikiem dynastii Burbonów

Życie po życiu

Paradoksem śmierci Poniatowskiego był fakt, że księżę zginął od... sprzymierzonej francuskiej kuli. W ostatnich chwilach towarzyszyło mu bowiem kilkunastu podwładnych, wśród których byli krakusi. Podobni do kozaków zostali uznani przez Francuzów z drugiego brzegu rzeki za Rosjan. Ogień skoncentrowano na oficerze znajdującym się na czele grupy – i szukający śmierci księżę Józef znalazł ją z rąk sojusznika.

Ciało Poniatowskiego wyłowiono po pięciu dniach. Po identyfikacji zwłoki zostały przeniesione na cmentarz w Lipsku, a nad Elstere ustawiono pamiątkowy kamień. Resztki polskich oddziałów wycofały się wraz z Napoleonem na zachód i miały służyć cesarzowi do czasu jego abdykacji w kwietniu 1814 r. Bonaparte zastrzegł wówczas, że Polacy będą mieli prawo do honorowego powrotu do ojczyzny z bronią i sztandarami. Wraz z nimi trafiła do kraju trumna z ciałem Poniatowskiego, która w lipcu 1817 r. została przeniesiona na Wawel.

Zachowanie księcia Józefa w ostatnich dniach życia może wydawać się bardzo pompatyczne, jednak Poniatowski doskonale wiedział, jak ma postępować. Nie bez powodu co chwila podkreślał, że najważniejszy jest dla niego honor narodu i wojska polskiego. Czasami ważne są bowiem symbole i słowa, które na długie lata potrafią osłodzić poczucie klęski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki „Historyczne archiwum X. Tajemnicze zgony znanych Polaków” (Frona)

MÓWI SIĘ

od **poniedziałku**
do **czwartku**

20:25

zaprasza
Jacek Sobala

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 1c46387460

1410-1960 /

„Krzyżacy”



Kadr z filmu „Krzyżacy”

FOT. FILMOTEKA NARODOWA

Ekranizacja powieści Henryka Sienkiewicza

wedle Gomułki



Jakub Ostromięcki

Krzyżacka polityka była oczywiście podyktowana chęcią oderwania Litwy od Polski, ale nie było wówczas żadnego „Wschodu” walczącego z „Zachodem”...



Sienkiewiczowska koncepcja konfliktu z Krzyżakami opierała się na założeniu, że państwo zakonne było two-rem doszczętnie zepsutym, zbrodniczym, nienasyconym.

Taki konstrukt tkwił powszechnie w głowach naszych przodków w drugiej połowie XIX w. Jest on psychologicznie wytłumaczalny, biorąc pod uwagę to, jak bardzo przerażająca była dla Polaków z Wielkopolski, Górnego Śląska i Pomorza germanizacja, napędzana dodatkowo potęgą niemieckiego przemysłu, sprawnością szkolnictwa, administracji, armii.

Ekranizacja „Krzyżaków” (1960) przypadła na erę Gomułki. Aleksander Ford nie zamierzał więc obalać powyższej narracji, skoro będący u steru władzy I sekretarz KC PZPR z germanofobii uczynił partyjny dogmat. W latach 60. do Sienkiewiczowskiej epopei dołączono jednak dwa komunistyczne mity. Fordowski Ulryk von Jungingen co i rusz peroruje: „Wspiera nas kwiat rycerstwa całej Europy”, „Nasza europejska sztuka wojenna stoi wyżej”, dając nam jednocześnie prztyczki i pogardliwie wymyślając od „Wschodu”. Komuniści rzekli bardzo jasno: Oto alegoria konfrontacji NATO i Układu Warszawskiego. Skoro w 1410 r. byliśmy zwycięskim Wschodem, to i teraz nim będziemy. W propagandowym szale Ford posunął się jeszcze dalej, każąc von Jungingenowi bredzić o tysiącletnim panowaniu nad Wschodem, a jego komturom krzyczeć na cześć wodza trzykrotnym gromkim „Hail”. Widz miał wiedzieć, że Niemcy byli nazistami co najmniej od średniowiecza.

Średniowieczni esesmani

Filmowa wizja mrocznego imperium, które rozsiało się nad Bałtykiem, zagrażając miłującym pokój Słowianom i Bałtom, jest jednak kompletnie ahistoryczna. Każde bowiem państwo w tej części Europy przechodziło przez etap, w którym starało się uzyskać jak

największy rozmiar, kierując się chęcią zabezpieczenia ziem położonych wokół naczelnych grodów dzierzonych przez władcę i jego najbliższych krewnych. Taki ekspansjonizm musiał zawsze sięgnąć „po cudze”. Postępowanie zakonu niczym nie różniło się zatem od pierwszych dziesięcioleci istnienia naszego państwa, które przecież też powstało na drodze brutalnego podboju. Zresztą nie trzeba sięgać ku pierwszym Piastom. Łokietek walcząc o polską koronę (z innymi Polakami dodajmy), był nie mniej okrutny od Krzyżaków – rzeźników Gdańska. A czym wytłumaczyć litewski podbój księstw ruskich w XIV w.? Przecież nie „walką z poganami” ani „odbieraniem tego, co kiedyś było nasze”.

Polscy rycerze od końca XIV w. szykowali się do walnej rozprawy z zakonem, pamiętając zabór Pomorza Gdańskiego. Pod Grunwaldem było jednak wielu takich, którzy jeszcze 25 lat wcześniej jako młodzikowie uczestniczyli w krzyżackich rejach na Litwę. Po unii w Krewie w 1385 r. awantury te były już oczywiście surowo zakazane. Wśród Witoldowych bojarów jeszcze świeższa była pamięć o Krzyżakach wspierających kniazia w fa-

talnej rozprawie z Tatarami pod Worskłą w 1389 r. i w wojnach z Moskwą toczonych w latach 1404–1408. Pruscy panowie przełknęli też litewskie zakusy na Psków, choć w myśl układów w Raciążku z 1404 r. miał być on krzyżacką, a nie litewską strefą wpływów. Oczywiście krzyżacka polityka nie była podyktowana dobrocią serca, tylko chęcią oderwania Litwy od Polski, ale

świadczy wyraźnie: nie było wówczas żadnego „Wschodu” walczącego z „Zachodem”. Pod Wiaźmą i Worskłą „Zachodem” była wszak koalicja krzyżacko-polsko-litewska.

Krzyżackie panowanie nie musiało być wszędzie niemiłe Polakom. W 1392 r. Władysław Opolczyk, Piast, zastawił u Krzyżaków ziemię dobrzyńską. Rycerze z owej krainy byli zadowoleni z krzyżackiego 13-letniego panowania. Sprawa owego zastawu dobrze pokazuje racje obu stron konfliktu. Zakon był święcie



przekonany, iż ziemię ową nabył legalnie od jej prawowitego właściciela z rodu Piastów. My zaś staliśmy twardo na stanowisku, że żaden z piastowskich książąt nie ma prawa odstępować nikomu terytoriów, które wchodziły dawniej w skład Królestwa Polskiego. Jagiełło próbował zresztą pozbyć się Krzyżaków z ziemi dobrzyńskiej siłą, a gdy to nie poskutkowało, rycerze z całej Korony zrzucili się na olbrzymią kwotę zastawu i Jagiełło spłacił sporny teren. Nie było w owym konflikcie dobrych i złych. Były za to dwa państwa z tego samego kręgu kulturowego o odmiennych interesach potrafiące dość sprawnie zaprezentować swoje argumenty na arenie międzynarodowej.

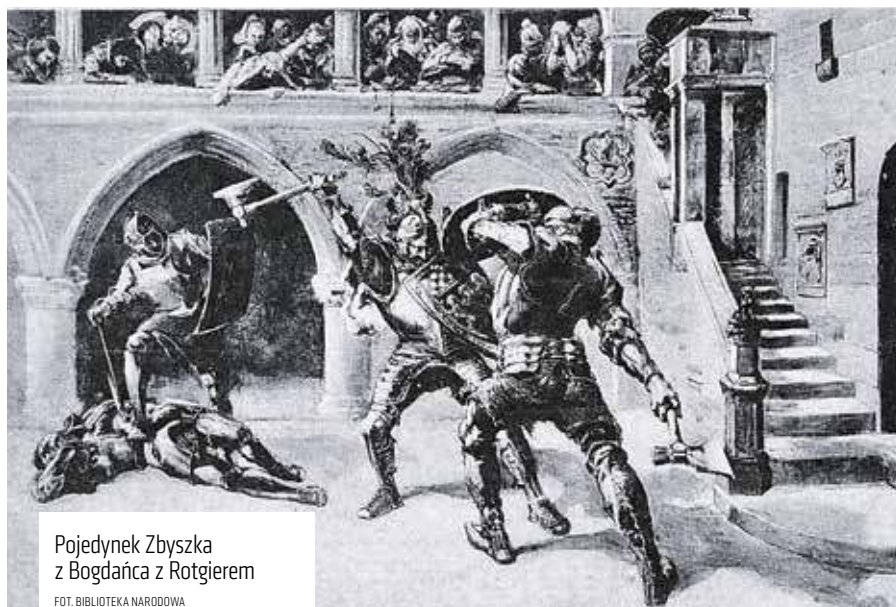
Malborskie negocjacje

W filmie nasi wielmoże postępują do Malborka do wielkiego mistrza Konrada von Jungingena, starszego i, jak chce wielu, mądrzejszego brata słynnego Ulryka. Ów dostojnik zmarł w 1407 r., toteż nie mógł wysłuchać polskich i litewskich skarg na zatrzymanie statków ze zbożem, które Jagiełło wysłał na cierpiącą nieurodzaj Litwę. Stało się to bowiem w 1409 r. To nie reżyserska zabawa z chronologią najbardziej wykrzywia tu obraz konfliktu. Prawdziwym casus belli było bowiem sprowokowane przez Witolda powstanie na Żmudzi. Ziemi, którą sam oddał zakonowi w Raciążku w 1404 r. Czy uzgodnił to skrycie z Krakowem – nie wiadomo. Dość powiedzieć, że Jagiełło był ukontentowany rozwojem sytuacji. Zakon był powstaniem zaskoczony, a konfiskata statków była skutkiem działań Witolda, a nie jego przyczyną, co szczegółowo opisane jest np. w monografii wojny wydanej przez Muzeum Zamkowe w Malborku.





Zamek w Malborku FOT. ADOBE STOCK



Pojedynek Zbyszka z Bogdańca z Rotgierem

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W malborskim refektarzu trwa uczta na cześć polskiego poselstwa. Stoły uginają się pod ciężarem mięsiva, kielichy pełne najprzedniejszych trunków. Pobożni, ślubujący czystość i ubóstwo bracia używają sobie tego. Wielu leży już pijanych pod stołami, inni śpiewają sprośne piosenki. Oto obraz zakonu pełnego pychy, obłudy i rozwiązłości. Wcale nie aż tak daleki od prawdy. Zakon nie przypominał już mnichów-rycerzy z czasów krucjat, a bardziej korporację zawodowo-polityczną. Dla braci zakonnych liczyło się bardziej to, czy podbity Prus płaci podatki i stawia się konno i zbrojnie niż to, czy wyznaje chrześcijaństwo. „Pozwólcie Prusom pozostać Prusami” – mówili nawet Krzyżacy. Malbork był faktycznie stolicą luksusu – kwoty wydawane na importowane wina czy obsługę łaźni były astronomiczne. Zbytki owe nie raziły jednak wcale polskich rycerzy – wszak bardzo chętnie przybywali tam na turnieje. Od Lizbony do Krakowa jak Europa długa i szeroka

w podobny sposób ucztowano i śpiewano rycerskie pieśni.

Pod sklepienie refektarza niesie się mocna pieśń „Tandaradeil”. Dlaczego Sienkiewicz wykorzystał ją w swej powieści, a Ford jeszcze hiperbolizował – tego nie dowiemy się nigdy. Dość powiedzieć, że utwór, którego autorem był słynny XIII-wieczny minnesinger Walther von der Vogelweide, ustami fikcyjnej dziewczyny opisuje miłosne spotkanie z kochankiem na łonie natury, a tytułowe „Tandaradeil” to... śpiew słowika. Z jakiegoś jednak powodu Ford kazał ów utwór wyrzeźbić Krzyżakom na nutę tyleż butną, co pijacką.

Pieści przeciw mieczom

Na początku XX w. na polskich plakatach propagandowych wzywających do walki o Śląsk i Mazury, nasz dziarski

chłop czy robotnik, mając za oręż jedynie własne mięśnie, widły, siekiery, widły lub kilof, dawał odpór zakutemu w blachy Krzyżakowi. Obrazy te wołały wyrażnie: Na nic wasza przewaga techniczna, pieniądze i maszyny, pokonamy was sprytem i hartem ducha. Była to oczywiście kompensacja rozbiorów. W myśl tej wizji zrealizowano niestety część scen batalistycznych w Krzyżakach.

Oglądając film, można by pomyśleć, że zakon miał nad nami gigantyczną przewagę techniczną w jakości uzbrojenia. Widać to już w pierwszej scenie filmu podczas fatalnego spotkania rycerzy zakonnych i jurandowych zbrojnych gdzieś w kurpiowskiej kniei. Krzyżacy zakuci w stal, głowy okrywają słynnymi w całej Europie hełmami typu psi pysk. Nasi dla odmiany wyglądają bardziej swojsko, zadawalając się jedynie opończami i kapturami. Nawet pod Grunwaldem Jagiełłowe wojsko w przeciwieństwie do Krzyżaków nosi otwarte hełmy. W kinie „dobry” zawsze walczy przeciw z otwartą przyłbicą.

W rzeczywistości odróżnić rycerza polskiego i krzyżackiego nie było wcale łatwo. Po obu stronach granicy tylko stosunkowo nieliczni możni mogli wyposażyć się w psie pyski i pełne zbroje płytowe. Większość rycerzy obu armii stać było jednak jedynie na pojedyncze elementy zbroi płytowej zakładane na kolczugę. Rycerze tacy chronili głowy kapalinami, łebkami czy nawet zwykłymi kapturami kolczymi.

Braci zakonnych z czarnymi krzyżami na płaszczach pod Grunwaldem było raptem kilkuset. Reszta rycerstwa z państwa zakonnego nosiła się w podobny do nas sposób – na zbroje zakładano wappenrocki, czyli tuniki z namalowanym herbem rodowym lub ziemskim. Chcąc rozpoznać swojego i obcego, trzeba się było nauczyć ich na pamięć, bo gryfy, szachownice czy orły występowały po obu stronach.



Zamek górny w Malborku na kolorowanej pocztówce. Poniżej: uzbrojenie i strój wielkiego mistrza i rycerzy zakonu krzyżackiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Były oczywiście wyjątki. W grunwaldzkim zamieszaniu można było się zdziwić, widząc całe poczty krzyżackie uzbrojone na wzór... pobitych przez siebie Prusów. Niejeden zatem posiadacz ziemski z Sambii czy Pogezanii dzierżył zamiast kopii krótką sulicę, a w lewej ręce trzymał „pawężkę”, czyli jakby pomniejszoną tarczę piechoty składającą się z kilku równoległych prostokątów. Na głowie miał zaś hełm zwany pikielhaubą, zwieńczony wklęsłym stożkiem. Gdy jechał samojeden bez towarzystwa krzyżackich zwierzchników, można było pomyśleć takiego woja z podobnie noszącymi się Litwinami. Nasi mazowieccy rycerze nosili zaś często uzbrojenie ruskie, czyli przede wszystkim pancerze lamelkowe i podłużne szyszaki.

Wspomniane wyżej uwielbienie dla prostego ludu widać też w ostatniej ze scen batalistycznych, gdy na Krzyżaków rusza chłopaska piechota. Zbroje i hełmy pękają pod ciosami maczug, cepów, berdyszy. Tak ginie też wielki mistrz – zachodniego zaborcę dosięga chłopaska sprawiedliwość. Jest to kolejny ułkon wobec ideologii. Piechota pod Grunwaldem odegrała rolę całkowicie marginalną. Wielki mistrz zginął najprawdopodobniej od ciosów swojego polskiego adwersarza, Dobka z Oleśnicy lub – co bardziej prawdopodobne – Mszczuja ze Skrzynna. Wojna 1409–1411 była przede wszystkim wojną rycerskich elit.

Różnice widać też w obliczach. Krzyżacy tradycyjnie noszą mnisie brody na wzór swoich dawnych kolegów po fachu – templariuszy. Nasi zaś, za wyjątkiem młodego Zbyszka, to wąsalsi z podgolonymi karkami. Fordowi nie chodziło li



tylko o ułatwienie widzowi rozróżnienia przeciwników – zabieg ten stosują wszyscy reżyserzy filmów historycznych. Ów fryz łączący legendarny wizerunek Piasta Kołodzieja z obliczem szlachcica sarmaty miał zagrać na sentymentach polskiego widza, który widząc polskie chorągwie, wyszedłby z kina przekonany o odwiecznej wyjątkowości i odrębności mody polskiej.

Prawda historyczna wyglądała inaczej. Pod koniec XIII w. wieku wraz z kulturą rycerską, miłością dworską idzie też do nas moda na długie włosy często sztucznie podkręcane. Zasluga w tym Henryka Probusa, śląskiego Piasta i zarazem pieśniarza. W drugiej połowie XIV w. kultura rycerska rozpowszechnia się też w całej Polsce. Wśród naszego rycerstwa powinniśmy spotkać zatem więcej oblicz w stylu granego przez Leona Niemczyka długowłosego Fulka de Lorch. Równie często byłoby to mężowie brodaci, też jednak z włosami sięgającymi za uszy.

Litwini widząc swoje wojsko przedstawione przez Forda, do dziś załamują ręce. Jest to bowiem lekko tylko odziana

w cywilizowaną formę dzicz. Co prawda, wśród bojarów widać pseudolamelkowe pancerze, ale litewsko-ruska elita nosiła się wówczas dużo ciężiej, choć oczywiście w odmienny sposób niż Krzyżacy i nasi rycerze. Najgorzej jednak, że owi filmowi Litwini, przemieszani z odzianymi w futra Tatarami, pędzą na Krzyżaków, gwizdząc i wyjąc niczym Komancze z Dzikiego Zachodu. Filmowi Tatarzy wyglądają tu jak ich skarłali potomkowie z Jedysanu czy Budziaku z czasów „Trylogii”. Wojownik Złotej Ordy w XV w. chętnie wkładał na siebie kolczugę, nie rezygnując oczywiście z tradycyjnego stepowego łuku.

Ford posłuchał się swojego konsultanta historycznego prof. Stefana Kaczyńskiego, toteż w filmie Witoldowi bojarzy, jako jazda lekka, mają za zadanie przepędzić krzyżacką piechotę i wykryć wilcze doły. Późniejsi badacze (Andrzej Nadolski) wykazali jednak, że wilczych dołów na grunwaldzkim polu nie było, a w tej fazie bitwy trudno szukać by też krzyżackich kuszników czy pikinierów, nie mówiąc już o scenie, w której piechurzy ci trатовani są przez własną jazdę. Zbyt pachnie to bitwą pod Crécy.

Bój spotkaniowy naszej i krzyżackiej jazdy – choć jak na początek lat 60. widowiskowy i dorównujący hollywoodzkim – jest artystyczną wizją reżysera. Pod Grunwaldem wraz wojska nacierały na siebie w szyku, a nie bezładnej kupie, po strzaskaniu kopii zwierzały się w walce na miecze, po czym odsłakiwały, aby nabrać sił, wymienić broń, konie lub wyposażenie. Takie szarże powtarzały się kilkakrotnie, początkowo z remisowym wynikiem. Pytanie jedynie, czy armie uszykowano w „w płot” czy – jak chce większość badaczy – w szyk klinowo-kolumnowy.

Nie widać, aby w filmie dawano pardon pokonanym Krzyżakom. Przez lata tłumaczono to tym, że rycerstwo polskie miało z braćmi zakonnymi daleko idące porachunki i pragnęło pomścić nieprawości i zbrodnie z czasu krzyżackich rejs na Mazowsze i ziemię dobrzyńską. Ostatnio badacze (Krzysztof Kwiatkowski) zweryfikowali ten pogląd. Wysokie straty wśród elity zakonnej wynikały nie tyle z faktu, że Krzyżakom nie dawano pardonu, ile że oni sami jako mnisi-rycerze takowego nie szukali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1917–1939

Historia i legenda Jerzego oraz Władysława Dąbrowskich

Kawaleria oddziału Dąbrowskich

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nasi dąbrowszczacy



Mikołaj Iwanow

Ułani dwóch braci zagończyków stoczyli dziesiątki zwycięskich bitew z bolszewikami

Gdyby przedstawić sobie sytuację niewiarygodną: przy ul. Dąbrowszczaków na dzisiejszej warszawskiej Pradze – przypadkiem lub nie przypadkiem – znalazła się dziś grupa mieszkańców polskiej przedwojennej Wileńszczyzny. Ich twarze tryskają radością, że w stolicy kraju istnieje ulica imienia legendarnych bohaterów ziemi wileńskiej – braci Jerzego i Władysława Dąbrowskich, słynnych zagończyków okresu wojny polsko-bolszewickiej. Żadnemu z Wilińskich nazwa ul. Dąbrowszczaków nie kojarzy się z innymi dąbrowszczakami, tymi z hiszpańskiej wojny domowej, symbolem polski komunistycznej.

Starszy z braci – Jerzy Dąbrowski – wziął sobie jako dowódca partyzancki w wojnie z bolszewikami pseudonim Łupaszka. Pseudonim ten został owiany na kresach licznymi legendami bohaterstwa i niezwyklej ofiarności żołnierzy braci Dąbrowskich i głęboko zakorzenił się w świadomości polskiej ludności kresowej. Dlatego logiczne wydaje się przyjęcie tego samego pseudonimu

– Łupaszka – przez innego wielkiego bojownika o polskość kresów z okresu drugiej wojny światowej mjr. Zygmunta Szendzielarza. Wileńskich Dąbrowskich na kresach łączono z Janem Henrykiem Dąbrowskim, który za Napoleona przeprowadził swych żołnierzy „z ziemi włoskiej do Polski”. Na melodię „Mazurka” żołnierze braci Dąbrowskich śpiewali: „Mówił rotmistrz do żołnierza, póki oręż w dłoni, szwab nam nigdy nie zabierze szabel oraz koni. Marsz, marsz Dąbrowski, bierz miasta i wioski, niech za twoją sprawą złączą się z Warszawą”.

O legendzie dąbrowszczaków wybitny polski pisarz międzywojenny i emigracyjny Michał Pawlikowski pisze: „Uchodźcy ze wschodu – Wileńszczyzny, Mińszczyzny, Mohylowszczyzny – byli modni. Przede wszystkim byli to »swoi« – Litwini, którzy podobnie jak warszawiacy byli razem »pod Ruskiem«. Po drugie, stanowili dość skuteczną przeciwwagę do »galileusz« (bo z Galicji), którzy byli wtedy niespecjalnie popularni. Po trzecie, razem z nimi przyszła spotęgowana legenda czynów bohaterskich braci Dąbrowskich. Po czwarte, byli »stamtąd«, to jest przeżyli grozę bolszewicką na własnych skórkach. Uważano ich więc za ekspertów, którzy oglądali na własne oczy żywych bolszewików”.

Wśród miejscowej ludności polskiej i białoruskiej oddział braci był potocznie nazywany zagończykami. Stoczył on dziesiątki zwycięskich bitew z Armią Czerwoną. Oni właśnie byli pierwszymi, którzy zdecydowali się walczyć z potężną Rosją bolszewicką o polskość kresów.

Marszałek Piłsudski stwierdzał: „Łatwość, z jaką dawał sobie radę Dąbrowski z bolszewikami, wywołała we mnie chęć rozpoczęcia wojny o oswobodzenie kresów”. Regularna armia polska rozpoczęła wyzwolenie kresów północno-wschodnich w marcu–kwietniu 1919 r., bracia Dąbrowscy natomiast walczyli z bolszewikami nieprzerwanie od grudnia 1917 r., najpierw w składzie korpusu polskiego pod dowództwem gen. Dowbora-Muśnickiego, a po rozwiązaniu korpusu przez Niemców – w składzie stworzonego przez nich oddziału partyzanckiego.

Bracia pochodzili z rodziny zawodowych wojskowych. Ojciec – Adolf Dąbrowski – był generałem kawalerii rosyjskiej. Młodszy brat, Władysław, urodzony w 1891 r. w Suwałkach bez wahań wybrał karierę wojskową. Kształcił się w I Korpusie Kadetów w Petersburgu, a następnie w szkole jazdy w Elizawetgradzie. Na pierwszą wojnę światową wyruszył w składzie 2. pułku lejbnów kurlandzkich w stopniu porucznika. Podczas wojny dowodził w piechocie kompanią strzelców, później batalionem 10. pułku strzelców turkiestańskich, następnie był dowódcą oddziału motocykli przy 2. Dywizji Kawalerii. Awansował, w roku 1917 był już w stopniu rotmistrza (majora).

Partyzanci

25 listopada 1917 r., miesiąc po przewrocie bolszewickim, samodzielnie porzucił służbę w armii rosyjskiej



Odznaka oddziału
Dąbrowskich FOT. KURIER WILEŃSKI

■ i na czele 85 konnych odjechał do 3. pułku ułanów I Korpusu Polskiego Dowbora-Muśnickiego. Tu jako dowódca 5. szwadronu pułku wykazał się brawurą odwagą i nieprzeciętnymi zdolnościami taktycznymi przy samodzielnym wykonywaniu śmiałych akcji przeciwko bolszewikom.

Dwa lata starszy od Władysława Jerzy nie od razu zdecydował się na zawodową służbę w wojsku. Po maturze studiował w Instytucie Mierniczym w Moskwie. W 1910 r. odbył obowiązkową służbę wojskową. Na pierwszą wojnę światową wyruszył nie jako ochotnik, lecz z poboru. Ale już we wrześniu 1914 r. za odwagę w walkach awansowano go na chorążego, a w październiku – na podporucznika. Później służył na froncie w różnych jednostkach kawaleryjskich jako podrotmistrz i dowódca szwadronu. Pod koniec wojny przeniósł się do lotnictwa wojskowego, gdzie pełnił funkcję dowódcy eskadry.

Latem 1918 r. obaj bracia znaleźli się w folwarku Podolszczyzna niedaleko Dziśny (na najdalej wysuniętym na wschód zakątku przyszłej II RP). Właśnie tutaj jeszcze przed zakończeniem pierwszej wojny światowej, przed zwolnieniem Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu rozpoczęli oni swą prywatną wojnę o odrodzenie Polski. Początkowo stworzyli lotny oddział kawaleryjski, który chronił ludność polską, przeważnie polskie zagrody szlacheckie, przed rabunkiem ze strony z bolszewizowanego chłopstwa i niemieckich oddziałów aprowizacyjnych.

Porażka Niemców w pierwszej wojnie światowej stworzyła na Kresach Wschodnich swoistą pustkę. Niemcy powoli wycofywali się, bolszewicy pogrążeni w walkach wojny domowej nie byli w stanie od razu zająć tych terenów, Białorusini dopiero skromnie wspominali o swych ambicjach państwowotwórczych, Litwinów na tych ziemiach prawie nie było, natomiast Polacy na Wileńszczyźnie stanowili najbardziej prężny państwowotwórczy element. Już w listopadzie gen. Władysław Wejtko tworzy w Wilnie Samoobronę Ziemi Wileńskiej, do której natychmiast ze swoimi żołnierzami zgłaszają się obaj bracia.

25 grudnia Władysław Dąbrowski zostaje mianowany dowódcą Pułku Ułanów Wileńskich, Jerzy Dąbrowski dowódcą szwadronu w tym pułku. W czasie wycofywania się Niemców z Wilna pułk ten

odegrał kluczową rolę w walkach z miejscową Czerwoną Gwardią bolszewicką. Władysław z własnej inicjatywy samorzutnie zostaje dowódcą wszystkich oddziałów walczących w tym mieście, następnie nominację tę otrzymuje od gen. Wejtki. Już w grudniu 1918 r. Wilno staje się polskie. Ale nie na długo. W pierwszych dniach stycznia 1919 r. pod miasto podchodzą wojska bolszewickie. Władysław jako dowódca garnizonu miasta, a Jerzy jako jego zastępca dzielnie walczą z nacierającymi wojskami bolszewickimi. Siły jednak były zdecydowanie nierówne.

6 stycznia zapadła decyzja o wycofaniu się oddziałów polskich z Wilna do Waki Białej i Waki Tyszkiewiczowskiej. W celu honorowego uratowania obrońców miasta zaproponowano złożenie broni przez Polaków Niemcom, którzy jeszcze pozostawali w mieście na mocy umowy kapitulacyjnej z sojusznikami zachodnimi. Bracia jednak nie zgodzili się na przejściowe złożenie broni Niemcom i na czele dwóch szwadronów jazdy i batalionu strzelców rozpoczęli słynny prawie 350-kilometrowy przemarsz do Brześcia, gdzie 12 lutego 1919 r. nastąpiło połączenie z regularnymi wojskami polskimi odrodzonej Rzeczypospolitej.

Zwycięski odwrót

Ten przemarsz oddziału braci Dąbrowskich z Wilna do Brześcia nie był ucieczką przed bolszewikami, lecz zwycięskim pochodem wśród otaczających ich wrogów. Oddział braci, stosując taktykę partyzancką, mimo stosunkowo niewielkiej liczebności swobodnie poruszał się po kraju zajęty przez wojska bolszewickie, budząc postrach wśród nieprzyjaciół. Bohatersko walczył z bolszewikami pod Różaną, zajął Prużanę, zaatakował Baranowicze, zdobył liczne trofea i kilkuset jeńców, na kilka dni zajął Pińsk. W memencie połączenia z wojskiem polskim była to jednostka znacznie mocniejsza (ok. 900 żołnierzy), lepiej uzbrojona i posiadająca doświadczenie bojowe.

Niektóre zwycięskie boje oddziału budzą prawdziwy podziw. Już pierwsza

bitwa z Armią Czerwoną pod Jeziernicą 27 stycznia przyniosła łatwe zwycięstwo dąbrowszczakom. Wzięto do niewoli 70 jeńców, zdobyto 60 karabinów, dwa karabiny maszynowe i ogromną ilość amunicji, co miało szczególną wartość dla oddziału. Po opuszczeniu Wilna liczba posiadanych naboju nie przekraczała bowiem

dotychczas 10 na żołnierza. 29 stycznia atak na Różaną doprowadził do rozgromienia dwóch kompanii sowieckich. Do niewoli trafiło 30 jeńców, zdobyto cztery konie, karabin maszynowy, kilkadziesiąt karabinów. Jeden z żołnierzy oddziału Stanisław Aleksandrowicz wspominał, że na rynku w Różanie, w nocy, przy pochodniach rozstrzelano cały bolszewicki komitet rewolucyjny miasteczka.

W Prużanach została rozbrojona milicja ukraińska. Od tego momentu do drugiej połowy kwietnia 1919 r. Prużany pozostawały bazą wypadową oddziału. Przystąpiono do szkolenia ochotników, werbowanych z okolic, przez które oddział przechodził.

5 lutego na stacji kolejowej Linówka dąbrowszczacy zdobyli ogromne niemieckie składy techniczne oraz materiały wybuchowe, pociski artyleryjskie wszelkiego kalibru, spory park pontonowy, ogromne ilości saperskich łopat i innego sprzętu wojskowego. Generał Antoni Listowski oceniał wartość tych łupów na 15 mln marek. Jeszcze większą zdobycz wywalczył oddział braci Dąbrowskich na stacji Żabinka.

Prawdopodobnie największym osiągnięciem braci Dąbrowskich było zdobycie Brześcia. Garnizon niemiecki w Brześciu liczył ponad 1 tys. żołnierzy. Polacy uderzyli na miasto wspólnymi siłami ze wschodu i z zachodu tego samego dnia. Trzeba było uprzedzić wojska ukraińskie, które szykowały się do zajęcia miasta. Ze wschodu do ataku szli dąbrowszczacy, z południowego zachodu dywizja podlaska gen. Listowskiego. Ciężkie walki z wycofującymi Niemcami trwały dwa dni. Główny ciężar tych walk spadł na barki żołnierzy braci Dąbrowskich. W wyniku zdecydowanego ataku dąbrowszczaków Niemcy zgodzili się opuścić twierdzę, pozostawiając ogromne magazyny wojskowe. Żołnierze zdobyli trzy ckm-y, liczne karabiny,

konie, wozy, trzy samochody, trzy działa, liczny tabor kolejowy. W boju o Brześć zginął jeden z najdzielniejszych żołnierzy – kpt. Witold Steckiewicz. W II RP jedna z ulic Brześcia otrzymała imię kapitana.

W marcu 1919 r. kawaleria oddziału została zreorganizowana i zatwierdzona jako dywizjon samodzielny pod nazwą Dywizjon Jazdy Wileńskiej pod dowództwem rtm. Jerzego Dąbrowskiego, w składzie oddziału majora Władysława Dąbrowskiego. W czasie operacji wileńskiej (kwiecień 1919 r.) Dąbrowszczakom powierzono osłanianie wojsk atakujących miasto od południa. Pod Baranowiczami w krwawych walkach związali oni dwie dywizje sowieckie i nie pozwolili im przyjść z odsieczą broniącym Wilna oddziałom bolszewickim.

W oddziale braci Dąbrowskich walczyli m.in. Eustachy hr. Sapieha, Jan hr. Tyszkiewicz, książę Włodzimierz Czetwertyński. Wybitny polski pisarz i publicysta, powojenny premier rządu polskiego na uchodźstwie Stanisław Cat-Mackiewicz, który wraz ze swym młodszym bratem Józefem, pisał: „Zwyczajem przejętym od bolszewików sadzali swą piechotę do rekwirowanych sań i tak wieźli ją za kawalerią. Był to oddziałek przypominający archaiczne szlacheckie pospolite ruszenie. W kawalerii byli wyłącznie ziemianie i szlachta zaściankowa na własnych koniach o najrozmaitszych siodłach i najrozmaitszej broni. Było tam około siedmiu typów karabinów i wydawano siedem typów ładunków. Piechota składała się z uczniów gimnazjalnych i z robotników wileńskich”.

Ułani

Wydawało się, że sukcesy militarne oddziału partyzanckiego braci Dąbrowskich są tak znaczące, że czeka ich błyskotliwa kariera w Wojsku Polskim. Tak się jednak nie stało. W czerwcu 1919 r. z rozkazu Naczelnego Wodza oddział został rozwiązany. Z piechoty sformowano lidzki pułk strzelców (późniejszy 76. lidzki pułk piechoty), a dywizjon ułanów wileńskich przemianowano na 13 pułk ułanów. Dowódcą pułku ułanów został mjr Władysław Dąbrowski, zastępcą rotmistrz Jerzy Dąbrowski. Jedną z przyczyn decyzji naczelnego wodza WP była konieczność wyzbycia się przez wojsko ducha partyzantki, a także liczne



Sztab oddziału Dąbrowskich. Na pierwszym planie: Władysław i Jerzy Dąbrowscy FOT. WIKIWAND

przypadki złego traktowania miejscowej niepolskiej ludności ze strony żołnierzy oddziału. W jednym z rozkazów naczelnego dowództwa polskiego na temat podobnego zachowania się żołnierzy braci Dąbrowskich mówi się: „Złe zachowanie się oddziału względem ludności nakazuje, by surowością nie drażniono ludzi i nie wywoływano nienawiści do oddziałów polskich”.

Jeden z kierowników Samoobrony Wileńskiej, poseł na sejm II RP i wieloletni redaktor naczelny „Kurier Wileńskiego” Kazimierz Okulicz dość surowo ocenił postawę Jerzego Dąbrowskiego: „Łączył odwagę zabijaki z bezprawiem watażki. Walcząc z bolszewikami, rozciągał to określenie na ludność białoruską i żydowską, dopuszczając się względem niej czynów, za które został zdjęty z dowództwa i zszedł z widowni. Jego dowodzenie tym oddziałem więcej zrobiło szkody polskiemu wojsku w umysłach i pamięci miejscowej ludności niż pożytku dla celów wojennych na Wschodzie”.

Nieco inaczej traktuje tę kwestię wybitny polski historyk Tomasz Strzębosz: „Ten dowódca, twardy dla wroga, był przy tym miękki dla swojego ukochanego żołnierza: będąc to stwierdzać późniejsze opinie jego przełożonych już w czasie pokoju, podkreślając dbałość o podkomendnych i nieraz nadmierną łagodność. Czy miał karać śmiercią przez rozstrzelanie, aby stłumić odruchy rabunku? Czy miał odsyłać na tyły nieraz najlepszych? Czy miał przymykać oczy i nie widzieć? Pewnie bardzo często je przymykał, co można było interpretować jako pobłażanie czy sprzyjanie tego rodzaju praktykom”.

W wolnej Polsce życie braci układało się nierówno. Władysław służył w wojsku polskim w stopniu majora do 1926 r.

Po odejściu do rezerwy cieszył się życiem cywilnym niecały rok. Zmarł w październiku 1927 r. Jerzy również poświęcił swe życie służbie w wojsku polskim. W 1931 r. awansował do stopnia podpułkownika ze starszeństwem z dniem 1 stycznia 1932 r. i piątą lokatą w korpusie oficerów zawodowych kawalerii. Przeszedł do rezerwy w 1932 r. Podczas kampanii wrześniowej objął dowództwo 110. rezerwowego pułku ułanów. Jego zastępcą był mjr Henryk Dobrzański, późniejszy „Hubal”. Po agresji sowieckiej na Polskę pułk tłumiał komunistyczną dywersję w rejonie Grodna. Zdławił tzw. powstanie w Skidlu. Podpułkownik Dąbrowski postanowił iść na pomoc oblężonej Warszawie. Jednak w rejonie Łomży odebrano wiadomość, że Warszawa kapituluje. Dlatego 28 września chory ppłk Dąbrowski rozwiązał resztki swojego pułku, pozwalając grupie żołnierzy pod dowództwem mjr. Henryka Dobrzańskiego kontynuować marsz na Warszawę. Sam natomiast przedostał się na Litwę, gdzie został internowany. W ręce NKWD Jerzy Dąbrowski trafił w wyniku okupacji Litwy przez Związek Sowiecki latem 1940 r.

Istnieje opinia, że po zbrodni katyńskiej zapanowało na Kremlu przekonanie o pomyłkowym rozstrzelaniu polskich oficerów w Katyniu i innych miejscach zbrodni, że po porażce Francji w 1940 r. Stalin zrozumiał nieuniknioną przegraną wojny z Niemcami dostrzegł konieczność wykorzystania Polaków. Zapada decyzja stworzenia polskiej dywizji w składzie Armii Czerwonej, jej dowodzenie planowano powierzyć grupie ocalałych polskich oficerów i generałów. Dlatego również internowanych na Litwie i Łotwie polskich wojskowych nie spotkał los jeńców wziętych do niewoli we wrześniu 1939 r. Byli oni potrzebni dla tworzenia polskich jednostek w razie konfliktu z Niemcami. Jerzy Dąbrowski jednak do roli sprzymierzeńca Armii Czerwonej zupełnie się nie nadawał. Z powodu swych ogromnych zasług w walkach z bolszewikami w latach 1919–1920 dla NKWD był on „przeklętym wrogiem” władzy sowieckiej. Po prawie półrocznym śledztwie w Mińsku został skazany na karę śmierci i stracony w więzieniu w Mińsku w nocy z 16 na 17 grudnia 1940 r.



Albańscy ochotnicy
do 21. Dywizji Górskiej
„Skanderbeg” FOT. DOMENA PUBLICZNA

1939–1945 / Krwawa komuna i albańskie SS

Albania w ogniu



Arkadiusz Karbowiak

/ Ataki komunistów popchnęły prawicę albańską do stworzenia 21. Dywizji Górskiej SS. Rozgorzały zacięte walki

Balkany są regionem o bardzo skomplikowanej historii. Występujące na tym obszarze konflikty na tle etnicznym uwiaryściły się z całą mocą w okresie drugiej wojny światowej. Nie były to jednak występujące wtedy linie podziałów. Poza nimi w obrębie każdej z narodowych społeczności doszło do konfrontacji wewnętrznej, toczzonej pomiędzy siłami nacjonalistyczno-niepodległościowymi a komunistycznymi. Jednym z państw, gdzie taka konfrontacja miała miejsce, była Albania.

Kraj ten utracił w wyniku włoskiej inwazji, dokonanej w kwietniu 1939 r., niepodległość i za sprawą koronacji włoskiego monarchy Wiktora Emanuela na króla Albanii został połączony z Królestwem Italii unią personalną. Pod zwierzchnictwem Włoch powstał rząd albański, na którego czele stanął ziemski właściciel Shefqet Vërlaci. Na początku 1940 r. w kraju zaczęły powstawać nielegalne wspierane przez wywiad brytyjski organizacje podziemne. Sytuacja zmieniła się w 1942 r., kiedy to szeregi tworzonej przez komunistów partyzantki zaczęły gwałtownie rosnąć.

Front Narodowy

W reakcji na aktywizację działalności „czerwonej” partyzantki w listopadzie 1942 r. środowiska antykomunistyczne powołały do życia organizację Balli Kombëtar (Front Narodowy). Balliści, jak ich potocznie nazywano, zamierzali walczyć o niepodległą, etniczną, połączoną z Kosowem Albanię (Kosowo w okresie między-

wojnia i po wojnie należało do Jugosławii). Manifest ideowy BK stanowił 10-punktowy program określany mianem dekalogu, zawierający, co ciekawe, propozycje bardzo radykalnych zmian społecznych. Pomimo powszechnie panującej opinii o zdecydowanie prawicowym obliczu ideowym BK było w istocie formacją eklektyczną, godzącą różne nurty ideowe: od komunistycznych rozłamowców (akces do BK zgłosili liderzy tzw. Prawdziwej Partii Komunistycznej Sadik Premte i zamordowany potem przez komunistów Antanas Lulë) począwszy, a na prawicowych nacjonalistach skończywszy.

Poza BK znaleźli się monarchiści, którzy na czele z mjr. Abasem Kupim utworzyli w 1943 r. własną organizację podziemną Legaliteti. Na czele Balli Kombëtar stanął znany prozachodnio nastawiony pisarz i publicysta Midhat Frasheri. Niemal od pierwszych chwil powstania BK na prowincji rozpoczęły działalność związane z tą organizacją grupy partyzanckie. Balliści od początku przyjęli pasywną taktykę walki przy ograniczeniu do niezbędnego minimum

starć z włoskimi oddziałami okupacyjnymi. Zdarzało się, że niektórzy lokalni balistowscy komendanci zawierali z Włochami pakt o nieagresji.

Taki najbardziej znany przypadek miał miejsce 5 marca 1943 r., kiedy jeden z czołowych liderów BK Ali Këlcyra podpisał porozumienie z dowódcą włoskiej 9. Armii generałem Lorenzo Dalmazzo. Obszar współpracy był ograniczony i dotyczył południowej części Albanii. Na tym terytorium ballistowski przywódca zobowiązał się do nieatakowania włoskich oddziałów okupacyjnych oraz wspierania ich w akcjach bojowych przeciw komunistom. Powściągliwe stanowisko w kwestii inicjowania walki zbrojnej powodowało, iż BK niemal od chwili powstania cieszył się sympatią części albańskich środowisk politycznych zaangażowanych we współpracę z Włochami. Czasami owe relacje były bardzo zażyłe. Przykładem jest postać działacza BK piastującego stanowisko ministra gospodarki w gabinecie kolaboracyjnego rządu Mustafy Kruji, późniejszego regenta Fuata Dibry.

Aktywność Balli Kombëtar wykraczała daleko poza kwestie związane z działalnością konspiracyjną. W zamierzeniach organizacji mieściła się chęć nawiązania kontaktów zagranicznych z liderami innych bałkańskich antykomunistycznych ruchów podziemnych. Jako nieudaną wypadła ocenić próbę zbliżenia z JUVO (Kraljevska Jugoslovenska Vojska u Otadžbini – oficjalna nazwa oddziałów czetnickich) gen. Draży Mihajlovicia. Tym, co przesądziło o porażce, był w głównej mierze serbsko-albański konflikt terytorialny o Kosowo.

Klimatowi ewentualnej kooperacji nie sprzyjały również zbrodnie na Serbach i Czarnogórcach popełniane w Kosowie przez Vullnetari, czyli ochotników – członków powstałej pod opieką niemieckich skrzydeł Włochów i Niemców albańskiej milicji. Z ich rąk miało zginąć ok. 5 tys. osób, głównie serbskiego pochodzenia (ofiarami padali także Czarnogórcy). Należy wspomnieć, że albańskie posunięcia eksterminacyjne spotkały się z krwawą ripostą odwetową czetników, choć jej skala była zdecydowanie mniejsza od działań Albańczyków.

Znaczenie lepiej niż z czetnikami kształtowały się kontakty z greckim prawicowym ruchem oporu EDES (Ethnikos Dimokratikos Ellinikos Sindesmos). Jego dowódca, pułkownik Napoleon Žervas,



Komisja werbunkowa do 21. Dywizji Górskiej SS „Skanderbeg”. Poniżej: naszywki tej jednostki

FOT. GEORG WESTERMANN/KRIEGSBERICHTER-ARCHIVE.COM/THE U.S. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION



okupantami, spalili 68 wsi i zamordowali 2771 albańskich cywili.

Wrogiem – komuna

Zdecydowanie najbardziej wrogie stanowisko wobec niezależnej struktury organizacyjnej, jaką była BK, zajęli albańscy komuniści. Początkowo komunistyczny Narodowy Front Wyzwoleńczy – LNÇ (Lëvizja Nacional-Çlirimtare) przyjął wobec swych przeciwników politycznych taktykę koncyliacyjną. Zaowocowała ona podpisaniem w sierpniu 1943 r. porozumienia o współpracy w Mukje. Jeden z zapisów tego dokumentu mówił, że celem zjednoczonego albańskiego ruchu podziemnego jest walka o etniczną Wielką Albanię z Kosowem włącznie. To stwierdzenie spotkało się z krytyką przedstawiciela KC Komunistycznej Partii Jugosławii Svetozara Vukmanovicia „Tempo” (zdaniem jugosłowiańskich komunistów Kosowo miało po wojnie należeć do Jugosławii). Dla wspieranego przez Titę lidera komunistów albańskich Envera Hodży, był to sygnał, że jugosłowiańscy „patroni” zdecydowanie odrzucają wynegocjowany consensus, stąd postanowił zdezasuować pakt z Mukje, oświadczając, że jego komunistyczni sygnatariusze nie mieli właściwych pełnomocnictw do jego podpisania. Jednocześnie przywódca LNÇ nakazał rozpoczęcie kampanii propagandowej skierowanej przeciw BK.

Zapowiedzią konfrontacyjnego kierunku, który obrał, były słowa wygłoszone przez niego podczas odbytej

obietkał nawet wesprzeć albańskie dążenia związane z przyłączeniem do Albanii Kosowa. Niestety obietnice te nie powstrzymały potem EDES przed dokonaniem masowych mordów na Albańczykach w Czamerii, gdzie greccy partyzanci w 1944 r. za współpracę albańskiej społeczności z niemieckimi i włoskimi



Albańczycy w rozmowie z oficerem SS Karlem von Kremplerem FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ w dniach 4–9 września 1943 r. konferencji w Labinot. Powiedział wtedy m.in.: „Balli Kombëtar przystąpił do wojny przeciwko ludowi, przeciwko frontowi, przeciwko KPA. BK to nie Front Narodowy, ale front zdrajców, zjednoczonych z okupantami”. Mając świadomość własnej zdecydowanej przewagi, komuniści przystąpili do fizycznej rozprawy z balistami. Już 8 września 1943 r. we wsi Zehquist koło Korczy „czerwoni” partyzanci zaatakowali cetę (oddział wielkości kompanii) BK. W wyniku walki, która się wywiązała, poległo sześciu balistów.

Niedługo potem, 13 października, komunistyczny oddział UNÇ – Ushtria Nacional Çlirimtare (Armia Narodowo-Wyzwoleńcza) we wsi Alkan zabił dwóch braci Bulgarecich, liderów miejscowych struktur BK. Zamordowano ich w okrutny sposób, obcinając języki i uszy. Do prawdziwej masakry doszło 21 października 1943 r. Tego dnia w okolicy góry Cen Hasani do komunistycznej niewoli dostało się 68 balistów. Tylko jeden zdecydował się przejść na stronę „czerwonych”. Resztę jeńców adeptów ideologii z pod znaku „sierpa i młota” zamordowali. Ogółem w latach 1941–1944 z ich rąk zginęło 2368 osób uznawanych za politycznych przeciwników.

Ataki UNÇ na oddziały Balli Kombëtar doprowadziły do tego, że wielu dowódców BK, nie będąc w stanie prowadzić wojny na dwa fronty, zmuszonych było zmodyfikować swoje antyokupacyjne stanowisko i podjąć współpracę z Niemcami. Zrozumienie dla takiej postawy dowódców BK wykazywali nawet pracujący w Albanii brytyjscy oficerowie łącznikowi. Wiedzieli oni bowiem, że rozpoczęcie kolaboracji BK z Niemcami było skutkiem działań komunistów. Londyn początkowo próbował zmusić ich do zaprzestania

ataków na pravicową partyzantkę, ale te posunięcia zostały dość szybko zaniechane. Fetując swój polityczny triumf, Hodža mówił cynicznie: „W Albanii nie ma wojny domowej. Jest tylko jedna wojna przeciwko okupantom, a potem kolaborantom”.

Niemieccy patroni

Intensyfikacja konfliktu wewnętrznego w Albanii zbiegła się z wkroczeniem na jej terytorium w ramach operacji „Konstantin” niemieckiego XXI Korpusu Armijnego, w którego skład wchodziły 100 Jäger Division oraz 297 Infanterie-Division. Wraz z wymienionymi jednostkami pojawili się w Tiranie gen. Theodor Geib – wyznaczony na dowódcę Wehrmachtu w Albanii i Czarnogórze, ambasador Rzeszy Martin Schliep, Wyższy Dowódca SS i Policji Josef Fitzhum oraz najważniejsza postać: Pełnomocnik Specjalny III Rzeszy na Bałkanach Hermann Neubacher.

Generalnie Albańczycy postrzegali Niemców jako kontynuatorów proalbańskiej polityki Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Chcąc ten fakt zdyskontować, III Rzesza, nie rozporządzając zbyt licznymi siłami wojskowo-politycznymi, zamierzała opanować sytuację w Albanii, uciekając się do rozwiązań bardziej politycznych niż militarnych. Zapowiedź takiej polityki stanowiła depesza z 21 sierpnia 1943 r., wysłana jeszcze przed wkroczeniem Niemców do Albanii, przez szefa niemieckiego MSZ, w której czytamy m.in.: „Jeśli w razie potrzeby uspokoiemy politycznie Albanię, to oddziały niemieckie w tym kraju, utrzymujące spokój i porządek, będą nieliczne albo nie będą w ogóle potrzebne”.



Plakat reklamujący dywizję „Skanderbeg”

FOT. ARCHIWUM

Za zgodą Niemców 11 września 1943 r. 243-osobowe albańskie Zgromadzenie Narodowe, przegłosowało zerwanie unii z Włochami i proklamowało niepodległość kraju. W zastępstwie króla władzę miała sprawować Rada Regencyjna. W jej składzie znaleźli się byli przedwojenny premier Mehdi Frashëri, reprezentujący albańskich katolików ojciec Anton Harapi (zamordowany przez komunistów w 1946 r.), przedstawiciel społeczności prawosławnej Lef Nosi oraz wspomniany Fuat Dibra (zmarł w 1944 r.). Premierem został Kosovar Rexep Mitovica, zastąpił go początkowo przez Fiqriego Dine, a potem przez Ibrahima Bicaku. Albańskie rządy funkcjonowały pod niemieckim parasolem bezpieczeństwa, co z jednej strony umożliwiała ich sprawowanie, a z drugiej w pewnej mierze ograniczało suwerenność. Niemcy mieli świadomość tego, że Albańczycy oczekujący na przyjscie Brytyjczyków traktują ich jako przejściowych sojuszników użytecznych w walce z komunistycznym niebezpieczeństwem.

Aby wzmocnić swoją pozycję, albańscy nacjonaści na czele z Bedrim Pijanim – przewodniczącym II Ligi Prizeńskiej, organizacji działającej na rzecz integracji Kosowa z Albanią, wystosowali 29 marca 1944 r. do SS-Reichsführera Himmlera list, wzywający do pomocy w utworzeniu armii albańskiej mającej liczyć od 120 tys. do 150 tys. żołnierzy. Pomysł co prawda odrzucono, ale ta inicjatywa zbiegła się z wydaniem 17 kwietnia 1944 r. rozkazu o utworzeniu 21. Dywizji Górskiej SS „Skanderbeg” (21. Waffen-Gebirgs-Division der Waffen SS „Skanderbeg” – Albanische Nr. 1)).

Patronem jednostki został albański książę Giorgi Kastori Skanderbeg, który w pierwszej połowie XV w. walczył

z Turkami w obronie chrześcijaństwa. Tak oto paradoksalnie imieniem władcy symbolizującego walkę z islamskim imperium osmańskim została nazwana złożona w przeważającej mierze z muzułmanów (warto pamiętać, że w dywizji służyło ok. 1 tys. albańskich katolików) jednostka wojskowa przynależąca do sił zbrojnych SS. Himmler był szczególnie zainteresowany jej powstaniem. O przyszłych żołnierzach dywizji „Skanderbeg” mówił: „Jako żołnierze są niezawodni, będzie z nich pożytek w walce”. Przyszłość pokazała, że oceny te okazały się nietrafne, choć początkowo nic tego nie zapowiadało. Niemcy mieli pozytywne doświadczenia związane z utworzeniem w 1943 r., złożonej z muzułmańskich ochotników, także albańskiego pochodzenia, muzułmańskiej dywizji SS.

Do realizacji tego projektu zaangażowano specjalistów posiadających głęboką wiedzę w zakresie problematyki dotyczącej świata islamu. Do grona takich osób należał urodzony w Serbii Austriak z pochodzenia, były oficer armii austro-węgierskiej SS-Standartenführer Karl von Kremler, swobodnie mówiący po niemiecku, serbsku i turecku. To on dzięki swemu autorytetowi podjął się dzieła zmobilizowania Albańczyków zamieszkujących region Sandżak do służby w Muzułmańskim Pułku SS „Sandżak” oraz do 13. Dywizji Górskiej SS „Handschar”. O żołnierzach tej ostatniej jednostki tak pisał w liście z 14 września 1943 r. jeden z niemieckich oficerów SS-Obersturmführer Carl Rachor: „Rekruci, a zwłaszcza Albańczycy, stali się znakomitymi żołnierzami”.

Dobre przygotowanie zaowocowało dobrymi wynikami odnoszonymi przez albańskich wolontariuszy z I batalionu 28. Pułku Strzelców w walce z komunistyczną partyzantką. Wkrótce doświadczeni weterani tej jednostki zostali przeniesieni do 21. Górskiej Dywizji SS „Skanderbeg”. Służący w dywizji albańscy esesmani nosili zwykłe umundurowanie polowe wojsk SS. Elementami charakterystycznymi wskazującymi na etniczne pochodzenie ochotników, była naszywka przedstawiająca godło Albanii w postaci dwugłowego czarnego orła na czerwonym tle, zdobiąca rękaw munduru opaska z napisem „Skanderbeg” oraz znajdujący się na patkach kołnierzykowych hełm księcia Skanderbega. Nakrycia głowy stanowiły albańskie fezy – tyle że

w przeciwieństwie do tych tradycyjnych białych te były w kolorze szarym z do-czepioną esesmańską trupa czaszką.

„Kłopoty z Albańczykami”

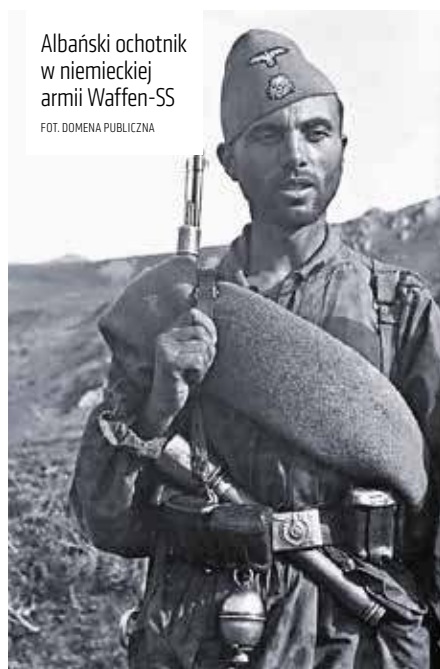
Dowódcą dywizji mianowano, powieszonego po wojnie przez jugosłowiańskich komunistów w Belgradzie, SS-Brigadeführera Augusta Schmidhubera, weterana Pułku SS „Germania” (podczas kampanii wrześniowej pełnił on funkcję dowódcy I batalionu), 2. Dywizji SS „Das Reich” i 7. Dywizji Górskiej SS „Prinz Eugen”. Co ciekawe, nowy dowódca wyrażał o swoich podkomendnych raczej niezbyt pochlebne opinie. Twierdził on, że Albańczycy mentalnie nie nadają się do służby wojskowej w strukturach regularnej armii. Tę krytyczną ocenę podzielał również Wyższy Dowódca SS i Policji w Albanii SS-Gruppenführer Josef Fitzhum, który może nieco przesadnie skonstatował, że „albański żołnierz jest niezdyscyplinowany i tchórzliwy”.

Te radykalne osądy wkrótce potwierdziły problemy i trudności, na jakie napotykały niemieckie władze podczas procesu rekrutacji ochotników. Pomimo deklarowanej pomocy polityków związanych z II Ligą Przyżeńską organa cywilnej administracji albańskiej traktowały na-

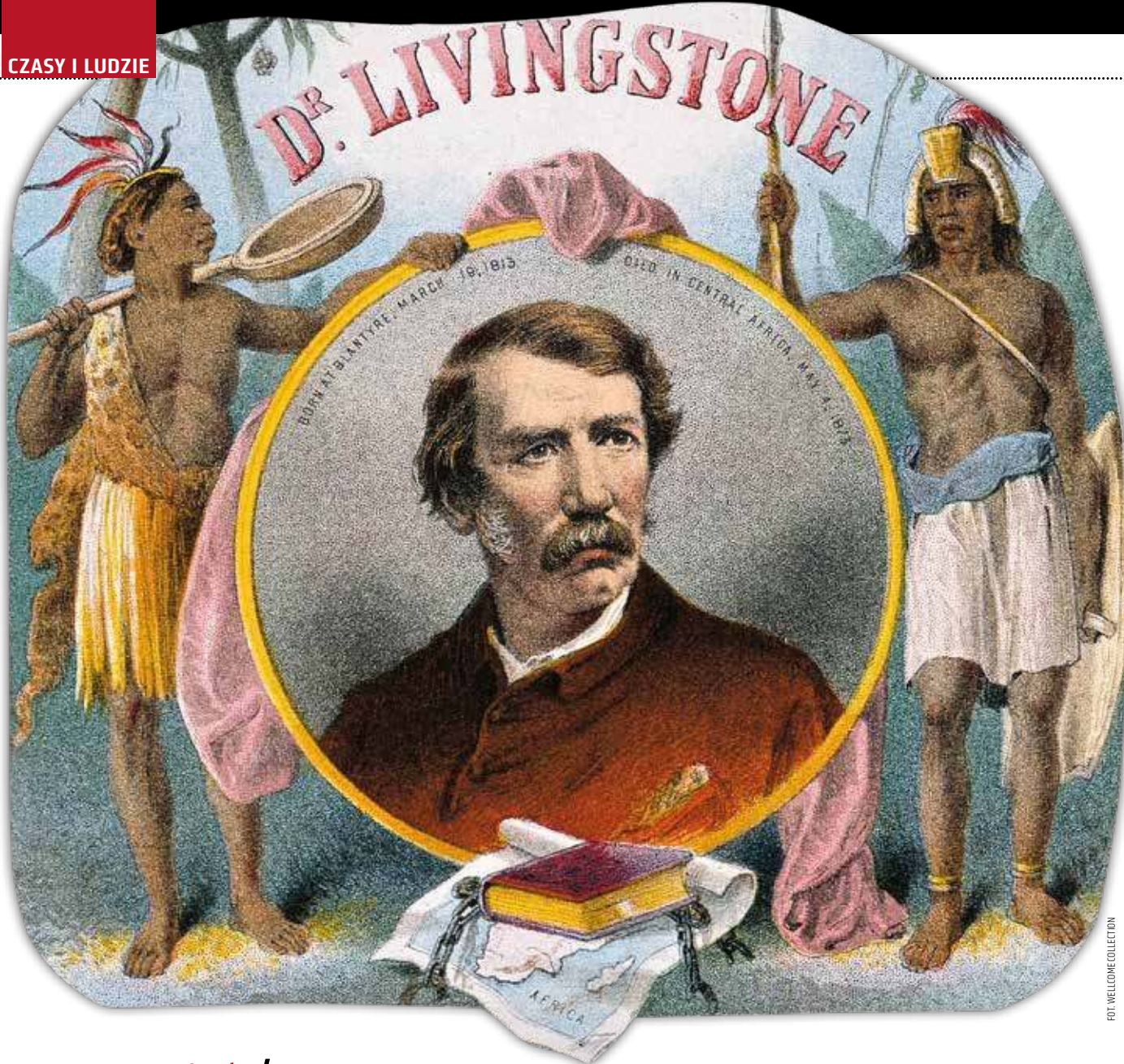
bór do dywizji z daleko idącym dystansem. W efekcie z 9275 osób teoretycznie zakwalifikowanych do służby, faktycznie podjęło ją 6491. W ciągu kilku miesięcy liczba ta uległa gwałtownemu spadkowi. Przyczyną były masowe dezercje. Do końca września 1944 r. zdezerterowało 3425 żołnierzy. Wśród dezertorów było także wielu weteranów z dywizji „Handschar”. Powodem ucieczek była z jednej strony niechęć Albańczyków do służby w regularnych oddziałach wojskowych, niechęć do walki z komunistami poza swoim ojczystym krajem, klęski ponoszone przez III Rzeszę na frontach, a także amnestia ogłoszona przez Hodżę wobec tych wszystkich, którzy będą chcieli odkupić swoje „winy”, wstępując w szeregi komunistycznej UNÇ.

Zanim wspomniane wydarzenia nastąpiły, latem 1944 r. albańscy esesmani zostali skierowani do walki. Na pograniczu albańsko-macedońskim wzięli udział w rozpoczętej 28 lipca 1944 r. operacji antypartyzanckiej „Draufgänger”. W czasie jej trwania pododdział 51. pułku strzelców górskich dokonał masakry 428 serbskich mieszkańców wsi Velika. Dodatkowo najprawdopodobniej 673 osoby zostały zabite we wsiach Ljescare, Borce, Dule Radulovica. W walkach z partyzantami żołnierze z dywizji „Skanderbeg” ponieśli straty wysokości 58 zabitych (48 Albańczyków, 8 Niemców), 92 rannych (20 Niemców i 72 Albańczyków), 166 zaginionych (14 Niemców, 152 Albańczyków). Poza akcjami antypartyzanckimi skanderbegowcy uczestniczyli w represjach wobec Żydów. W ich trakcie aresztowano w Prisztinie 281 osób pochodzenia żydowskiego.

1 listopada 1944 r. w obliczu masowych dezercji Niemcy postanowili rozwiązać dywizję, przekształcając ją początkowo w Kampfgruppe „Skanderbeg”. Stany osobowe jednostki uzupełniono marynarzami Kriegsmarine z zatopionych przez załogi niemieckich okrętów wojennych. Wspomniana grupa bojowa została potem włączona do 14. Pułku Strzelców Górskich 7. Dywizji SS „Prinz Eugen”. Część weteranów dywizji „Skanderbeg” po zajęciu Kosowa przez armię jugosłowiańską znalazła się w szeregach albańskich żołnierzy wyklętych, uczestnicząc razem z ballistami w wywołanym w lutym 1945 r. w Kosowie antykomunistycznym powstaniu.



Albański ochotnik w niemieckiej armii Waffen-SS
FOT. DOMENA PUBLICZNA



FOT. WELLDONECOLLECTION

Wywiad / Z Martinem Dugardem, autorem książki „Into Africa: The Epic Adventures of Stanley and Livingstone”



rozmawia Piotr Włoczyk

Tajemnica zaginięcia Livingstone'a

– Było dwóch Stanleyów. Pierwszy to dziennikarz eksplorator, który odnalazł Livingstone'a. Drugi Stanley narodził się po powrocie do Afryki i zarabiał w Kongu na niewolnictwie. Ten rozdział jego życia to jedna wielka hańba – mówi Martin Dugard

PIOTR WŁOCZYK: Jak słynny był David Livingstone w momencie zaginięcia?

MARTIN DUGARD: Uważano go za drugiego najśłynniejszego Brytyjczyka po królowej Wiktorii. A przypomnijmy tylko, że w tamtym okresie – w połowie XIX w. – Wielka Brytania była największym mocarstwem na świecie... W dzisiejszych czasach moglibyśmy go porównać do megagwiazd popkultury – takim statusem cieszyli się wówczas odkrywcy, każdy znał tę twarz z gazet, wyczynami Livingstone'a w Afryce żył cały świat.

Z czego przede wszystkim zasłynął?

Livingstone pierwszy raz wybrał się do Afryki niemal 30 lat wcześniej, w 1841 r. Zaczął od wyprawy przez pustynię Kalahari. Później dokonał wyczynu, dzięki któremu stał się gwiazdą wśród odkrywców – przeszedł wszedź Afrykę. Udało mu się też przemierzyć liczącą 2,2 tys. mil potężną rzekę Zambezi. Te niezwykłe osiągnięcia tak rozpałały wyobraźnię ludzi, że Livingstone dosłownie nie mógł się ogonić od fanów, idąc ulicą w Londynie.

Co go tak ciągnęło do Afryki?

Zaczął od pracy misjonarskiej, podczas której z czystej ciekawości wypuszczał się coraz dalej. Afryka była dla niego miłością od pierwszego wejrzenia. W miarę, gdy jego wyprawy przynosiły mu coraz większy rozgłos, brytyjski rząd zaczął korzystać z jego usług w eksploatacji południa Afryki. To były w zasadzie misje wywiadowcze, które miały pokazać, na jakie bogactwa może tam liczyć imperium i jak duży będzie opór miejscowej ludności. W końcu doszły do tego kwestie prestiżowe, jak choćby znalezienie źródeł Nilu. Ta sprawa stała się głównym celem jego ostatniej wyprawy do Afryki, podczas której zaginął w bardzo tajemniczych okolicznościach.

Wygłada na to, że Livingstone był stuprocentowym idealistą. W Afryce z wielką gorliwością przepowiadał Słowo Boże, a dodatkowo robił

wszystko, by ujawnić i nagłośnić zbrodnie dokonywane przez handlarzy niewolników.

Tak, Livingstone był bardzo oddany Bogu. Równocześnie jednak niezbyt dobrze wychodziła mu praca z ludźmi, tworzenie organizacji kościelnej. Osiągnął w tym pewne sukcesy, jego żywiołem była jednak eksploracja nieznanych przestrzeni.

Bez wątpienia Livingstonowi bardzo zależało na wytypieniu niewolnictwa. Brzydził się tym, uważał je za zmorę ludzkości. Wielka Brytania zakazała niewolnictwa na swoich terytoriach już w latach 30. XIX w., ale reszta świata wciąż handlowała ludźmi. Livingstone robił wszystko, by to zmienić. W tamtym okresie handlarzami niewolników byli głównie Arabowie, którzy współpracowali z niektórymi plemionami afrykańskimi. W ten sposób jedne plemiona polały na inne i sprzedawały ich członków Arabom. Livingstone nienawidził tej rzeczywistości i bardzo współczuł nieszczęśliwcom. Mam zresztą wrażenie, że odczuwał większą więź z czarną ludnością niż ze swoim krajami na Wyspach. Nawiasem mówiąc, nie brakowało plotek, że miał wiele afrykańskich kochanek.

On, tak głęboko wierzący chrześcijanin?

Cóż... Nawet głęboko wierzący chrześcijanie mają czasem chwile słabości, szczególnie gdy są samotni. Pamiętajmy też, że Livingstone nigdy nie przysięgał żyć w celibacie. W tam-

Henry Morton Stanley

FOT. WELLCOME COLLECTION/DOMENA PUBLICZNA

tej części Afryki nie brakowało plemion, których wodzowie oferowali mu kobiety na znak szacunku. Nie sądzę, że powinniśmy go dziś za to potępiać.

Z pańskiej książki wynika, że znalezienie źródła Nilu było wówczas dla odkrywców czymś w rodzaju geograficznego Świętego Graala.

Źródło Nilu było takim Świętym Graalem od dawna, co najmniej od czasów Herodota. Ten wielki grecki historyk podjął nawet próbę odkrycia źródła tej rzeki, jednak nie zaszedł zbyt daleko. Przez ponad 2 tys. lat pojawiło się na ten temat bardzo wiele teorii.

W czym tkwił problem? Dlaczego XIX-wieczni odkrywcy nie robili tego w najprostszy możliwy sposób, czyli nie cofali się od ujścia do źródła?

Oczywiście wydawałoby się, że to najlepsza metoda, jednak Nil jest tak długą rzeką, że nie jest to takie proste. Dziś Nil jest już na znacznym obszarze „ucywilizowany”, ale jeszcze w XIX w. nie brakowało olbrzymich, nieprzebranych bagnisk na wielu odcinkach tej rzeki. Obecnie wygląda to już zupełnie inaczej z powodu tam, które powstały na Nilu. Inna rzecz, że w Sudanie Nil rozwidła się na dwa ramiona – Nil Błękitny i Nil Biały, a zatem płynąc z północy, odkrywcy stawali wtedy przed niebagatelnym pytaniem: Którym z nich podążyć, by dotrzeć do źródła?

Kilka lat przed ostatnią wyprawą Livingstone'a dwóch brytyjskich odkrywców – John Speke i Richard Burton

– wybrało się do Afryki w poszukiwaniu źródeł Nilu. Jeden twierdził, że Nil wypływa z jeziora Tanganika,

a drugi, że źródłem jest Jezioro Wiktorii. Po powrocie miało dojść do wielkiej debaty, w wyniku której rozstrzygnięto by, który z nich miał rację. Jednak tuż przed debatą Speke zginął od strzału z własnej broni. Nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy był to nieszczęśliwy wypadek czy samobójstwo.

Aby przeciąć spekulacje na temat źródeł Nilu, sir





Livingstone zaatakowany przez lwa

FOT. WELLCOME COLLECTION/DOMENA PUBLICZNA

■ Roderick Murchison, przewodniczący Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, poprosił swojego dobrego znajomego, Davida Livingstone'a o zbadanie tej sprawy. Każdy wiedział, że będzie to autorytatywny głos. Livingstone zgodził się i w ten sposób w 1866 r. wyruszył w swoją ostatnią podróż do Afryki.

Ile było w tej decyzji kalkulacji czysto materialnych?

Nie ma co ukrywać, że Livingstone miał wówczas problemy finansowe. Był wdowcem po pięćdziesiątce i chciał zostawić jakiś majątek swoim dzieciom. Wiedział, że książka, którą napisze po tej wyprawie, będzie święciła triumfy sprzedażowe i w ten sposób zabezpieczy przyszłość swoich dzieci.

Kiedy na dobre zaczęto się niepokoić o los Livingstone'a?

Początkowo brak informacji nikogo nie niepokoił. Ludzie przyzwyczaili się, że Livingstone przepadał jak kamień w wodę na dwa-trzy lata. Kiedy jednak mijały już cztery lata, odkąd wyruszył w podróż, zaczęto się zastanawiać, czy przypadkiem coś złego mu się nie przydarzyło. Wcześniej co jakiś czas wysyłał listy, tym razem nie dawał żadnego znaku życia. Najpierw brytyjska prasa zaczęła stawiać pytania o los słynnego odkrywcy. Później zagraniczne media dołączyły do grona zainteresowanych odpowiedzią na kluczowe pytanie: Co się stało z Davidem Livingstone'em? Jego zaginięcie stało się największą zagadką tamtych lat.

Do czego można byłoby to porównać?

Z naszej perspektywy jedynym sensownym porównaniem jest chyba sprawa... Osamy bin Ladena. Oczywiście

nie porównujemy tu tych dwóch ludzi, tylko zainteresowanie ze strony społeczności międzynarodowej. Mam wrażenie, że w obu przypadkach było ono porównywalne.

Co Brytyjczycy zrobili, żeby znaleźć swój skarb narodowy?

Absolutnie nic. Rząd w Londynie wychodził z założenia, że jeżeli Livingstone wpadł w jakieś tarapaty, to na pewno uda mu się z nich samemu wydostać. To bardzo brytyjskie podejście do sprawy... Królewskie Towarzystwo Geograficzne nie kiwnęło w tej kwestii palcem, tak samo jak rząd Jej Królewskiej Mości. W związku z tym to Amerykanie postanowili sprawdzić, co się stało ze słynnym odkrywcą.

W ten sposób dochodzimy do października 1869 r. Dlaczego James Gordon Bennett Jr., wydawca dziennika „The New York Herald”, postawił właśnie na Henry'ego Mortona Stanleya?

Do dziś się nad tym zastanawiam, a od premiery mojej książki minęło już niemal 20 lat (śmiech). Wydaje mi się, że kluczowa była jedna z cech charakteru Stanleya – potrafił się fantastycznie zaprezentować. Przekonał Bennetta, że jest niesamowicie sprawnym obieżyświatem, choć jego opinia na własny temat była wówczas z pewnością na wyrost. Dzięki swoim artykułom z wojen z Indianami zyskał nieco sławy, ale nie miał jeszcze wielkiego nazwiska. Był więc dla Bennetta względnie tanim pracownikiem, a poza tym, gdyby zginął, nie byłaby to dla gazety jakaś niepowetowana strata...

Bennett na poważnie brał pod uwagę, że jego wysłannik nie wróci z Afryki żywy?

Tak. Zadanie, które przed nim postawił, wydawało się arcytrudne – coś jak znalezienie igły w stogu siana.

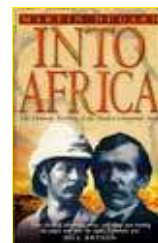
Tyle tylko że ten stóg siana najeżony jest dodatkowo całą masą śmiertelnie niebezpiecznych pułapek. Kalkulacja Bennetta wyglądała następująco: jeżeli Stanley nie wróci, to niewiele stracę. Jeżeli jednak uda mu się odnaleźć Livingstone'a, to moja gazeta osiągnie niebotyczny poziom sprzedaży. Bennett mało ryzykował, a zyskać mógł bardzo, bardzo wiele.

Stanley świetnie się przygotował do tej wyprawy, miał ze sobą mnóstwo ludzi, sprzętu i prowiantu, ale i tak droga w głąb Czarnego Lądu szybko zamieniła się w koszmarną...

Piętnaście lat temu mój przyjaciel odbył podróż tym samym szlakiem na potrzeby telewizyjnego show. Wiele przeszkód terenowych to nawet dziś olbrzymie wyzwanie. Ja również tam byłem i zaświadczam, że skala trudności potrafi przytłoczyć człowieka. Jeżeli tak jest dziś, to jak trudno musiało być 150 lat temu? Zaczniemy od plemion, które zamieszkiwały te tereny. Nie wszystkie były przyjaźnie nastawione do przybyszów... Dodajmy do tego lwy, krokodyle, jadowite węże i konieczność wyrąbywania własnych szlaków. Stanley był przekonany, że jest świetnie przygotowany, ale z jego zapisków z podróży widać, że szybko ogarnęło go przerażenie.

Nie zapominajmy też o chorobach. Z pańskiej książki wynika, że wszyscy eksploratorzy właściwie cały czas chorowali.

To prawda, co i rusz atakowały ich bardzo groźne choroby, przez które stawali się cieniami samych siebie, tracili orientację w czasie i przestrzeni. Afryka błyskawicznie postarzała nawet najtwardszych ludzi. Dziś z naszym pigułkami na niemal każdą chorobę tropikalną wyprawa do Afryki nie wydaje się śmiertelnie groźna, ale w XIX w. sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Jedno ugryzienie komara mogło bardzo łatwo zabić człowieka.



MARTIN DUGARD
„INTO AFRICA: THE EPIC
ADVENTURES OF STANLEY
AND LIVINGSTONE”

PENGUIN

Gdy Stanley przedzierał się na zachód przez tereny dzisiejszej Tanzanii, Livingstone był w tak tragicznej sytuacji, że zdecydował się na coś, co wcześniej z pewnością nie mieściłoby mu się w głowie – przyjął pomoc od handlarzy niewolników.

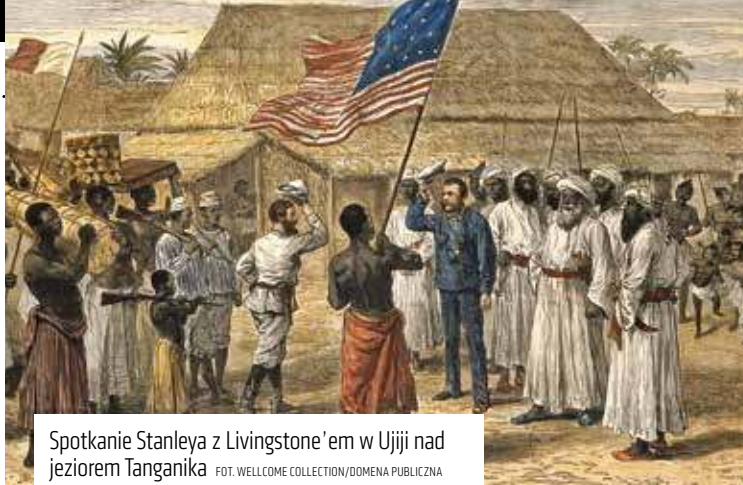
Nie miał innego wyboru. Po tym, jak okradziono go z wszystkich zapasów i sprzętu, był tak niedożywiony, że musiał przyjąć pomoc od ludzi, którymi bezbrzeźnie gardził. Handlarze tak się nim zajęli, że w końcu nawet przytył. Livingstone nie spędził z nimi zbyt wiele czasu. W lipcu 1871 r. był świadkiem strasznej masakry dokonanej w wiosce Nyangwe (dziś to Demokratyczna Republika Konga) przez arabskich handlarzy niewolnikami na czarnej ludności. To doświadczenie wstrząsnęło nim do szpiku. Livingstone uznał, że za wszelką cenę musi wrócić do cywilizacji, choć jego jedynym dobytkiem były koszula na grzbiecie i spodnie.

Przedzierając się na wschód, miał okazję stracić na wadze. W jakim stanie znalazł go Stanley, gdy w październiku 1871 r. dotarł do miasteczka Ujiji nad jeziorem Tanganika?

Przedstawiał sobą żalosny widok. Był chory, znowu był chodzącym szkieletem i desperacko wyczekiwał ratunku. Stanley usłyszał, że w Ujiji jest jakiś biały człowiek i gnany przeczcuciem z wielką determinacją zmierzał w kierunku jeziora Tanganika. Gdy dotarł tam, kazał wywiesić amerykański sztandar, by z daleka widać było, że nadchodzi ratunek. Obaj mężczyźni byli wstrząśnięci tym spotkaniem.

„Doktor Livingstone, jak mniemam?” – czy Stanley rzeczywiście wypowiedział wtedy te słynne słowa?

Nie wydaje mi się. W jego dzienniku fragment dotyczący tego dnia został wyrwany. Można to wytłumaczyć tylko na dwa sposoby. Ich spotkanie wyglądało nieco inaczej i Stanley w rzeczywistości wcale nie wypowiedział tych słów albo lata później jakiś jego wielki fan postanowił wyrwać z dziennika kawałek strony, żeby mieć wspaniały „autograf”. Osobiście stawiam na pierwszą opcję. Te słowa tak bardzo przylgnęły do niego, że do końca życia go w ten sposób pozdrawiano. Mam wrażenie, że Stanley chciał dzięki nim wyjść na człowieka na poziomie



Spotkanie Stanleya z Livingstone'em w Ujiji nad jeziorem Tanganika. FOT. WELLCOME COLLECTION/DOMENA PUBLICZNA

i wymyślił to na potrzeby swojego tekstu o znalezieniu Livingstone'a.

Słynny artykuł Stanleya zatytułowany „Livingstone bezpieczny” ukazał się na łamach „The New York Herald” 2 maja 1872 r.

Nie brak głosów, że był to najśłynniejszy artykuł prasowy XIX w. „The New York Herald”, i Stanley święcili triumfy. Z kolei prasa brytyjska płonęła z zazdrości.

Do czego można porównać rozgłos, który zyskał dzięki temu „The New York Herald”? Do serii tekstów z „Washington Post” ujawniających aferę „Watergate”?

Myślę, że teksty Stanleya na ten temat to większy kaliber, ponieważ afera Watergate nie rozpałała aż tak światowej opinii publicznej. Tymczasem teksty opisujące wyprawę ratunkową Stanleya zelektryzowały cały glob. Wszyscy chcieli się dowiedzieć szczegółów na temat tej brawurowej ekspedycji do wnętrza Czarnej Łądy! Wydawca gazety zarobił na tym fortunę. Cztery lata później postanowił powtórzyć ten sukces, wysyłając ekspedycję na Antarktydę. Oczywiście nie udało mu się przebić tamtego wydarzenia.

Słynny tekst mógł się ukazać kilka miesięcy wcześniej, ale Stanley po odnalezieniu Livingstone'a w październiku 1871 r. wcale nie pognął w kierunku wybrzeża, by przesłać materiał do Nowego Jorku. Co się z nim działo przez ten czas?

Stanley i Livingstone przenieśli się do Tabori, która znajduje się w połowie drogi między Ujiji a wybrzeżem. Dom, w którym się zatrzymali, wciąż istnieje. Stanley miał trudne dzieciństwo, ojciec opuścił go bardzo szybko. Livingstone stał się dla niego jak ojciec. Ta relacja również w drugą stronę była bardzo ciepła. Stanley nalegał, by Livingstone wrócił z nim do Londynu, ale ten odmawiał. Chciał dokończyć swoją misję – znaleźć źródło

Nilu. Pożegnali się ze łzami w oczach. Jeden zaszył się z powrotem w afrykańskiej dżicy, a drugi rozpoczął podróż do Europy.

Livingstone zmarł w Afryce półtora roku później. Gdyby historia Stanleya eksploratora Afryki skończyła się na misji

ratunkowej, z pewnością zostałby on zapamiętany z jak najbardziej pozytywnej strony. Tak się jednak nie stało. Stanley znany jest też bowiem jako człowiek, który pomógł Leopoldowi II znievolić, złupić i wykrwawić Kongo.

Stanley miał radykalnie rasistowskie poglądy, nawet jeżeli będziemy pamiętali, że był dzieckiem swoich czasów. Wchodząc w układ biznesowy z królem Belgii Leopoldem II, zaczął czerpać pieniądze z niewolnictwa. Dlatego zawsze podkreślałem, że było dwóch Stanleyów. Pierwszy to ten dziennikarz eksplorator, który odnalazł Livingstone'a. Drugi Stanley narodził się po powrocie do Afryki. Przemierzył wówczas rzekę Kongo, docierając od jej źródeł aż do ujścia do Atlantyku. Bez wątplenia był to akt wielkiej odwagi. Ta rzeka wciąż pełna jest ogromnych krokodyli, które jednym kłapinięciem pyska potrafią zabić kajakerzy. Odkrycia nie wystarczyły jednak Stanleyowi. On chciał za wszelką cenę zarobić ogromne pieniądze. Uwielbiał blichtr i wszedł w konszachty z Belgami, by zarobić na swoje wymarzone luksusy. Ten rozdział jego życia to jedna wielka hańba.

Czyli – mówiąc wprost – Stanley stał się tym wszystkim, czego Livingstone nienawidził.

Dokładnie. Co ciekawe, Stanley nigdy nie zaznał szczęścia. Zawsze było mu mało i choć wszedł do grona wielkich eksploratorów Afryki, to jednak brakowało mu kompasu moralnego, który całe życie nosił przy sobie Livingstone.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Martin Dugard

jest amerykańskim pisarzem i popularyzatorem historii. Wydał wiele książek, m.in. „The Explorers”, „The Training GROUND” i „The Last Voyage of Columbus”.

Kadr z filmu „Vaterland”
Christophera Menaula FOT. ALAMY/PAP

Powieść Roberta Harrisa / Amerykańsko-niemieckie odprężenie

Ucieczka z Vaterlandu



Piotr Zychowicz

III Rzesza wygrała wojnę i stała się supermocarstwem. W 1964 r. w Berlinie dochodzi do serii tajemniczych zabójstw dygnitarzy NSDAP

Co by było, gdyby... Niemcy wygrali drugą wojnę światową? To pytanie rozpala wyobraźnię badaczy, publicystów, miłośników historii i literatów. Jedną z najciekawszych „alternatywnych wizji” przedstawił w książce „Vaterland” amerykański pisarz Robert Harris. Pierwszy raz powieść ukazała się 30 lat temu. A w 1994 r. nakręcono jej głośną ekranizację z Rutgerem Hauerem w roli głównej.

Jak wyobrażał sobie alternatywny przebieg wydarzeń Harris? Niemcy rzuciły na kolana Związek Sowiecki wiosną 1943 r. dzięki sukcesowi wielkiej ofensywy na Kaukaz. Armia Czerwona została odcięta od dostaw ropy naftowej z Baku i skończyło się paliwo. Wskutek klęski Stalina, zagłodzona przez blokadę morską U-Bootów, Wielka Brytania poszła na negocjacje. W 1944 r. zawarła pokój z III Rzeszą.

Od tej pory wojnę przeciwko Niemcom i Japonii prowadziły tylko Stany Zjednoczone. W 1945 r. projekt „Manhattan” zakończył się sukcesem. Amerykanie rzucili bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Wojna na Pacyfiku została wygrana przez USA. Wówczas Hitler kazał wystrzelić rakietę V-3, która eksplodowała nad Nowym Jorkiem. Było to groźne ostrzeżenie – Niemcy też mają swoją Wunderwaffe i mogą odpowiedzieć Amerykanom pięknym za nadobne. Wkrótce niemieccy naukowcy opracowali własne pociski nuklearne.

W tej patowej sytuacji w 1946 r. Stany Zjednoczone i III Rzesza zasiadły do stołu rozmów i podpisały pokój. Rozpoczęła się zimna wojna między Ameryką a Niemcami czy też szerzej: Europą. W wyniku wojennego sukcesu Niemcy

uzyskały bowiem pozycję kontynentalnego hegemonu.

Nowy ład

Wielka Rzesza jest supermocarstwem. Obejmuje terytorium Niemiec, Austrii, Luksemburga, Czechosłowacji, Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy (z Krymem), Kaukazu oraz Rosji po Ural. Na dalekie rubieże imperium wysłano niemieckich osadników, którzy – między Bogiem a prawdą – wcale nie są zachwyceni ze swojego losu. Mają serdecznie dosyć spartańskich warunków, wschodnich mrozów i śniegów. Marzą o jak najszybszym powrocie do Tyrolu czy Bawarii.

Transport na tak wielkich przestrzeniach zapewniają samoloty Lufthansy oraz „wielkie jak domy” superszybkie pociągi odjeżdżające z futurystycznego dworca Berlin Centralny. Można z niego błyskawicznie przenieść się do Gotenlandu (Krymu), Theoderischshafen (Sewastopolu), komisariatu Taurydy, Żytomierza, Podola, Rostowa, Saratowa czy komisariatu Moskowi. Berliński dworzec jest „terminalem nowego świata”. Środkiem pajęczyny, z którego rozchodzą się linie komunikacyjne imperium.

Państwa Europy Zachodniej weszły zaś w skład – kierowanej przez Niemców – Wspólnoty Europejskiej. Jej flagą jest niebieski sztandar z 12 gwiazdami. Symbolizują one 12 państw członkowskich: Portugalie, Hiszpanię, Francję, Irlandię, Wielką Brytanię, Belgię, Holandię, Włochy, Danię, Norwegię, Szwecję i Finlandię.

Przed znajdującą się w Berlinie siedzibą Parlamentu Europejskiego gwiazdasty europejski sztandar wywieszany jest obok czerwonej flagi ze swastyką. W całej Europie wprowadzona została wspólna waluta, zniesiono granice. Hymnem zjednoczonego kontynentu jest „IX symfonia” Beethovena. Na mocy traktatu rzymskiego Europa stała się wspólną przestrzenią gospodarczą. Na lotniskach do kontroli paszportowej ustawiają się dwie kolejki – jedna dla obywateli Wspólnoty, druga dla obywateli innych państw świata. Brzmi znajomo, prawda?

Rzesza triumfuje. Niemiecki jest drugim językiem uczonym we wszystkich szkołach na kontynencie. Niemcy zyskały na wschodzie rezerwu surowcowy, a na zachodzie – rynki zbytu dla swoich produktów. Telewizorów, radioodbior-

ników, samochodów, samolotów i innych zaawansowanych technologicznie maszyn. Hałaśliwi niemieccy turyści zdominowali popularne europejskie kurorty.

W roku 1964, gdy rozgrywa się akcja „Vaterlandu”, niemiecka armia nadal musi jednak toczyć uporczywe walki na froncie syberyjskim. Niedobitki Armii Czerwonej toczą tam desperacką walkę partyzancką przeciwko Wehrmachowi. Zaopatrywane oczywiście w sprzęt i broń przez Stany Zjednoczone. Wsparcie udzielane bolszewikom sprawia, że USA są pariasem społeczności międzynarodowej. Amerykańscy sportowcy nie mogą na przykład brać udziału w igrzyskach olimpijskich.

Wynika to z tego, że za sprawą zwycięskiej kampanii na Wschodzie wojska niemieckie wyzwoliły sowieckie łagry i więzienia NKWD. Cały świat obiegły wstrząsające zdjęcia i doniesienia o masowych komunistycznych zbrodniach. To bolszewizm, a nie narodowy socjalizm – w alternatywnej wizji Harris’a – stał się uniwersalnym symbolem zła. Zgodnie z zasadą, że historię piszą zwycięzcy.

O zbrodniach niemieckich, w imię politycznej poprawności, lepiej głośno nie wspominać. Oczywiście wszyscy wiedzą, że podczas wojny działały się „rzeczy straszne”. Wszyscy wiedzą, że Żydzi zostali przesiedleni na wschód. Nikt jednak nie zadaje kłopotliwych pytań, co się z nimi na tym wschodzie stało. Patrzymy w świetlaną przyszłość, a nie w mroczną przeszłość!

Stolica Europy

Opisany przez Harris’a Berlin roku 1964 jest fascynującym miastem pełnym sprzeczności. Wielką metropolią, w której nadal obowiązują szalone ustawy rasowe zabraniające stosunków płciowych między Niemcami a Słowianami. A jednocześnie miasto staje się coraz bardziej kosmopolityczne dzięki gigantycznemu napływowi polskich sprzątańców, ogrodników, kucharzy, prostytutek, kelnerów i hydraulików.

W powojennej Rzeszy Kościół katolicki znajduje się na cenzurowanym. Prześladowani są homoseksualiści. A jednocześnie wraz z upływem lat reżim narodowo-socjalistyczny się liberalizuje. Nie jest już tak drapieżny jak podczas

■ wojny. Z narodowego socjalizmu została tylko pusta retoryka i nużąca rutyna partyjnych rytuałów. W NSDAP nie ma już zapału i ognia.

Klimat powieści jest złowieszczy i nie-samowity. Nad Berlinem szaleją burze, ulewy zmywają szare, granitowe ściany budynków. Główny bohater – oficer policji kryminalnej Sturmbannführer Xavier March – nosi czarny mundur esesmana z czerwoną przepaską ze swastyką. Błyszczące oficerki i czapkę z gapą. A jednocześnie jeździ nowoczesnym samochodem. W siedzibie policji znajduje się komputerowa mapa Berlina z migającymi na niej czerwonymi diodami. Wokół ziemi krążą niemieckie satelity ze swastykami na stalowych pancerzach.

Nad stolicą Wielkiej Rzeszy górują kolosalne budynki będące owocem wyobraźni Führera i architektonicznego geniuszu Alberta Speera. Przy pl. Adolfa Hitlera stoi wielki Pałac Rzeszy. To zwieńczona matowoziołoną miedzianą kopułą sala widowiskowa mogąca pomieścić 180 tys. widzów.

Dalej – mierzący 118 m – Łuk Triumfalny wznoszący się nad Aleją Zwycięstwa. Na ścianach Łuku wykuto w kamieniu nazwiska trzech milionów niemieckich żołnierzy poległych na wojnach 1914–1918 oraz 1939–1946. Z całej Europy i świata do Berlina ściągają tłumy turystów chcących zobaczyć te monumentalne konstrukcje.

Akcja „Vaterlandu” rozgrywa się w przełomowym momencie. W Berlinie zbiegają się dwa ważne wydarzenia. Po pierwsze – 75. urodzony Führera. Całe miasto obwieszone jest billboardami, z których dobiegają wzrokiem spogląda siwiuteńki, sympatyczny dziadek z wąsikami – Adolf Hitler. Zaplanowane są defilady, liczne festyny i pokazy fajerwerków. No i oczywiście przemowa Führera, który w oczekujących na niego tłumach wywołuje podobną histerię jak występy Beatlesów.

Druga sprawa jest znacznie poważniejsza. Otóż od pewnego czasu Stany Zjednoczone i III Rzesza rozpoczęły politykę détente, czyli odprężenia. Oba mocarstwa postanowiły zakopać topór wojenny, zakończyć zimną wojnę i powrócić do normalnych stosunków. Dość życia w permanentnej psychozie nuklearnej zagłady! Amerykanie chcą nawiązać kontakty handlowe z Europą, a Niemcy chcą wreszcie zamknąć front



Niemieccy żołnierze na froncie wschodnim, zima 1943 r. FOT.NAC

syberyjski. Niemiecka młodzież chce bowiem słuchać amerykańskiej muzyki rozrywkowej, podróżować i chodzić na potańcówki. A nie odmrażać zadki w okopach za Uralem. Młodzi Niemcy chcą cieszyć się życiem, a nie umierać na dalekiej wojnie, której nie rozumieją. Jak ujmuje to zgryźliwie Führer – Niemcy zgnusili się od powojennego dobrobytu.

W efekcie trumny z ciałami poległych na Wschodzie – aby nie drażnić ludności cywilnej – Wehrmacht musi wysyłać nocnymi pociągami. Według ostrożnych danych Niemcy w walkach z partyzantami tracą 25 tys. zabitych rocznie. Olbrzymie są również koszty tej wojny. Zakończenie zimnej wojny z USA otworzyłoby zaś przed niemieckimi koncernami (Bayerem, Siemensem czy Daimlerem) wielki amerykański rynek. Z polityki détente niezadowolony jest tylko produkująca armaty firma Krupp...

Kluczowe decyzje w sprawie sojuszu Ameryki i III Rzeszy mają zapisać w trakcie symbolicznej wizyty prezydenta Josepha Kennedy'ego w Berlinie. Amerykański przywódca ma się naturalnie spotkać z Adolfem Hitlerem i omówić z nim bezpośrednie zasady, na których będzie się opierał nowy światowy ład.

Holokaust

Teraz czas na akcję powieści. Wspomniany główny bohater – detektyw Xavier March – prowadzi śledztwo w sprawie tajemniczej serii morderstw, której ofiarą padli dygnitarze ze starej gwardii NSDAP. Posiadacze legitymacji partyjnych z niskimi numerami. Wszystko zaczyna się od wyłowienia z jeziora ciała Josefa Bühlera, w trakcie wojny – sekretarza stanu rządu Generalnego

Gubernatorstwa. W prawdziwej wersji historii Bühler został wydany przez aliantów w ręce polskich komunistów. W 1948 r. powieszono go w Krakowie. W alternatywnej wersji Roberta Harrisa – zginął z ręki „nieznanych sprawców” w roku 1964.

March szybko odkrywa, że wszyscy zabici dygnitarze mają ze sobą coś wspólnego – 20 stycznia 1942 r. byli w tym samym miejscu o tym samym czasie. Mowa o willi przy Grosser Wannsee 56/58 w Berlinie, gdzie odbyła się słynna konferencja, na której miały zapisać kluczowe decyzje w sprawie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Okazuje się, że seria morderstw jest dziełem esesmanów pod dowództwem złowieszczonego Odilo Globocnika. Podczas wojny – szefa SS i policji w Dystrykcie Lubelskim Generalnego Gubernatorstwa. To „Globus” był pomysłodawcą i wykonawcą ludobójczej operacji „Reinhardt”, w trakcie której Niemcy w obozach zagłady zagazowali setki tysięcy Żydów. Teraz, działający na zlecenie Reinhardta Heydricha – który cudem przeżył zamach w Pradze i po śmierci Himmlera w wypadku lotniczym stanął na czele SS – „Globus” eliminuje niewygodnych świadków ludobójstwa. Zachowanie ich przy życiu, w obliczu nadchodzącego pojednania z Ameryką, wydaje się być co najmniej ryzykowne.

March wchodzi w posiadanie szokujących dokumentów dotyczących Holokaustu. Okazuje się, że Żydzi wcale nie zostali deportowani – zostali wymordowani. Detektyw jest wstrząśnięty i postanawia przekazać kompromitujące materiały do USA. Wykorzystuje do tego seksowną amerykańską dziennikarkę pracującą w Berlinie – Charlotte Maguire. Przy okazji między Niemcem a Amerykanką



ROBERT HARRIS
„VATERLAND”

ALBATROS

nawiazuje się płomienny romans.

Polski czytelnik w książce „Vaterland” znajdzie mnóstwo interesujących wątków. Para Maguire-March, w tajnej skrytce bankowej w Szwajcarii odnajduje zrabowaną przez Niemców z Krakowa „Dagę z łasiczką” Leonarda da Vinci. Inne wątki mogą z kolei polskiego czytelnika śmieszyć. Jak choćby wzmianka o pewnej prostytutce z Berlina, która farbowała swoje „polskie odrosty” na przepisowy niemiecki blond. Tak jakby w Polsce nie było blondynek!

Rutger Hauer

Teraz kilka słów o ekranizacji. Rutger Hauer – w roli detektywa Xaviera Marcha – wypadł znakomicie. Wielkie wrażenie robi Praga, w której kręcono film. Hollywoodzka ekipa „ucharakteryzowała” miasto na stolicę Wielkiej Rzeszy. Na ulicach wielkie plakaty z Hitlerem i flagi ze swastykami. W siedzibie Kripa szklane ruchome drzwi z kalkomanią w postaci hitlerowskiej gapy. Połączenie nowoczesności i hitlerowskiej symboliki robi wrażenie. Niestety jednak reżyser Christopher Menaul i jego scenarzyści tylko do pewnego czasu trzymali się wiernie powieści. Na potrzeby ekranowej dramaturgii całkowicie zmienili zakończenie.

W książce dziennikarce Charlotte Maguire udaje się wywieźć dokumenty na temat Holokaustu do neutralnej Szwajcarii. Trudno jednak spodziewać się, żeby zaszkodziły one polityce odprężenia prezydenta Kennedy’ego. Na szali są zbyt wielkie interesy i pieniądze. Niemcy zawsze mogą powiedzieć, że dokumenty to fałszywki. Dzieło wrażeń, komunistycznej propagandy. A Amerykanie przyjmą to wytłumaczenie i nie będą zadawać kłopotliwych pytań swoim nowym, europejskim przyjaciółom.

Tak właśnie wygląda Realpolitik. Tymczasem twórcy filmu „Fatherland” postanowili stworzyć typowo hollywoodzkie, naiwne i idealistyczne zakończenie. Otóż dziennikarka nie wyjeżdża do Szwajcarii. Zostaje w Berlinie i po wylądowaniu Air Force One udaje jej się przekazać prezydentowi USA pakiet kompromitujących materiałów.

Prezydent USA przegląda w limuzynie zdjęcia pomordowanych Żydów i jest zszokowany. Nie zważając na zgromadzone na ulicach rozentuzjasmowane

tłumy – wymachujące hitlerowskimi i amerykańskimi chorągiewkami – każe kierowcy zawrócić i przerwać wizytę. Na ekranie widzimy twarz rozczerowanego Adolfa Hitlera, który na próżno czeka na amerykańskiego przywódcę.

Polityka détente z powodu moralnego wzburzenia Kennedy’ego zostaje w spektakularny sposób zerwana. Widzowie filmu dowiadują się, że w Wielkiej Rzeszy wkrótce wybucha seria wolnościowych rewolucji ujarzmionych narodów. Imperium Hitlera – pozbawione oparcia w postaci paktu z Ameryką – załamuje się z hukiem. Wielki, wspaniały finał. Happy end!

Jest to oczywiście piramidalna bzdura. Wielkie mocarstwa w swoich działaniach nie kierują się moralnością i prawami człowieka, ale interesami. Wystarczy przypomnieć lata 1941–1945, gdy USA znajdowały się w ścisłym sojuszu z ZSRS.

Amerykanie nie byli przecież dziećmi. Doskonale wiedzieli o GUŁagu, Wielkim Głodzie, Wielkim Terrorze, Katyniu i innych masowych zbrodniach bolszewików. Interesy były jednak ważniejsze. Dlatego amerykańska propaganda wychwalała pod niebiosa dobrotliwego Wujka Joe (czyli Stalina), a Związek Sowiecki przedstawiała jako kraj wolności i demokracji.

Trudno więc zrozumieć, dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych miałby zerwać politykę odprężenia z III Rzeszą ze względu na zbrodnie popełnione przez Niemców ponad 20 lat wcześniej. Scena kończąca film „Fatherland” jest po prostu śmieszna. Zapewne dlatego Robert Harris w jednym z wywiadów powiedział: „Moja pierwsza książka, »Vaterland« została zamieniona w bardzo zły film”. Jako przyczynę swojej negatywnej opinii pisarz podał właśnie drastyczne zmiany w fabule dokonane przez scenarzystów. Nawet znakomita gra Rutgera Hauera nie mogła uratować sytuacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Krzysztof Masłoń

**/ Był jednym z naprawdę
nielicznych żyjących
w kraju pisarzy, którzy
w czasach komuny
uratowali honor
literatury polskiej**

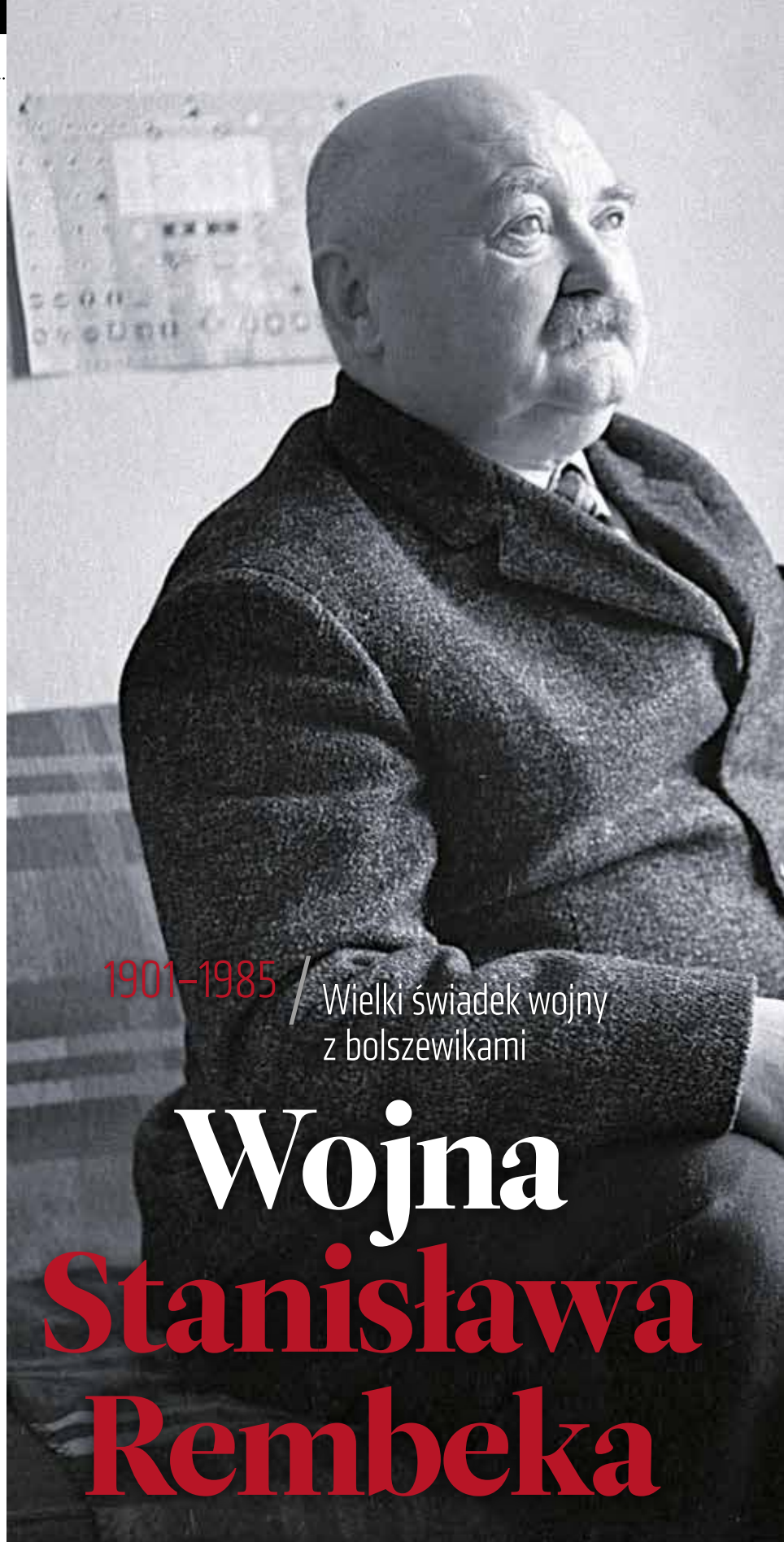
O Rembeka nigdy dosyć. Pisałem już o nim na łamach „Historii Do Rzeczy”, teraz mam po temu dodatkową okazję, jako że ukazały się właśnie trzy pierwsze tomy jego „Dzieł zebranych”, które – mam nadzieję – ostatecznie ugruntuja należną mu wysoką pozycję w hierarchii literatury polskiej XX stulecia.

Początek zaplanowanej na 10 tomów edycji obejmują utwory o wojnie polsko-bolszewickiej, dzięki którym Stanisław Rembek zaistniał w naszym piśmiennictwie. Są to powieści „Nagan” i „W polu” oraz opowiadania uzupełnione „Dziennikiem 1920”. Ich autor, wcześniej członek tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej, w 1919 r. wstąpił na ochotnika do Wojska Polskiego, służąc jako kanonier w 1. Baterii 10. Kaniowskiego Pułku Artylerii Polowej.

Jego świadectwa ze zwycięskiej wojny odrodzonego państwa polskiego z najeżdżającą Europę bolszewią nie mają równych w naszej prozie, a „W Polu”, odczytywane po wielu latach, jawi się jako arcydzieło. Tym bardziej może warto przyjrzeć się bliżej niewątpliwie gorszej artystycznie powieści Rembeka – „Naganowi”, równie słabo znanemu w kraju, gdyż obie te opowieści nie mogły się ukazywać w powojennej Polsce, a przedwojenne ich wydania wycofano z bibliotek. Ich antykomunizm czy, tym bardziej, antyrosyjskość były bzdurą. Po prostu rok 1920 był tabu.

Gwizd kul

A postrzeganie wojny przez Rembeka nie było wcale oczywiste. Dla niejakiemu Walczaka, negatywnej wprawdzie postaci z „Nagana”, wyglądała ona groteskowo. „Być może – czytamy – występowała



1901–1985

/ Wielki świadek wojny
z bolszewikami

Wojna Stanisława Rembeka



w tym wypadku jeszcze radość z cudzego nieszczęścia i poczucie własnego bezpieczeństwa, gdy stojąc za zasłoną, patrzył na pogrom swojego oddziału. Toteż śmiał się sam do siebie głośno, obserwując to, co się przed nim działo. Oddziaływał nań komizm szalonego ruchu panującego na drodze. Te figurki ludzkie biegające tu i ówdzie jak spłoszone karaluchy, to zatrzymujące się niepewnie, to rzucające się nie wiadomo czemu do ucieczki; te iskierki strzałów karabinowych i rewolwerowych skaczące bezustannie w półmroku, zawsze niespodzianie i nieuchwytnie dla wzroku; ta wrzawa nieskładna, bezsensowna – z górującym nad nią zacieklą, jedynie denerwującym przez swą ciągłość gwizdem kul – podniecała jego wykształconą kinowo wyobraźnię. Ta zabawa w śmierć nie mogła zrobić poważnego wrażenia na widzu”.

Nieprzyjaciół jest zawzięty i okrutny, niejako z definicji, ale czy zawsze i każdy? Maryśka z „Nagana” dostaje się w bolszewickie ręce. Jest ranna, wcześniej naczytała się „o sadystycznych torturach, jakim poddawano wzięte do niewoli sanitariuszki. Miano je wbijać na pale, rozrywać w wyrafinowany sposób granatami ręcznymi i tak dalej. Maryśka wszystko to miała w pamięci i rozumiała, że ma przed sobą pasożyta wojny, osobnika o zbrodniczych instynktach, który, korzystając z bitwy, zaspokajał swą żądzę mordu. Wojna nie zawsze jest zbrodnią, ale zawsze daje wszelkim zbrodniom zasłonę”. Rzeczywistość zwiastowała najgorsze: „Zobaczyła coś ohydneho. Potworna maska. Włosy wstrętnego, żółtego koloru, zniszczona czapka rosyjska, twarz pocętkowana ciemnymi piegami i okropna, ciemnofioletowa plama zamiast nosa, niby spłaszczony ryj. Więc takiemu dostała się potworowi. Oby Bóg dał jej siły do męczeństwa!

Uczuwa teraz ból w ranie. Poczwara bada ją, naciskając otwór niezgrabnymi paluchami, brutalnie odgarniając szeroką łapą jej delikatną pierś. Teraz znów Maryśka czuje na ranie ostrożne, wilgotne dotknięcie. Co to? Jodyna! Opatruje ją! Znowu otworzyła oczy, tym razem już szeroko, i śledzi z podziwem ruchy swego dręczyciela. Ten rzucił na nią obojętnym wzrokiem i zabrał się do bandażowania. Obracał ją bezceremonialnie. [...] Z zimnym spokojem, nienaruszającym rysów jego potwornej maski, dokończył opatrunek.

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

■ Gdy myślimy, że jesteśmy zupełnie opuszczeni w życiu; gdy nie możemy znaleźć ani okruszka dobra i piękna w otaczającym nas świecie, gdy już nam się zdaje, że ambicje, namiętności i chłodny rozum, piszący krwią istot żywych teorie szczęścia urojonej ludzkości, zdołają wytworzyć pełne piekło na ziemi – zawsze wtedy zjawia się miłosierdzie Boże pod postacią dobrego człowieka”.

Ale znów wypada powtórzyć pytanie: Czy aby na pewno zawsze?

Prawda i Polska

Kraśnickiego, żołnierza poetę miała zdziwić własna śmierć: „... wyobrażał sobie dotychczas, że jego rozstanie się z tym światem musi zająć wśród nadzwyczajnych okoliczności, musi być opromienione aureolą nadzwyczajnego bohaterstwa i sławy, jak śmierć księcia Józefa, generała Sowińskiego czy choćby załogi reduty Ordon. Tymczasem umiera oto pod wsią, w nocy, jako nieznany żołnierz zastrzelony prawie przypadkowo podczas ucieczki... Żeby to jeszcze mógł umrzeć spokojnie, ale zapewne za chwilę dopadną go tu bolszewicy i dobiją jak konia ze złamaną nogą!

Ostatnia myśl tak go przerażała, że zerwał się na równe nogi, zapominając o ranach, i ruszył, kulejąc, w ciemność, z łkaniem modląc się, aby Bóg pozwolił mu dotrzeć do swoich...”.

Modlitwa, widać, pomogła. Złożył meldunek, wsadzono go do paki...

Ten sam Kraśnicki prowadził wcześniej znamienne rozmowę z oficerem Pomianowskim ze swojej kompanii, który pyta go:

„– Chcecie zostać, czy jesteście już poetą, prawda? Macie coś jeszcze do powiedzenia ludziom. Ale jesteście przecież na froncie... Czy nie przyszło wam na myśl, że możecie zginąć, nie wypełniwszy swojego zadania?

Kraśnicki był widocznie zaskoczony tym pytaniem. Mówił drżącym, urwanym głosem.

– Nie... Jak to? Ja nie mogę zginąć!

– Dlaczego?

– Bo to jest nieprawdopodobne! Nie wierzę w to!

– Uważacie zatem, że jesteście tak potrzebni na świecie?

– Nie. O tym, czy kto jest na świecie potrzebny czy też niepotrzebny, może decydować jedynie Bóg.



Stanisław Kaczor-Batowski „Bój pod Zadowierzem”
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

– Więc według was człowiek sam nie może dojść do świadomości swojej roli w świecie?

– Nawet powinien.

– Jakież jest wobec tego zadanie człowieka?

– Walka o Prawdę.

– I czy wy tu na tym przyczółku walczycie o Prawdę?

Kraśnicki zaczerwienił się.

– Jak umiem.

– Więc dla was Prawdą jest Polska?

– Nie... Polska jest tylko narzędziem w ręku Boga dla ugruntowania panowania Prawdy w świecie.

A co to jest Prawda?”.

Żeby się rozmówcy zanadto nie rozpolitykowali, w tym właśnie momencie następuje atak bolszewicki i to on, i tylko on, jest prawdą najprawdziwszą.

Ofiarne serce

Bohaterami prozy Rembeka są oczywiście nie tylko inteligenci, lecz także chłopci i robotnicy. Wieczne głodni, zawżeni, zmęczeni, z ukosa popatrujący na dowódców, adaptujący się jednak szybko do frontowej rzeczywistości, w której dawali sobie animuszu łykiem gorzałki i słowami piosenki:

A nasza kompania to w Mościszczu stoi.

Tu w Mościszczu stoi, tu w Mościszczu stoi.

I pisze do Trockiego, że go się nie boi,

Że go się nie boi, hopaj-siup!

Naprawdę bali się jedni drugich, liczyli tych, których z dnia na dzień ubywało, dokonywali czynów, o których zdziwieni dowiadywali się, że były bohaterskie, zapominali o życiu, jakie pędzili przed wojną, jak np. sierżant Gołąbek z „Naga-

na”, kiedyś kelner, a w wojsku „twardy żołnierz, nic poza wojną niewidzący i nieuznający”. Zabija dla zabijania, które pojmuje – jakkolwiek dziwnie to zabrzmie – jako sztukę. Makabryczną, bo zabija bolszewickich jeńców i nie waha się strzelać do swoich żołnierzy, byle powstrzymać nieprzyjacielskie natarcie.

W posłowie do tej powieści profesor Maciej Urbanowski zwraca uwagę na „obecność żołnierzy pochodzenia żydowskiego: Sztajnbacha, który oszaleje pod wpływem szoku bojowego, Wajntauba czy podchorążego Szwarca. O tym ostatnim czytamy, że był z pochodzenia Żydem, »o gorącym je d n a k i ofiarnym sercu Polaka«. Pomianowski przyjaźni się »po trosze« ze Szwarem, jednak nie może mu darować »pewnej tchórzliwości w usposobieniu« czy »kupieckiego raczej niż rycerskiego ujmowania zjawisk życiowych«. W innym miejscu, reagując na skargi podchorążego na to, jak traktują go Polacy, mówi: »Co masz w sobie rasowego [...], to tę okropną krzykliwość wobec najmniejszej krzywdy własnej«. Scena ta, jak i inne, sygnalizuje z pewnością napięcia polsko-żydowskie, ale mają one miejsce już w o b r ę b i e »m e c h a n i z m u w o j u j ą c e j P o l s k i e«. Żyd nie jest tu – jak bywało w literackich opowieściach o roku 1920 – wrogiem, synonimem bolszewika”.

Warto w tym miejscu odwołać się do biografii autora „W polu”. Urodził się 1 lipca 1901 r. w Łodzi, otrzymał imiona Stanisław Edmund. Jego ojcem był Edmund Ehrenberg, kierownik robót budowlanych, a matką Kazimiera z Osmanowiczów. Rodzice przyszłego pisarza mieszkali w tym czasie w Łasku. Jego ojciec, którego przodkowie pochodzili – jak głosiła rodzinna legenda – z alzackich

Francuzów, w 1926 r. zmienił nazwisko na Rembek.

W 1938 r., po wizycie cenionego przez nią prozaika w jej domu, Maria Dąbrowska zapisała w dzienniku: „Jest to niski, łysy, gruby jegomość o roześmianej twarzy jak księżyc w pełni. Wygląda trochę na Żyda. Kiedy zapytałam, czy Rembek, to jego nazwisko, czy pseudonim, odpowiedział: »Nazwisko. To jest... trochę zmienione. Ale to już ojciec zmienił. Nazywał się właściwie Ehrenberg. My pochodzimy z Alzacji, także ja mam krew alzaczką«. Po tym wyjaśnieniu nie miałam już prawie wątpliwości”.

Poemat grozy

„W polu” – arcydzieło Stanisława Rembeka – światło dzienne ujrzało w roku 1937, a więc wiele lat po zwycięskiej wojnie, której wyniku czytelnik nie dowie się jednak z tej powieści, przez autora „opowieścią” nazwanej. Czyniono mu nawet z tego powodu zarzut, a książka – fakt, że wydana była jak – sprzedawała się marnie, choć pisarz przesadzał chyba, skarżąc się po edycji Marii Dąbrowskiej, że czytelników znalazło zaledwie 80 egzemplarzy. Na szczęście, krytyka bardzo „W polu” – zgłoszone do nagrody „Wiadomości Literackich” chwaliła, a Lech Piwoński nazwał je, jakże słusznie, „poematem grozy, klęski i zagłady”.

Kiedy główny bohater „W polu”, por. Paprosiński, w jakiejś mierze wykazujący podobieństwo do autora, „wyruszał na front, radował się nadzieją, że pośród wszelkich niewygód, trudów i grozy znajdzie tam cenne i czyste jak brylant poczucie pełnienia najcięższego obowiązku. Tymczasem rozczarował się zupełnie. To, co ze swej strony uważał za najwyższe poświęcenie, było naturalnym i radosnym żywiołem dla bardzo wielu jego towarzyszy broni, wśród których – jak się przekonał – co najmniej tylu było łotrów, co bohaterów, tylu wyrzutków społeczeństwa, co jego obrońców. Wszystkie zbrodnie cieszyły się tu bezkarnością, z wyjątkiem nieposłuszeństwa i tchórzostwa. Nie mogło być inaczej”.

Wspaniały teatr wojny przedstawiony przez Stanisława Rembeka jest surowy, jak najdalszy od wielkich słów, odarty z patosu. „Czytelników »W polu« – pisze w posłowie Maciej Urbanowski – za-

chwycił przede wszystkim [...] realizm scen batalistycznych i związana z tym analiza fenomenu nowoczesnej wojny oraz psychiki ludzi w niej walczących. Rozdział »Wielka bitwa« to długi, wspaniały powieściowy reportaż z pola walki, ukazywanej z perspektywy jej uczestników, zaskakujący inwencją, z jaką Rembek «tłumaczy» bitwę, odwołując się do doświadczeń związanych na przykład z szcieniem czy pracą na roli albo ze zjawiskami natury: »trzask kulomiotów zaczął fastrygować ten hałas niby maszyna do szycia zwoje materiału« czy »coraz to nowe fale [szrapneli] rozbłyśkiwały nad okopem, rzekłbyś: wzburzone fale morza rozbijające się w pianę o niewidzialny brzeg».

„W polu” ma swoją pierwszą, skróconą wersję w postaci opowiadania „Dereń” z 1924 r., które możemy teraz porównać z powieścią. Akcja jej rozgrywa się zaledwie w ciągu kilku dni, między 4 a 14 lipca 1920 r., kiedy to bolszewicy przełamali polskie pozycje nad Autą i Berezyną. Bohaterami książki są żołnierze 7. Kompanii 10. Dywizji Piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego. Na początku roku 1919, kiedy powstawała, liczyła sto kilkadziesiąt osób, na początku powieści już tylko ponad sześćdziesięciu, na końcu – kompanii już nie ma.

Pisarz podejrzany

We wrześniu 1939 r. Stanisław Rembek, kombatanat poprzedniej wojny, okaże się dla wojska zbędny. Bez przydziału, weźmie jednak udział w obro- nie Warszawy, pełniąc funkcję komendanta schronu przy ul.

Tamka. Do Milanówka, do żony i dzieci (wychowywał jej córki z pierwszego małżeństwa) powróci dopiero 2 października. Przez okupację będzie handlował i konspirował, pomagał w ukrywaniu



Żydów i tajnym nauczaniu. Jego dziennik z tamtych lat znajdziemy w trzech następnych tomach „Dzieł zebranych”, wydawanych przez PIW pod redakcją prof. Macieja Urbanowskiego, m.in. wraz ze sławnym, a dotyczącym drażliwego problemu kolaboracji, „Wyrokiem na Franciszku Kłosa”.

Całą edycję, już w roku 2023, zakończą tomy obejmujące m.in. napisaną po wojnie „Balladę o wzgardliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe” (na kanwie ich powstał niedoceniony swego czasu, a znakomity film Juliusza Machulskiego „Szwadron”) oraz nigdy nie opublikowaną powieść o powstaniu listopadowym „Wianek Malwiny”.

Przez długie lata PRL był pisarzem wysoce podejrzanym. Nie dość tego, że przed wojną pisał o wojnie, której przecież nie było, to w 1945 r. zrezygnował z pracy w Ministerstwie Kultury, bo ta „nie zgadzała się z jego zasadami i poglądami jako pisarza”, śmiało wydać „W polu” u Jerzego Giedroycia (było to jednak za słabą przepustką do „Salonu”, który go nigdy nie zaakceptował) i gdzie mógł manifestował swą niezależność. Gdyby nie pomoc Bolesława Piaseckiego, który w bardziej „odwilżowych” czasach doprowadził do wydania „Kłosa” i „Wzgardliwego wisielca” oraz wspomagał go, zlecając recenzje wewnętrzne dla Instytutu Wydawniczego PAX i przyjmując nieczęste artykuły do paksowskiej prasy, pewnie by głodował. A i tak dorabiał korepetycjami, adiustowaniem tekstów, korektorstwem. Popadał

w depresję, czasowo nadużywał alkoholu i morfiny. Zmarł 21 marca 1985 r.

Był jednym z naprawdę nielicznych żyjących w kraju pisarzy, którzy w czasach komuny uratowali honor literatury polskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Władysław Studnicki był największym wizjonerem polskiej geopolitki. Człowiekiem obdarzonym genialnym instynktem, zmysłem analitycznym, a często darem profetycznym. Rozumiał więcej, widział dalej niż jego współcześni. Jak pisał Michał Römer, Studnicki bezbłędnie wyczuwał, gdzie leży polski interes narodowy. Doskonale czytał zasady gry międzynarodowej. A to u Polaków jego epoki było cechą rzadką. Uznają pewnie państwo, że to przesada. Zbyt nie kadzenie nestorowi polskiej Realpolitik. Zajrzyjmy zatem do – wydanej niedawno przez Nową Konfederację – książki „Polska za linią Curzona”. To ostatnie dzieło Studnickiego, opublikowane w Londynie już po śmierci autora, w roku 1953.

Studnicki porusza w tej książce wiele tematów. W pewnych sprawach ma rację, w innych – moim zdaniem – nie. Ale to, co pisze o trzeciej wojnie światowej, uderza dziś swoją aktualnością. Jak wiemy, na wybuch trzeciej wojny światowej liczył powojenny obóz patriotyczny. Liczyli na nią emigranci, liczyli na nią Żołnierze Wyklęci, liczył Władysław Anders i liczył Studnicki.

Z tym że tylko Studnicki na poważnie zastanawiał się nad tym, kto podczas trzeciej wojny światowej będzie kluczowym sprzymierzeńcem Ameryki. Polacy? Śmieszna mrzonka! Amerykanie nie będą działać wbrew swoim interesom i nie będą kierować się żadnymi sentymentami. A co za tym idzie, wybiorą możliwie najsilniejszego sojusznika. A nie sojusznika słabego.

Dlatego sojusznikiem USA w nadchodzącej trzeciej wojnie światowej – przestrzegał Studnicki – będzie Republika Federalna Niemiec. A nie Polska. Nie można mieć co do tego żadnych złudzeń.

„Nie chcąc ponosić całego ciężaru bezpieczeństwa i zbrojenia Europy – pisał Studnicki – Ameryka do udziału w akcji wspólnej obrony musi powołać państwa europejskie i ocenić je według siły potencjalnej”.

Tak, w polityce liczy się tylko siła. A nie to, że Pułaski i Kościuszko kiedyś przelewali w Ameryce krew „za wolność naszą i waszą”.

„Wpływ każdego z narodów europejskich [u Amerykanów] – pisał Studnicki – w znacznej mierze zależy od jego sił gospodarczych, umysłowych i potęgi



FOT. MAC

Książka miesiąca / Polska za linią Curzona

Realizm Studnickiego

potencjalnej. Tu Niemcy wysuwają się na jedno z pierwszych, jeżeli nie na pierwsze miejsce”.

Gdyby w 1953 r. wybuchła trzecia wojna światowa – uważał autor „Polski za linią Curzona” – Ameryka bez mrugnienia okiem oddałaby Wrocław, Szczecin i Olsztyn Niemcom. Polskie protesty uznano by za śmieszne i – w najlepszym razie – zbyt by je wzruszeniem ramion.

Jak widać, prawa, którymi rządzi się międzynarodowa polityka, są niezmiennie. Dzisiaj Ameryka szykuje się do konfrontacji z Chinami, a co za tym idzie – potrzebuje w Europie jak najpotężniejszego sojusznika. I oczywiście wybrała Niemcy, a nie – jak śniło się naszym romantikom – Polskę. Zgoda Waszyngtonu na budowę Nord Stream 2 naprawdę nie powinna nikogo dziwić. A przynajmniej

nie dziwi tych, którzy czytają Studnickiego.

Pisząc o nowym wydaniu „Polski za linią Curzona”, nie sposób nie wspomnieć o brawurowym wstępie, który do tej książki napisał prof. Sławomir Cenckiewicz. To 100-stronicowy esej o prowokacyjnym tytule „Ten Studnicki to kompletny wariat”. Czyta się kapitalnie! ©©

Piotr Zychowicz



WŁADYSŁAW STUDNICKI
„POLSKA ZA LINIĄ CURZONA”
 NOWA KONFEDERACJA

Kresy niepozorne

W 16. tomie „Kresowej Atlantydy” prof. Stanisław Sławomir Nicieja opisuje mniejsze, co nie znaczy, że mniej ciekawe, miejscowości ziem południowo-wschodnich. „Niby głęboka prowincja, a jakie ciekawe były tam zjawiska, jacy ciekawi ludzie stamtąd wyszli” – przekonuje autor.

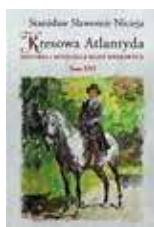
W Bolechowie w 1883 r. powstała Cesarsko-Królewska Szkoła Leśniczych. W tym czasie przedsiębiorcy niemieccy i austriaccy prowadzili w Galicji rabunkową gospodarkę, która przybrała zatrważające rezultaty. Trzeba było więc tworzyć kadry fachowców, którzy wypełniali by ubytki w drzewostanie. W niepodległej Polsce kontynuatorką tej placówki była Państwowa Szkoła dla Leśników.

Z Bolechowa wywodziła się śpiewaczka operowa Marcella Sembrich-Kochańska, córka miejscowego garbarza. Autor obszernie pisze o jej światowej karierze i sławie, artystka występowała w Metropolitan Opera i operze mediolańskiej. Świat i mentalność bolechowskich Żydów opisała Kazimiera Szymańska-Alberti w książce „Ghetto potępione”.

W miejscowości Świrz znajduje się zaniedbany, niestety, zamek, siedziba rodu Cetnerów, którzy go wzniesli. Bywał tu przyszły dowódca AK, gen. Tadeusz

Bór-Komorowski, ożeniony z córką właścicieli zamku Ireną Lamezan de Salins i jej męża, spolonizowanego oficera austriackiego. Świrz ma swojego dokumentalistę, urodzonego w nim Józefa Wyspiańskiego, twórcę i redaktora naczelnego „Spotkań Świrzan”. Zebrał on ogromny materiał o dziejach miasteczka i ziemi przemysłańskiej oraz opublikował książki o zbrodniach UPA. Ze Świrza pochodził także wybitny archeolog prof. Andrzej Żaki.

Stanisław Sławomir Nicieja pisze również o wsi Chococin, dziś w granicach Kałusza, i o urodzonym tam Mieczysławie Kozar-Słobódkim, legionście, autorze słynnej piosenki „Białe róże”, związanym z kabaretem Qui Pro Quo. Autor odkrywa przed czytelnikiem także Wełdzirz, „stolice drwali i przemysłników”, znane niegdyś letnisko i uzdrowisko karpackie, do którego jeździli lwowianie, tarnopolanie i stanisławowianie. ©© *Tomasz Stańczyk*



STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA.
HISTORIA I MITOLOGIA MIAST
KRESOWYCH. TOM XVI”
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU
OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

Tułaczka przez pół świata

On był artystą słynnego Cyrku Braci Staniewskich, ona biedną, 16-letnią dziewczyną pracującą w garbarni. W 1936 r. zakochali się i szybko pobrali. Gdy wybuchła wojna, on był na występach w Białymstoku, a ona z małym dzieckiem w bombardowanej Warszawie. Kubuś Horowitz trafił pod okupację sowiecką, a jego żona Mindla i synek Gad – pod niemiecką. Aby się spotkać, każde ruszyło w stronę drugiego... Minęły ponad dwa lata, zanim rodzina Horowiczów znów była razem. W międzyczasie Mindla trafiła do sowieckiego więzienia pod zarzutem szpiegostwa, ich synek Gad został umieszczony w sierocińcu, a Kubuś, by przeżyć, zabawał niemieckich, a później sowieckich żołnierzy.

Sue Smethurst, australijska dziennikarka i żona wnuka Mindli, odtworzyła niesamowitą, liczącą wiele tysięcy kilometrów tułaczkę żydowskiego małżeństwa, które wyszło z Kraju Rad wraz z armią Andersa i osiedliło się w Australii. Mindla zmarła w 2015 r. w wieku 96 lat. ©© *(p.w.)*



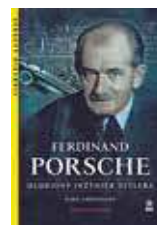
SUE SMETHURST
„KU WOLNOŚCI”
REBIS



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI
„SOBIESKI. LEW, KTÓRY
ZAPŁAKAŁ”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

ŁŻY SOBIESKIEGO

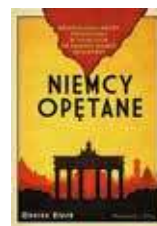
Po wiktorii wiedeńskiej skończyły się zwycięstwa Jana Sobieskiego. Zagraniczni i krajowi wrogowie, a także jego błędy spowodowały, że w 1686 r., po kolejnej nieudanej wyprawie do Mołdawii, musiał podpisać we Lwowie kapitulację pokój z Moskwą (tzw. Grzymułtowskiego). Łży płynęły mu z oczu. To kres triumfów Lwa Lechistanu w nowej książce znakomitego popularyzatora historii. ©© *(m.r.)*



KARL LUDVIGSEN
„FERDINAND PORSCHE.
ULUBIONY INŻYNIER
HITLERA”
WYDAWNICTWO RM

PODZIWIĄŁ GO HITLER

Ferdinand Porsche nie konstruował znanych samochodów Porsche, ale – na życzenie Hitlera – stworzył tani samochód dla „volku” – Volkswagena. Tyle że produkcja samochodu dla ludu upadła, bo Porsche rozwijał konstrukcje dla armii. Oto biografia najwybitniejszego inżyniera samochodowego XX w. Samochody hybrydowe? Projektował je ponad 100 lat temu właśnie Porsche. ©© *(t.s.)*



MONICA BLACK
„NIEMCY OPĘTANE”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

NIEMIECKA CZARNA MAGIA

Według powszechnej opinii Niemcy są narodem racjonalnym. Tymczasem – jak udowadnia Monica Black – jest to stereotyp. Amerykańska historyk opisuje nieznaną fenomen: powojenną fascynację wielu Niemców ezoteryzmem, czarną magią, demonami i ludowymi uzdrowicielami. Czy miało to związek z wojennymi traumami? Czy było to odreagowanie opętania złą, brunatną ideologią? Ciekawe, nieznanne w Polsce sprawy. ©© *p.z.*



Kazimierz Olpiński „Zbieranie gałęzi”, pocztówka.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Chłop niewolnik

Ponury obraz polskiej wsi – a więc właściwie całej Rzeczypospolitej szlacheckiej – maluje autor tej książki. Oto zaledwie 10. część jej mieszkańców, czyli szlachta, żyje godnie, mając prawa i byt zabezpieczony na odpowiednim poziomie, natomiast zdecydowana większość ludności stanowi niewolników tej mniejszości. Przypomnienie, jak do tego doszło, w czym konkretnie się przejawiało i jakie skutki pociągnęło – stanowi treść „Pańszczyzny”.

Niby to wszystko wiemy. O „raju dla szlachty i piekle dla chłopów” pisano już przed wiekami. Stosunki panujące na polskiej wsi od XV do XVIII w. były później przedmiotem badań licznych

i liczących się historyków, o czym świadczy zresztą sążnista bibliografia zamieszczona przez Kamila Janickiego. Jednak skrupulatnego, przystępnego, popularnonaukowego ujęcia tematu wyraźnie brakowało.

Gospodarka folwarczna, obliczona na zwiększanie produkcji, z której zyski czerpał głównie szlachecki właściciel ziemi, zdominowała polską wieś mniej więcej od czasów pierwszych Jagiellonów. W miarę jej rozwoju stan szlachecki zdobywał coraz większe prawa, a przypisani do ziemi chłopcy byli ich pozbawiani. Ich wyzysk



nasilał się i tracili elementarną ludzką godność. Szlachcic stawał się panem życia i śmierci chłopów i ich rodzin. Nazywano ich bydłem, odmiennym od szlacheckich Sarmatów narodem – prymitywnym, leniwym, wymagającym bata.

Gąsiorzy, dyby, baty i kije czekały niepokornych. Chłopskie córki, siostry i żony bywały jeszcze dotkliwiej bite, a także bezceremonialnie i brutalnie wykorzystywane seksualnie przez panów. Postępowania sądowe czekały tylko tych nobilitowanych, którzy zgwałcili cudzą poddankę. Wielkopolski szlachcic spod Pyzdr zeznał w 1703 r.: „Wywróciłem ją, dałem jej w pysk [...]”. Inna broniła się zrazu. Jam ją na gnój wywrócił, parobek na to patrzył”.

Żyli w coraz gorszych warunkach – w kurnych chatach, jedząc coraz gorzej i często głodując, rozpijani w karczmach należących do właścicieli posiadłości.

Unikanie pracy, niszczenie folwarcznych narzędzi, kradzieże z pól i spi-

chrzów – oto dostępne formy oporu. Odwetu niewolnika. Ten m.in. ślad czterowiekowej pańszczyzny u jednych,

ale też snobistycznego poczucia wyższości bez pokrycia u drugich, można było ujrzeć długo po zaniku gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej. Zdaniem autora, można i dziś, w III RP. ©©

KAMIL JANICKI
„PAŃSZCZYŻNA.
PRAWDZIWA
HISTORIA
POLSKIEGO
NIEWOLNICTWA”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Maciej Rosalak

Życie „Motyla”, czyli Ścibora-Rylskiego

Od tej książki trudno się oderwać. A sprawia to nie tylko barwny wojenny życiorys Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, lecz także talent narracyjny autora. Znakomicie rysuje on sylwetkę bohatera książki, a także plastycznie oddaje realia wojny, powstania i okupacji niemieckiej. W swoją opowieść wplata wspomnienia „Motyla”. I choć Ścibor-Rylski walczył w Powstaniu Warszawskim, był prezesem organizacji zrzeszającej jej kombatantów, to książka mówi także o jego wrześniejszej odysei, a Ścibor-Rylski był żołnierzem słynnej SGO „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Później, przez dość niezwy-

kły przypadek, trafił na Wołyń w czasie rzezi dokonywanej przez UPA na Polakach, był oficerem 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Na krótko przed powstaniem wrócił do Warszawy.

Autor i jego bohater dają nieupiększony obraz walk: 5 sierpnia na Woli pluton dowodzony przez „Motyla” stracił połowę żołnierzy. Po latach Ścibor-Rylski nie wahał się powiedzieć, że powstanie przyniosło wielkie cierpienia ludności cywilnej. Autor nie omija kontrowersyjnej sprawy współpracy Ścibora-Rylskiego z UB i SB, który tłumaczył, że podjął ją, by chronić ludzi zagrożonych

aresztowaniem. Sebastian Pawlina stwierdza, że trudno o znalezienie materiałów, z których wynikałoby, iż Ścibor-Rylski komukolwiek i w czymkolwiek zaszkodził. ©© (t.s.)



SEBASTIAN PAWLINA
„MOTYL. ŚCIBOR-RYLSKI.
101 LAT DLA POLSKI, CZYLI
OPOWIEŚĆ O GENERALE”

ZNAK HORYZONT

Krwawy ślad UPA

Rzadko kiedy polski czytelnik ma okazję zapoznać się ze spisowanymi niemal na gorąco dziennikami bojowymi partyzanckich oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii. Okazję, by się z tego rodzaju historycznym źródłem zapoznać, stworzyło wydawnictwo Libra, publikując wraz ze wstępem, notą edyorską i posłowiem dr. Mariusza Sawy, kronikę sotni UPA „Wowky” (Wilki). Dokument przedstawia działania prowadzone przez ten oddział w okresie od 24 sierpnia 1944 r. do 11 lipca 1945 r. Zapisów w kronice dokonywał posiadający średnie wykształcenie były pracownik UDK (Ukraiński Komitet Pomocowy) w Hrubieszowie, potem partyzant UPA, a od 15 września 1944 r. kompanijny pisarz Iwan Sywak „Bosfor”, poległy w boju z NKWD 26 lutego 1946 r. pod miejscowością Liski.

Sotnia „Wowky” powstała w marcu 1944 r. podczas trwającej na Lubelszczyźnie brutalnej wojny partyzanckiej toczzonej pomiędzy siłami AK a UPA. W jej trakcie obie strony nie przebierały w środkach, dopuszczając się masowych zbrodni na ludności cywilnej, choć wypada wspomnieć, że akcje te zainicjowało na tym terenie polskie podziemie, rozpoczynając tzw. rewolucję hrubieszowską. Dowódcą oddziału był chorąży, dezerters z 5. Pułku Policyjnego SS-Galizien, awansowany pośmiertnie do stopnia majora, Marian Łukaszewycz „Jehoda”, „Czerny” (według innej wersji Łukaszewycz pełnił służbę w jednym z ukraińskich Schutzmannschaftów), późniejszy komendant Odcinka Taktycznego „Danyliw”, który zginął 9 września 1945 r. w Żniatynie w walce jednostkami (L)WP (udusił się w bunkrze znajdującym się pod podpalonym budynkiem). Po nim sotnią, przekształconą następnie w kureń, dowodzili Anatol Sydoruk „Jastrub”, Pawło Pyłypczuk „Karpo”, Mychajło Ulchurskyj „Bojan”, Mychajło Kuras „Krapka”, Wasyl Kołtoniuk „Kropywa”. „Wowky” były pierwszym oddziałem UPA

na Chełmszczyźnie, powstałym na bazie kilku bojówek UNS.

W kronice sotni UPA odnajdziemy szereg operacji partyzanckich skierowanych przeciwko Sowietaom, ich polskim komunistycznym poplecznikom oraz polskiej ludności cywilnej. Do największych, jeśli chodzi o liczbę ofiar, należała akcja dokonana 11 marca 1945 r. w zamieszkałej przez ludność ukraińską wsi Machnowek. Powodem jej przeprowadzenia był fakt służby znaczącej części mieszkańców w Istriebitelnych Batalionach. Upowcy wkroczyli do wsi, podając się za Sowietaom, i zabili 76 członków tej formacji, ich krewnych oraz zwolenników władz komunistycznych. Inną akcją był napad przeprowadzony 25 marca 1945 r. na posterunek Milicji Obywatelskiej w Kryłowie. Tam również banderowcy dowodzeni przez Hryhoryja Rudenkę „Suszkę” zastosowali podstęp i udając żołnierzy NKWD konwojujących rzekomo aresztowanego, a znanego Polakom członka UPA Petro Marcycha „Pietę”, rozbroili milicjantów. Wszystkich dziewięciu ujętych funkcjonariuszy oraz 49 polskich cywili rozstrzelano. Śmierć wówczas poniósł znany z czasów okupacji niemieckiej dowódca BCh-owskiej partyzantki, odpowiedzialny za wiele zbrodni popełnionych na ukraińskiej ludności cywilnej Stanisław Basaj „Ryś” będący w owym czasie współpracownikiem komunistycznych organów bezpieczeństwa.

Nieznane są natomiast powody braku zapisów w kronice na temat mordów, których dopuściła się sotnia „Wowky” na Polakach wiosną 1945 r. Do tych tragicznych wydarzeń doszło w okolicach wsi Radków, Łachowiec i Rzeplin. To właśnie tam 18 maja 1945 r., kilka dni przed podpisanym 21 maja w przysiółku Żar koło Lublińca Starego porozumieniem pomiędzy DSZ a UPA, upowcy dowodzeni przez st. buławnego „Krapkę” zatrzymali, a następnie zamordowali 32 Polaków. ©©

Arkadiusz Karbowiak



IWAN SYWAK
„ŚLADEM UPA. KRONIKA SOTNI UKRAIŃSKIEJ
POWSTAŃCZEJ ARMII »WOWKY« (24 SIERPNIA
1944-11 LIPCA 1945)”

WYDAWNICTWO LIBRA

HISTORYCZNE BITWY

Saragossa

Autor przedstawia obydwa oblężenia Saragossy przez wojska napoleońskie: od końca czerwca do połowy sierpnia 1808 r. oraz od końca listopada 1808 do stycznia 1809 r. Skutkiem obydwu były liczne ofiary w zabitych i rannych oraz potworne cierpienia pozostałych. I latem, i zimą walczyły tu jednostki złożone również z Polaków: trzypułkowa Legia Nadwiślańska pod dowództwem Józefa Chłopińskiego oraz pułk lansjerów Jana Konopki. Łącznie ok. 6 tys. żołnierzy – spory wkład w pokonanie męźnych Aragończyków charyzmatycznego Jose Palafox. Hiszpanie nazywali lansjerów z przerwaniem „los infernos picadores”. Rodaków na żołędzie Napoleona dowódcy francuscy nie oszczędzali, jak zresztą nigdy nie oszczędza się cudzoziemskich najemników. Grozę zdobywania Saragossy wiernie oddał w „Popiołach” Żeromski. Wspomnienia, które znajdujemy u Mazowskiego, potwierdzają, że był to koszmar, już u uczestników rodzący wątpliwości, czy istotnie służyć niepodległości Polski i czy przynosić chwałę polskiemu orężowi czy wstyd z łamania wolności innego narodu, który niczym nam nie zawinił?

Naród ów zawinił tylko Napoleoniowi, nie akceptując posadzenia przezeń na hiszpańskim tronie własnego, nieudolnego braciszka Józefa, a perfidnie pozbawiając tronu dwóch Burbonów. Miało to ocalić posiadłości hiszpańskie przed Anglikami, w praktyce okazało się ogromną pomyłką, zgubną dla cesarza Francuzów. „Utracił dalekowzroczność, którą odznaczał się w młodości” – pisze autor. Przyczyny, przebieg i skutki całej hiszpańskiej awantury uzasadniają jego ocenę. ©©

Maciej Rosalak



KRZYSZTOF MAZOWSKI
„SARAGOSSA 1808-1809”
(CYKL „HISTORYCZNE
BITWY”)

BELLONA

Geopolityka / Kto skolonizuje Księżyc?

Wojna o kosmos



Jacek Bartosiak

Wielkie mocarstwa będą walczyć nie tylko o dominację na Ziemi. Rozpoczyna się właśnie rywalizacja o przestrzeń kosmiczną

W czasie zimnej wojny wykształciły się dwa strategiczne obszary w przestrzeni okołoziemskiej: pierwszym były niskie orbity Ziemi, gdzie satelity orbitują planetę z bardzo dużą prędkością względem Ziemi, drugim obszarem była orbita geostacjonarna, gdzie satelity pozostają statyczne względem danego punktu na Ziemi.

Do dnia dzisiejszego nie było jakiegokolwiek bitwy o te obszary. To się jednak zmieni w przyszłości. Jakikolwiek atak na satelity na niskiej lub geostacjonarnej orbicie uczyni stronę zaatakowaną „ślepą” na lot rakiet i na ich odpalenie. Co więcej, taki atak, który „oślepi” w ten sposób system przeciwnika, zostanie potraktowany zapewne jako wstęp do wojny. „Oślepienia” strona może być skłonna do uruchomienia procedury ataku uprzedzającego w obawie przed pełnym „oślepieniem”, a tym samym utratą zdolności do prowadzenia wojny. W myśl zasady: ruszaj do wojny, bo inaczej zostaniesz pobity, zanim się zorientujesz. To uruchamia prawdziwy dylemat bezpieczeństwa w kaskadowym następstwie zdarzeń i kalkulacji obu stron.

W ten sposób powstał swoisty paradoks w czasie zimnej wojny. Satelity umieszczone na orbitach miały wykrywać atak przeciwnika lub zmianę lokalizacji systemów raketowych, co powodo-

wało podejrzenia co do nadciągającego ataku. Jako że żadna ze stron nie była w istocie gotowa na wojnę nuklearną, nie była też gotowa na niszczenia satelitów należących do przeciwnika. Zamiast zatem przyczyniać się do wzniesienia wojny, umieszczone w przestrzeni kosmicznej systemy rozpoznawcze i różnego rodzaju satelity zapobiegały w praktyce wojnie.

Zachodzi bardzo szczególna łączność pomiędzy bronią nuklearną a bezmiałem przestrzeni kosmicznej i zasadami

funkcjonowania poza atmosferą Ziemi. Ta łączność nie jest oczywista. Różnego rodzaju uzbrojenia często w historii zapobiegały wojnie, zamiast ją wywoływać. Dzięki przestrzeni kosmicznej nie pojawiła się sytuacja, w której jedna strona mogłaby pokonać drugą. Było raczej tak, że każda ze stron miała możliwość doprowadzenia do wyciszenia dylematu bezpieczeństwa i stabilizacji równowagi strategicznej. Trudno znaleźć przykład, że wraz z wejściem w nową



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI



**JACEK BARTOSIAK,
GEORGE FRIEDMAN
„WOJNA W KOSMOSIE.
PRZEWRÓT W GEOPOLITYCE”**

ZONA ZERO

zaawansowaną technicznie walkę na Ziemi opartą na dominacji informacyjnej na polu bitwy.

W czasach, gdy punktem ciężkości wojny są węzły i centra systemów dowodzenia oraz komunikacji, przestrzeń kosmiczna stała się miejscem kluczowym, zwornikiem czy też piwotem, tj. głównym zawiasem umożliwiającym nowoczesną wojnę na Ziemi. Wojna z użyciem precyzyjnych środków rozpoznania i rażenia potrzebuje obecnie po prostu przestrzeni kosmicznej. Kogo tam nie ma, ten się nie liczy.

Początkowo wojna w kosmosie była nie do pomyślenia w sytuacji, gdy systemy kosmiczne stały się przede wszystkim niezbędne do kalkulacji związanych z groźbą wojny nuklearnej. Kiedy jednak groźba globalnej wymiany nuklearnej zmalała, użyteczność przestrzeni kosmicznej i systemów umieszczonych w kosmosie stała się jasna i klarowna. Wcześniej nie mogły być w pełni wykorzystywane, gdy stawką było zniszczenie całej cywilizacji. Stały się możliwe do użycia, gdy chodzi o tradycyjne wojny mające na celu złamanie woli lub zdolności do dalszego prowadzenia wojny czy odpierania ataków, których celem jest zniszczenie całego kraju. Przestrzeń kosmiczna w ten sposób używana jest na razie przede wszystkim medium dostarczającym informacji do systemów broni oraz dowódcom wojskowym i przywódcom politycznym podejmującym kluczowe decyzje.

Z czasem ta nowa domena będzie wykorzystana jako miejsce bezpośredniego użycia broni zarówno kinetycznej, jak i nowej broni działającej z prędkością światła. W ten sposób przestrzeni kosmicznej zostały przywrócone atrybuty domeny użytecznej w wojnie konwencjonalnej, choć bardzo zaawansowanej i ultranowoczesnej, ale jednak wojnie.

Nowe rodzaje broni i systemy orbitujące w przestrzeni kosmicznej umożliwiają precyzyjną na ziemskim polu bitwy. Jakkolwiek to brzmi, sprawiają one, że okrucieństwo i zaciekłość wojen znanych z XX-wiecznych pól bitewnych na Ziemi, z kulminacją mordowania

i niszczenia w szczytowym okresie drugiej wojny światowej, mogą przejść do historii.

Ostatnia bowiem wojna światowa prowadzona była za pomocą nieprecyzyjnych i bardzo niedokładnych w działaniu rodzajów broni mających za zadanie niszczyć. Im więcej ulegało zniszczeniu, tym lepiej. Karabiny, moździerze, bombowce – one wszystkie stosowały pociski w istocie balistyczne. Raz wystrzelone lub zrzucone – a ich trajektoria była z góry określona zasadami fizyki – były mało celne, a ich brak celności był kompensowany wielką liczbą żołnierzy, dział i bombowców. Potrzebne były ogromne masy uzbrojenia, w tym celu całe miasta i liczne fabryki zajmowały się produkcją wyposażenia wojennego i materiałów wojennych. Druga wojna światowa rozgrywała się dosłownie w fabrykach. To czyniło je priorytetowymi celami ataków. Samoloty miały za zadanie niszczyć zakłady produkcyjne, gdzie się tylko dało i za pomocą niemal dowolnych metod.

Z powodu małej celności ówczesnego uzbrojenia, aby zniszczyć jedną ważną fabrykę, często niszczone całe miasta, nierzadko wraz z jego mieszkańcami. To było swoiste *reductio ad absurdum* wojny i jej podstawowego celu. Ten sposób prowadzenia wojny był nie do utrzymania w dłuższej perspektywie.

Oczywiście ludzono się, że z powodu takiego charakteru wojny konflikty zbrojne zostaną skutecznie wyeliminowane. Opracowanie i rozwój broni nuklearnej umocnił tę nadzieję, zważywszy że broń nuklearna jeszcze skuteczniej niszczy miasta i ich ludność niż bombowce strategiczne w konwencjonalnych nalotach dywanowych. Niestety, wojna jest wpisana w ludzką naturę. Uzbrojenie nowej generacji jest nieporównanie bardziej precyzyjne. Precyzja ogranicza stopień koniecznego do zwycięstwa zniszczenia, ale jednocześnie czyni wojnę bardziej prawdopodobną i łatwiejszą do zaryzykowania – co przypomina przedrewolucyjne wojny gabinetowe. Tym samym staje się bardziej dopuszczalna. Horror wojny wciąż przeraża, ale do pewnego stopnia został oswojony, jeśli porównamy nowe metody wojowania z przerażającą skalą zniszczeń dokonanych podczas wojen światowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ciąg dalszy tekstu w kolejnym numerze „Historii Do Rzeczy”.

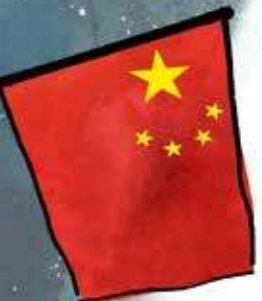
domenę wojny cokolwiek w historii miałyby podobny w skali (możliwej dzięki przestrzeni kosmicznej) stabilizujący efekt. Wejście Portugalii i Hiszpanii na Atlantyk w domenę oceanu światowego doprowadziło do wojen trwających całe pokolenia i stulecia. To samo było z wejściem do domeny powietrznej, co zbiegło się z wojnami światowymi i zimną wojną.

Tymczasem w drugiej połowie XX w. do wojny światowej jednak nie doszło i to pomimo wej-

ścia w nową domenę kosmiczną i posiadania przez supermocarstwa straszliwej broni nuklearnej.

W dużej mierze stało się tak dlatego, że systemy umieszczone w kosmosie stabilizowały sytuację strategiczną. Pod warunkiem oczywiście posiadania takich systemów – a zatem stabilizowały one sytuację pomiędzy mocarstwami ze zdolnościami kosmicznymi.

Wraz z osiągnięciem takiej sytuacji niebezpieczeństwo wojny nuklearnej znacząco zmalało. Wojny prowadzone na całkowite zniszczenie są dość niepraktyczne w sytuacji, gdy przeciwnik posiada broń nuklearną. W ślad za tym rozumowaniem z czasem pojawiały się nowe rodzaje broni, które są mniej apokaliptyczne, ale służą tradycyjnemu celowi wojny – zniszczyć zdolność wroga do dalszego prowadzenia wojny. Te nowe rodzaje broni nie mogłyby zaistnieć bez systemów umieszczonych w przestrzeni kosmicznej. Hipersoniczne rakiety przeciwookrętowe, które – aby być skuteczne – wymagają odbierania danych pochodzących z systemów z przestrzeni kosmicznej do lokalizacji np. wrogiego okrętu w ruchu, potrzebują też sygnału GPS, Galileo, Glonass lub Beidou do nawigacji komunikacyjnej. Przestrzeń kosmiczna nagle okazała się głównym miejscem, dzięki któremu w ogóle może funkcjonować infrastruktura komunikacyjna umożliwiająca jakąkolwiek





**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Targowisko krzywd

Przepisywanie na nowo, pod dyktando ruchu Black Lives Matter, historii Stanów Zjednoczonych ustawia w jej centrum niewolnictwo. W szerszym kontekście – niewolnictwo staje się w ogóle centralnym punktem historii cywilizacji europejskiej. Czarnoskóra ludność współczesnych państw Zachodu upomina się w ten sposób o swoje na popkulturowym i politycznym targowisku, kto bardziej został w dziejach skrzywdzony, zatem więcej mu się obecnie należy – zresztą we własnym przekonaniu nie dość skutecznie, bo zdaniem czarnych zbrodnie na nich dokonane nie miały sobie w dziejach równych, i nie są należycie doceniane.

Oczywiście „niewolnictwo” nie dotyczy tu niewolnictwa nikogo innego niż będących przez kilka stuleci przedmiotem handlu Afrykanów. Nie mówimy o starożytności (podobieństwo słów „niewolnik” i „Słowianin” we wszystkich zachodnich

trzeba tę liczbę wielokrotnie zmniejszyć) – to jak biali handlarze, których liczbę, jak zresztą i rozmiary używanych statków, znamy dość dokładnie z zachowanych rejestrów morskich, byli w stanie fizycznie taką rzeszę wyłapać? Ba, jak mogli to zrobić, skoro wiemy skądinąd, że do wieku XIX biały człowiek praktycznie nie zapuszczał się w afrykański interior?

W istocie proceder przypominał XIX-wieczne wielkie przepędy bytła w USA, z tą różnicą, że stada bytła przepędzali amerykańscy kowboje z północy na południe dwa razy w roku, a czarnych niewolników z centrum kontynentu na wybrzeże dostarczano nieustannie. Kto to robił?

Oczywiście, także czarni. Po pierwsze, wyłapywali w tym celu i zakuwali w pęta członków innych plemion, których bynajmniej nie uważali za rodaków ani nawet za ludzi. Po drugie, sprzedawali swych poddanych czarni władcy, których imiona

**/ Narracja BLM daje się
obronić dopóty, dopóki
opowiadamy sobie prostą
bajeczkę o tym, że „biały
człowiek zły, czarny
człowiek dobry”**

językach znikąd się nie wzięło) ani o aprobachie niewolnictwa, właściwie do dziś, w kulturze mużulmańskiej. Chodzi tylko o te mniej więcej dwa stulecia, odkąd pewien sprytny Anglik pokazał, że wymieniając rum z Karaibów na niewolników z Afryki, a potem znowu na Karaibach niewolników na rum osiąga się kilkunastokrotne „przebicie” nawet wtedy, kiedy w trakcie rejsu połowa czarnego „towaru” pada i trzeba wyrzucić ją za burtę.

Problem w tym, że narracja „à la manière BLM” daje się obronić dopóty, dopóki opowiadamy sobie prostą bajeczkę o tym, że „biały człowiek zły, czarny człowiek dobry”. Bliższe przyjrzenie się faktom pokazuje, że sprawa była bardziej skomplikowana. Dłatego zadawanie pytań stało się bardzo politycznie niepoprawne.

Jeśli, jak twierdzą czarni liderzy, w ciągu 200 lat wywieziono z Afryki 20–25 mln niewolników (oczywista bzdura, realnie

i nazwy królestw, niezapisane, zginęły w pomroce dziejów. Afrykańscy kacykowie, przy pomocy arabskich handlarzy, budowali na wtrącaniu w niewolę i sprzedawaniu sąsiadów lokalne potęgi, dokładnie tak samo, jak nasi Piastowie, opychający słowiańską ludność handlarzom. Między innymi niejakiemu Ibrahimowi Ibn Jakubowi z hiszpańskiej Tortosy, który – przy okazji parając się szpiegostwem – zostawił o nich pierwsze literackie świadectwo. Tyle tylko że władztwo Piastów przetrwało dłużej.

Czy ten niepoprawny politycznie fakt, że biali byli jedynie odbiorcami towaru ofiarowanego im przez afrykańskich kacyków, ma zdejmować winę z kogokolwiek? Nie. Podobnie, jak nie usprawiedliwia handlu niewolnikami fakt, że to biali w metropolii walczyli o zakazanie procedury i jego karanie, w czym w końcu odnieśli sukces. Po prostu historia jest zawsze bardziej skomplikowana, niż chcieliby doktrynerzy. ©©



Piotr Semka

Na polach bitwy pod Chludem panuje niezdolny upał. Chlum? A co to za nazwa? – spyta ktoś. Istotnie, historycy polscy nazywają rozegraną tu 3 lipca 1866 r. walkę Austriaków z Prusakami bitwą pod Sadową. Niemcy wolą określenie bitwa pod Königsgratz, czyli pod Hradec Králové. Różnice w terminologii są zrozumiałe. Bitwa toczyła się równolegle na ogromnej przestrzeni wokół stolicy wschodnich Czech. Pomniki ku czci poszczególnych austriackich jednostek rozsiane są co parę kilometrów. Aby wszystkie zwiedzić, trzeba by całego dnia. Ja wybieram Chlum – miejscowość, w której otwarto muzeum bitwy i gdzie uhonorowano pomnikiem miejsce słynnej „baterii martwych”. Tak nazwano wybitą do nogi jednostkę artylerii austriackiej pod wodzą kpt. Augusta van der Groebena. Przypominam sobie wstrząsający obraz Václava Sochora

Teraz na niegdysiejszych polach śmierci jest pusto i skwarno. Błonie między Sadową a Chludem zaroją się zapewne za rok, gdy przypadnie okrągła 150. rocznica bitwy.

Do granicy w Kudowie są stąd tylko 63 km, ale – jak mówią mi w muzeum – Polacy dość rzadko tu trafiają. Tak, to nie była nasza bitwa, ale po obu stronach walczyły tysiące Polaków.

Austriackie oddziały straciły 5,7 tys. żołnierzy, 7,5 tys. uznano za zaginionych, 7,5 tys. było rannych, a 22 tys. Prusacy wzięli do niewoli. Król pruski Wilhelm I mógł odnotować nieporównanie mniejsze straty – tylko 2 tys. żołnierzy, 300 zaginionych i 7 tys. rannych.

Ilu było wśród nich Polaków? Nie dowiemy się nigdy. Na listach strat ani po pruskiej, ani po austriackiej stronie nie odnotowywano narodowości. Tylko w lesie Svib odnajduję pomnik ku czci 30. Batalionu Strzelców Pieszych z naszej galicyjskiej Wieliczki. Tu poległ co drugi żołnierz. Ze wzruszeniem

/ Felieton

Sadowa

– bitwa nasza i nie nasza

w wiedeńskim muzeum wojska. 54 martwych żołnierzy Groebena, którzy od strzałów pruskich snajperów kolejno padają martwi na swoje działa, podczas gdy jeszcze żywi ratują ogniem armat odwrót reszty armii.

Była to pod względem liczebności wojsk druga, po lipskiej bitwie narodów, bitwa XIX w. w Europie. 220 tys. żołnierzy armii austriackiej próbowało zagrozić drogę 215 tys. wojsk pruskich. Zwyciężyły Prusy dzięki szybkiemu przerzutowi wojsk kolejną i dzięki karabinom systemu Dreyse'a, które dawały się ładować szybciej od austriackich flint.

odczytuję archaicznie brzmiącą inskrypcję po polsku:

„[C[esarski] i K[rólewski] 30. batalion strzelców swoim upadłym towarzyszom”.

Czy polska ambasada w Pradze opiekuje się tym monumentem?

W muzealnym katalogu znajduję wyraziste deklaracje, że Czesi dobrze zrobili, walcząc wtedy pod wodzą Franciszka Józefa z Prusakami. Bronili habsburskiego modelu monarchii, która nie była antysłowiańska. W odróżnieniu od Prus, które rychło wpadną w germanizacyjny amok. Mają rację ci, którzy zachęcają, by jeździć na pola bitew, aby wczuć się w ich dzieje. Wzruszyła mnie pieczołowitość, z jaką habsburscy urzędnicy uczcili wieloma pomnikami poległych bohaterów bitwy. Parę lat temu wszystkie pomniki, w tym i ten ku czci naszych strzelców z Wieliczki, odrestaurowano na koszt czeskiego ministerstwa obrony. Dziękujemy wam, bracia Czeši. ©©

Parę lat temu wszystkie pomniki, w tym i ten ku czci naszych strzelców z Wieliczki, odrestaurowano na koszt czeskiego ministerstwa obrony



Tomasz Stańczyk

**/ Garstce inteligencji,
która pozostała
w Związku Sowieckim
po drugiej wojnie,
zawdzięczamy
przetrwanie polskości
na dawnych kresach,
na Łotwie,
w Kazachstanie i Rosji**

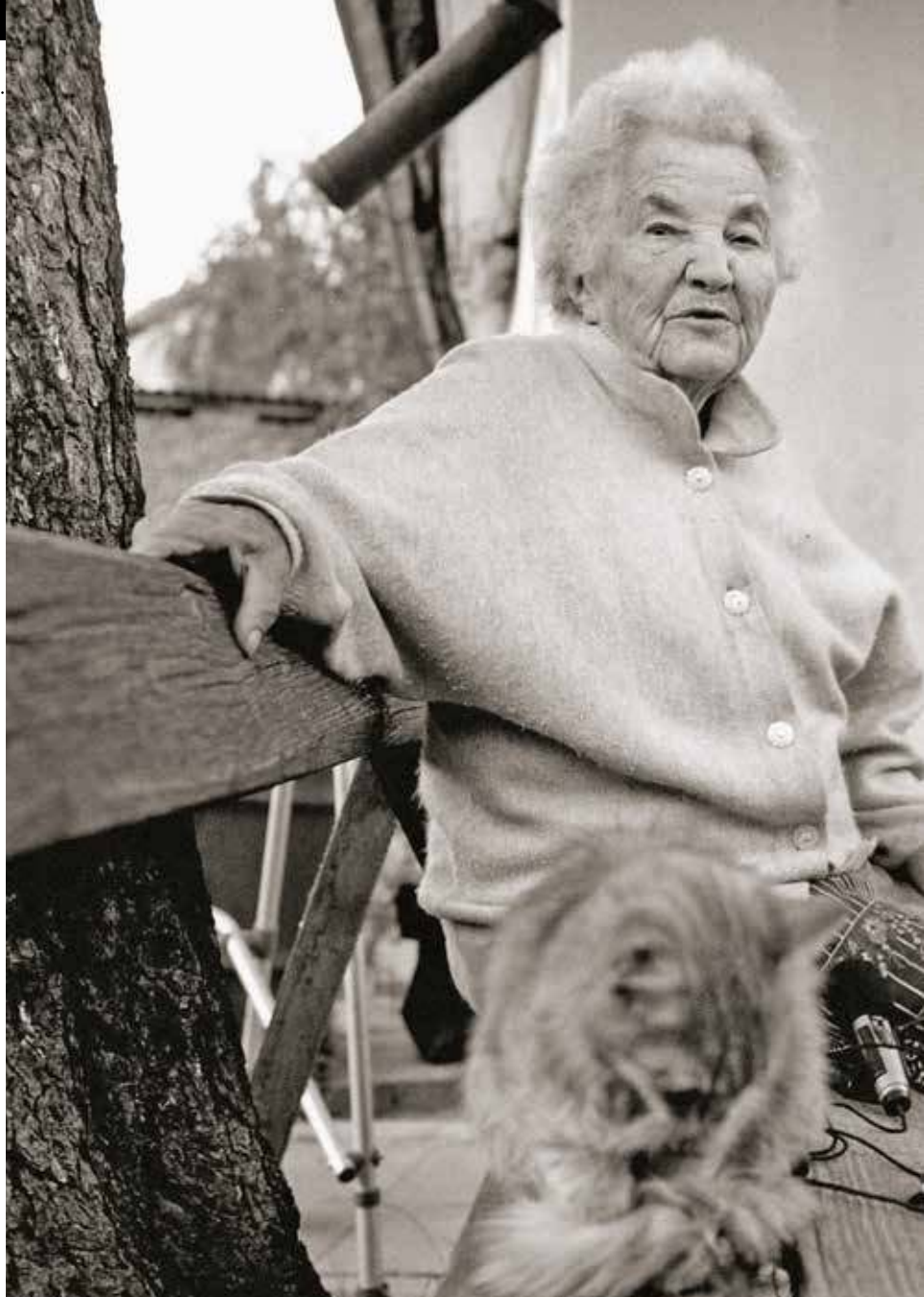
Wyjechać czy zostać?
Przed takim dy-
lematem stanęli
Polacy mieszkający na
Kresach Wschodnich
II Rzeczypospolitej,

gdy dowiedzieli się w lutym 1945 r. o dyktacie jałtańskim, odcinającym ich od Polski. Dla niektórych były to decyzje oczywiste, choć bolesne. Nie chcieli mieszkać w Związku Sowieckim, woleli opuścić swoje domy. Na innych, szczególnie na Ukrainie i w Wilnie, naciskano, by wyjechali. Ale też niekiedy wywierano presję, żeby zostali. Tak było na Wileńszczyźnie. Gdyby polska ludność zamieszkała na wsi gremialnie przeniosła się w nowe granice Polski, to sowieckiej Litwie groziłaby zapaść w rolnictwie.

Na decyzję opuszczenia kresów południowo-wschodnich wpływały też strasne przeżycia spowodowane masowymi mordami dokonywanymi przez UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. A ponieważ nadzieja umiera ostatnia, wielu z tych, którzy wsiedli do pociągów „repatriacyjnych”, liczyło, że powojenna Polska nie będzie jednak komunistyczna.

Jeśli decyzje Polaków, którzy faktycznie musieli porzucić swoją ojcowiznę, swoje domy – można ich nazwać wypędzonymi – były dramatyczne, to decyzje o pozostaniu trzeba nazwać wręcz heroicznymi. Odmawiający wzięcia kart „repatriacyjnych” pamiętali terror pierwszej sowieckiej okupacji, wiedzieli, że zostaną poddani potwornej presji mającej na celu sowietyzację i ateizację Polaków.

Motywy pozostania były różne. Wiele starszych osób nie było w stanie porzucić

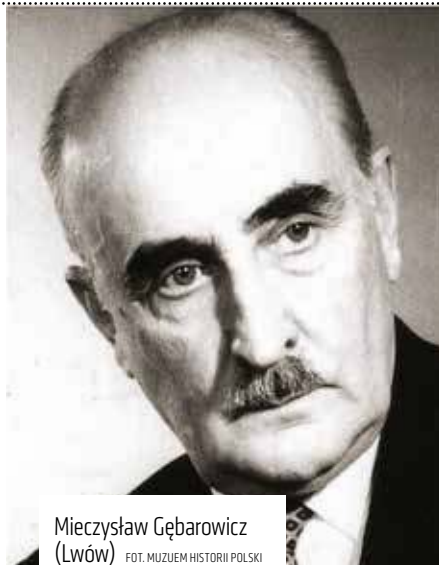


1944–1945 / Związek Sowiecki

Strażnicy polskości



Irena Sandecka
(Krzemieniec) FOT. OŚRODEK KARTA



Mieczysław Gębarowicz
(Lwów) FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI



Idalia Żyłowska (Wilno)

FOT. TYGODNIK LT

cją Adama Hlebowicza. Choć większość biogramów dotyczy ludzi zamieszkałych przed wojną w Polsce, to są także biogramy osób żyjących po 1945 r. w sowieckiej Łotwie, Rosji i Kazachstanie. Nie są to jedynie Polacy, lecz także Żydzi, Litwini i Ormianie.

Książka przywraca należną im pamięć i zarazem stanowi rodzaj hołdu. Bez tych ludzi polskość dotrwałaby do końca Związku Radzieckiego w znacznie uszczuplonym, a być może nawet w szczątkowym stanie.

Los księży

Spośród 64 not biograficznych co trzecia zawiera życiorysy księży katolickich. To właśnie oni byli grupą najbardziej represjonowaną wśród polskiej inteligencji. Działo się tak szczególnie na sowieckiej Białorusi. Tylko dwaj księża z szesnastu pracujących na sowieckiej Białorusi, o których mówi książka, uniknęli wysłania do łagru. Formalną podstawą do skazania na uwięzienie w obozach – a zapadały najczęściej wyroki 10 i 25 lat pozbawienia wolności – była „antysowiecka agitacja”. Rozumiano w istocie pod tym określeniem samą posługę kapłańską, szerzenie i bronienie wiary oraz polskości. W sowieckiej nomenklaturze prawnej nazywało się to „wykorzystaniem religijnych i narodowych przesądów ludności”.

Były też i inne zachowania, które uznawano za „antysowiecką agitację”. Ksiądz Antoni Kuryłłowicz trafił do łagru w 1946 r. Powiedział bowiem, że bojkotuje wybory, gdyż władza sowiecka nie pozwoliła na otwarcie kościołów. Ksiądz

Władysław Mączka oświadczył: „My, księża, jesteśmy Polakami, nasza ojczyzna to Polska, kochamy ją i mamy do niej sentyment”. Został skazany początkowo na 10 lat łagrów, a wśród zarzutów było i to, że w 1943 r. powiedział, iż zbrodni katyńskiej dokonali Sowietci. Później wyrok podwyższono do 25 lat pozbawienia wolności. Ksiądz Bolesław Krasodomski oskarżono o to, że nie poinformował (czyli nie doniósł) o kontaktach z członkami „terband grupy”, czyli „bandy terrorystycznej” por. Anatola Radziwnika „Olecha”, słynnego partyzanta, kresowego Żołnierza Wyklętego. Ksiądz był jego znajomym. Skazany został na 10 lat łagrów.

Śmierć Stalina i „odwilż” spowodowały, że księża nie odsiedzieli w całości swych długoletnich najczęściej wyroków. Wrócili, choć nie zawsze, do swoich opuszczonych parafii. Zabrakło ks. Jana Morozę, proboszcza z Różanki w obwodzie grodzieńskim. Skazany na 25 lat łagrów, zmarł w 1952 r. w obozie.

W 1954 r. przyjechał z łagrów do Słucka ks. Antoni Kuryłłowicz. Aż przez 15 lat był jedynym duszpasterzem Polaków i Białorusinów we wschodniej części sowieckiej Białorusi. Często go zatrzymywano oraz wydalano z miejscowości, do których przyjeżdżał z posługą kapłańską. Czasami docierał do miejsc, w których od 30 lat nie widziano kapłana. Adam Hlebowicz, autor noty biograficznej księdza, stwierdza, że nie został on uwięziony tylko dlatego, że był człowiekiem odważnym i znał znakomicie sowieckie prawo. Dodaje też, że władze chciały się go pozbyć ze wschodniej Białorusi, proponując mu parafię na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. ■

miejsc i krajobrazów, w których spędziło większość życia, i rozpoczynać życia na nowo. Część młodych ludzi została, nie chcąc opuszczać swoich rodziców. Byli też tacy, którzy wbrew wszystkiemu łudzili się, że za rok, dwa nastąpi odmiana losu i znów będą mieszkać w Polsce.

Prawie przez pół wieku polskość na dawnych ziemiach II Rzeczypospolitej mimo represji i ograniczeń trwała, a w dużej mierze stało się to dzięki nielicznej inteligencji, która pozostała. Dlatego też nie można przejść obojętnie wobec książki, która opowiada o losach tych ludzi. To publikacja IPN „Zostali na Wschodzie. Słownik inteligencji polskiej w ZSRS w latach 1945–1991” pod redak-



Kardynał Kazimierz Świątek podczas uroczystości koronacji obrazu Matki Boskiej Kongregackiej w Grodnie. FOT. PAP/ JULIA DARASHKEVICH

■ Ksiądz Kuryłowicz odrzucił jednak tę propozycję, gdyż gdyby ją przyjął, wierni zostaliby bez jakiegokolwiek opieki duszpasterskiej. Księdzu Kazimierzowi Radziszewskiemu odbierano czasowo uprawnienia do prowadzenia pracy duszpasterskiej. Sowietów doprowadzały do furii jego jasne deklaracje, takie jak ta:

„Kościół to siła, przeciwko której nikt nie da rady, nasi ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie byli katolikami i my powinniśmy żyć ich wiarą i przekonaniem. Nigdy nie zapominajcie, że jesteście katolikami, bądźcie z tego dumni. Być katolikiem to największe osiągnięcie duchowe człowieka”.

Ksiądz Stanisław Rojek wspominał, że pewnego dnia w 1963 r. zauważył przy kościele czerwony sztandar i tablicę z napisem: „Tu spoczywają zwłoki ks. Stanisława Rojka”. Miała to być ponura przepowiednia: ksiądz przeżył później dwa zamachy na swoje życie.

Do księży łagierników należał Kazimierz Świątek. Uwięziony za pierwszej okupacji sowieckiej czekał w Brześciu na wykonanie wyroku śmierci, nie doszło do tego z powodu wybuchu wojny między ZSRR a Niemcami. Jednak już w 1944 r. został aresztowany w swojej parafii w Prużanie. W łagrach spędził 10 lat, a następnie przez 26 lat był proboszczem katedry w Pińsku, którą odnowił.

„Wielką czią otaczał grób spoczywającego w katedrze bp. Zygmunta Łozińskiego, którego trumnę w tajemnicy przed władzami przeniósł w styczniu 1979 r. w bardziej bezpieczne, a zarazem eksponowane miejsce”. Przypomnijmy, że bp Łoziński był więziony w latach 1919–1920 przez bolszewików, uwolniono go na skutek starań polskiego rządu. W 1991 r. ks. Świątek został arcybiskupem diecezji mińsko-mohylewskiej oraz

administratorem apostolskim diecezji pińskiej. Trzy lata później Jan Paweł II mianował go kardynałem.

Do upadku Związku Sowieckiego także i na Ukrainie (jak w całym Związku Sowieckim) nie działały struktury Kościoła. Jedynym tajnym hierarchą na tym ogromnym terenie był ks. Jan Cieński, wyświęcony na biskupa w 1967 r. przez kard. Stefana Wyszyńskiego, przez 54 lata proboszcz w Złoczowie. Niezwykłą postacią był Henryk Mossing, wybitny naukowiec, współpracownik prof. Rudolfa Weigla, odkrywcy szczepionki przeciwtyfusowej. W bardzo dojrzałym wieku został w Polsce, także potajemnie, wyświęcony na księdza, po czym wrócił do Lwowa, gdzie prowadził tajne spotkania formacyjne kandydatów do kapłaństwa. Bolesław Mirecki w młodości walczył w obronie Lwowa, był jednym z nielicznych ocalałych z boju pod Zadwórzem, nazwanym „polskimi Termopilami”. Ale nie tylko z tego powodu ks. Mirecki był osobą wyjątkową. W 1958 r. na 15 lat został pozbawiony prawa sprawowania posługi kapłańskiej. Żaden inny ksiądz na sowieckiej Ukrainie nie został ukarany tak drastycznie.

Nauczycielki i uczeni

Wybitnie zasłużyła się dla przetrwania polskości na Wołyniu za czasów sowieckich Irena Sandecka, nauczycielka mieszkająca w Krzemieńcu. Od zakończenia wojny przez 29 lat była organistką w jedynej czynnej na Wołyniu świątyni katolickiej, przez 38 lat była katechetką. W 1953 r. przejęła obowiązki swojej matki i uczyła polskie dzieci języka ojczy-

stego na podstawie napisanego przez siebie w dwóch zeszytach „Elementarza krzemienieckiego”. Nauka odbywała się oczywiście nie w sowieckiej szkole, lecz w jej domu i była bezpłatna. Sandecką oskarżano o łamanie sowieckiego ustodawstwa, szczęśliwie skończyło się na pogróżkach. Opiekowała się polskimi grobami, w tym grobem Salomei Bécu, matki Juliusza Słowackiego. Jego imię przybrało powstałe w 1990 r. Towarzystwo Odrodzenia Kultury Polskiej. Sandecka była jego współorganizatorem.

„Zabierała głos w sprawie ratowana zabytków polskiej spuścizny kulturalnej w Krzemieńcu, m.in. w sprawie zwrotu i wykorzystania kościoła policealnego i dworku wieszczka, była jedną z inicjatorek powołania Muzeum Juliusza Słowackiego” – napisał Henryk Stroński w jej biogramie. Sandecka mówiła: „Chciałabym, żeby Polacy, nie tylko miejscowi, mieli świadomość, że tu, w Krzemieńcu, jesteśmy u siebie [...]”. No i żeby katecheza naszych polskich dzieci była prowadzona w języku ojczystym”.

Idalia Żyłowska, córka pisarza Józefa Mackiewicza, bezkompromisowego antykomunisty, miała 20 lat, gdy z koleżankami założyła w Wilnie tajne kółko patriotyczne. Studiowano historię Polski, prowadzono dyskusje polityczne. Później kółko powiększyło się o mężczyzn i szczególnie przetrwało przez lata stalinowskie do 1956 r. Wznowiło swoją działalność w 1973 r. i istniało przez następnych 15 lat, do utworzenia legalnego Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego na Litwie. Żyłowska była nauczycielką w Czarnym Borze, gdzie znajdował się jej dom rodzinny.

Nie opuściło Lwowa kilku wybitnych profesorów przedwojennego Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej. Kontynuowali swą działalność naukową na sowieckich uczelniach. Profesor Adam Kuryło kierował aż do 1974 r. katedrą budownictwa. Nie przestawił jednak na swoim zegarku wskazówek na czas moskiewski. Profesor Wilhelm Moser nie ułękł się gróźb, że jeśli będzie chodził do kościoła, to zostanie zwolniony z uczelni, co też nastąpiło. Ale jego studenci wówczas zastrajkowali i naukowiec został przywrócony do pracy.

Wraz z prof. Moserem została we Lwowie jego córka Teresa. Wyszła za mąż za Stanisława Adamskiego, uczestnika akcji „Burza” we Lwowie, więzionego później przez trzy lata. Adamski wraz z ks. Rafa-



**„ZOSTALI NA WSCHODZIE.
SŁOWNIK INTELIGENCJI
POLSKIEJ W ZSRS W LATACH
1945-1991”**

RED. ADAM HLEBOWICZ

IPN

łem Kiernickim, franciszkaninem, założył nieformalną grupę zajmującą się ochroną polskiego dziedzictwa i tożsamości we Lwowie, brał udział w restauracji zniszczonych kościołów. Dom Adamskich stał się prawdziwą redutą polskości we Lwowie. Odbywały się w nim nauka polskiego, spotkania rodaków i prelekcje patriotyczne. Adamski miał ogromne zasługi w uratowaniu archiwum Mieczysława Gębarowicza, wybitnego historyka sztuki, które udało się przewieźć do Wrocławia, do Ossolineum.

Gębarowicz był ostatnim polskim dyrektorem lwowskiego Ossolineum. Z determinacją walczył o to, by jak najwięcej jego zbiorów trafiło do Polski. Dzięki niemu ich część potajemnie została wywieziona. Proponowano mu stanowisko na uniwersytetach we Wrocławiu i Toruniu. Odmówił. Uznał się za strażnika polskiego dziedzictwa we Lwowie, pracował naukowo. W 1963 r. został zmuszony do przejścia na emeryturę. W jego biografii zacytowano stwierdzenie prof. Macieja Matwijowa, autora biografii uczonogo: „Swoją obecność we Lwowie uważał za spełnienie powinności wobec narodu polskiego, ofiarę ze swojego życia, podobną do tej, jaką żołnierze składają w obronie kraju, mimo braku pełnego przekonania o jej celowości”.

Podobną rolę odgrywał w Wilnie Jerzy Orda, historyk i archiwista. W 1949 r. zwolniono go z pracy w centralnym archiwum sowieckiej Litwy, gdyż nie chciał nostryfikować polskiego dyplomu, do czego wymagano zdania egzaminu z marksizmu-leninizmu. Po kilku latach jako wybitnego fachowca znów go zatrudniono. Orda służył pomocą naukowcom z Polski. Żeby dostać odpowiednie akta, trzeba było znać numer inwentarza. Te numery podawał właśnie Orda.

Dora Kacnelson, znajoma i współpracowniczka Ordy, wybitna badaczka twórczości polskich pisarzy, także nie skorzystała z możliwości przesiedlenia. „Gdybyśmy wszyscy wyjechali, cały świat pomyślałby z przekonaniem, że tu nigdy nie było Polski” – stwierdziła dobitnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Historyk Putin



Tomasz Stańczyk

Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini tworzą w istocie „trójjedyny naród”. Taka jest teza artykułu prezydenta Władimira Putina „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców”. Autor powołuje się na tysiącletnią wspólną historię, wspólną przestrzeń kulturową i duchową tych narodów. Nie zauważa jednak, że Ukraińców i Rosjan głęboko dzieli to, że ci pierwsi mają – tak jak Polacy – gen wolności, a ci drudzy gen wręcz przeciwny. Gen podległości władzy, wszczepiony im w początkach carskiego samodzierżawia i pielęgnowany przez kolejnych władców Kremla aż do dziś.

Rosyjski prezydent twierdzi, że przed epoką sowiecką nie można mówić o odrębnym narodzie ukraińskim i dopiero za czasów Związku Sowieckiego narodziła się prawdziwa tożsamość ukraińska. Putin ma to zresztą za złe swoim komunistycznym poprzednikom. Zniszczyli oni bowiem ideę „trójjedynego narodu”. W rzeczywistości ukraińska odrębność kształtowała się od kilku stuleci, a ukraińskie odrodzenie narodowe trwało od połowy XIX w. Naród ukraiński nie został stworzony w wiedeńskich gabinetach rządowych, zgodnie z zasadą dziel i rządź. A tak właśnie twierdzi Putin.

Faktem jest, że w latach 20. władze sowieckie prowadziły politykę „korienizacji”, czyli wzmacniania korzeni narodowych Ukraińców. Jednak rosyjski prezydent przemilczał fakt, że Stalin zarządził w końcu drastyczny odwrót od tej polityki, a ci, którzy propagowali ukraińskość w Związku Sowieckim, zostali wymordowani.

Oczywistym dowodem na odrębność narodową Ukraińców przed epoką sowiecką są ich dążenia do utworzenia niezależnego od Rosji państwa podczas pierwszej wojny światowej. Po jej zakończeniu Polska uznawała prawo Ukraińców do niepodległości. Nie zmienia tego faktu to, że Zachodnioukraińska Republika Ludowa przestała istnieć w wyniku przegranej wojny z naszym krajem. Piłsudski proponował podział spornej Galicji Wschodniej pomiędzy Polskę a ZURL. Ukraińscy politycy nie zgodzili się na to i w efekcie zgubili własne państwo.

Putin wskazuje, że Zachodnioukraińska Republika Ludowa i Ukraińska Republika Ludowa były efemerydami, gdyż były zależne od obcych państw. Przemilcza jednak to, że Ukraińska Republika Ludowa, znajdująca się w sojuszu z Polską, została zniszczona przez Armię Czerwoną w tym samym 1920 r., w którym bolszewicy żołnierze dotarli na przedpola Warszawy. Gdyby nie zwycięskie dla Polaków Bitwa Warszawska i bitwa niemeńska, Rosja mówiłaby dziś nie tylko o efemerycznym państwie ukraińskim, lecz także o polskim.

Przesłanie artykułu prezydenta Rosji do Ukraińców jest jasne: państwo ukraińskie – a więc również i dzisiejsze – jeśli nie ma być jedynie tymczasowe, to nie może wiązać się z „obcymi” (czytaj: Zachodem), lecz ze „swoimi” (czyli Rosją). I tylko Rosja może zapewnić pomyślny rozwój Ukraińcom.

Długi proces historyczny stworzył odrębny od Rosjan naród ukraiński. Kształtował się on także w opozycji do Rosji, carskiej i komunistycznej. Po rosyjskiej agresji sprzed kilku lat, której efektem była aneksja Krymu i przejście kontroli nad Donieckiem i Ługańskiem, tym bardziej nie można się spodziewać, że putinowska idea „trójjedynego narodu” oraz przypominanie historycznej jedności Rosjan i Ukraińców znajdzie akceptację nad Dnieprem i Dniestrem. © ©

Wódz Galów oddaje się
w niewolę Cezarowi pod Alezją.
Obraz Lionela Royera FOT. WIKIPEDIA

52 r. p.n.e. / Jak Cezar pokonał Wercyngetoryksa

Kres Galów pod Alezją

Na początku II w. p.n.e. – po paru stuleciach walk z celtyckimi plemionami, zwanymi Galami – Rzym zajął ziemie nad Padem, stanowiące obecnie północne Włochy, a wtedy znane jako Galia Przedalpejska (Gallia Cisalpina). Z kolei prowincję w południowo-wschodniej części Galii za Alpami, obejmującą Langwedocję i Prowansję (Provincia Nostra), utworzono po podbojach w końcu II w. p.n.e., a zarządzano nią z Narbony (stąd nazwa: Galia Narbońska). Pozostałe, rozległe krainy zamieszkałe przez plemiona celtyckie, rozciągające się od Pirenejów do Renu i sięgające wybrzeży Atlantyku nazwane przez Rzymian Galią Zaalpejską (Gallia Transalpina), pozostały w rękach galijskich plemion aż do połowy I w. p.n.e.

Wtedy to zainteresował się nimi popularny arystokrata Gajusz Juliusz Cezar (100–44 r. p.n.e.), który w 60 r. p.n.e. zawiązał z Pompejuszem i Krassusem triumwirat faktycznie rządzący rzymską republiką. W następnym roku obwołano go konsulem, a gdy zakończył roczne sprawowanie konsulatu, senat – zgodnie



Maciej Rosalak

/ Cezar sam stawał w szeregu lub pojawieniem się w swym purpurowym płaszczu rozgrzewał podkomendnych do boju...

ze zwyczajem – powierzył mu namiestnictwo jednej z prowincji. Była to macierzysta Italia, co wydawało się niezmiernie zaszczytne, ale faktycznie pozbawiało go prawdziwej władzy, dochodów i rozporządzania wojskiem, bo w Italii nie mogło ono stacjonować. Cezar nie dał się nabrać i zażądał – pod groźbą odwołania się do popierających go komicjów ludowych – przyznania mu namiestnictwa Galii Przedalpejskiej oraz Galii Narbońskiej, co dawało mu możliwości organizacji wypraw wojennych. I tak w 58 r. p.n.e. został namiestnikiem Galii przed i za Alpami.

Cezar zdobywca

Swe pamiętniki „Commentarii de bello Gallico” („Pamiętniki o wojnie galijskiej”)

zaczął od znanego zdania: „Gallia est omnis divisa in partes tres”. Wbrew stwierdzeniu autora, Galia Zaalpejska nie była złożona tylko z trzech części: Akwitańczyków na południowym zachodzie obszaru, Belgów na zachodzie północnym i całej ogromnej reszty celtyckiej po środku i po bokach. Były to dziesiątki plemion połączonych narzeczami jednego języka, podobnymi zwyczajami i wierzeniami oraz zbliżoną strukturą społeczeństw zarządzanych przez swego rodzaju arystokratyczne elity wraz z druidami, łączącymi funkcje animistycznych kapłanów, wróżów i sędziów.

Galowie mieli poczucie wspólnoty, ale nie utworzyli jednego organizmu politycznego i byli od tego bardzo jeszcze dalecy. Niejednokrotnie najeżdżali celtyckich sąsiadów z pomocą obcych – groź-

nych sąsiadów germańskich. Ci chętnie korzystali z zaproszenia, ale potem – jak w latach 58 oraz 56–55 p.n.e. – trudno ich było wyprosić.

W 58 r. p.n.e. za pretekst wyprowadzenia do boju kohort jednego przysługującego mu wtedy legionu oraz oddziałów z wprowadzonego przezeń narbońskiego naboru, posłużył fakt naruszenia rzymskiego terytorium przez celtyckich Helwetów, którzy postanowili przenieść się w pobliże oceanu. Starcia z Helwetami zakończyły się ich pogromem pod Birbrakte. Jeszcze w tym samym roku przyszła kolej na germańskich Swebów króla Ariowista, który przekroczył Ren, interweniował zbrojnie w konfliktach plemion galijskich Sekwanów i Eduów, a następnie podporządkował je sobie. Germańsko-rzymska konfrontacja zakończyła się jednak wielkim zwycięstwem nad Arowistem u stóp Wogezów. Rzymski wódz zyskał poważanie w całej Galii.

W 57 r. p.n.e. – mając pod komendą już osiem legionów – Cezar podbił plemiona Belgów, których uznał za „najdzielniejszych ze wszystkich, bo żyją najdalej od świata cywilizowanego”. W okrutnej i zaciętej wojnie z trudem wygrał w końcu nad rzeką Sabis (sam wódz musiał w krytycznym momencie walczyć jak prosty żołnierz).

Odnawione przezeń w 56 r. p.n.e. porozumienie z Krassusem i Pompejuszem dało mu możliwość przedłużenia namiestnictwa w Galii o dalsze pięć lat i prowadzenia kolejnych wojen na lądzie i morzu z Wenetami i innymi plemionami osiedlonymi nad Atlantykiem. Zbudował flotę u ujścia Loary i w zatoce Quiberon lekkie galery rzymskie zwyciężyły w starciu z potężnymi, ale wolnymi jednostkami galijskimi.

W ciągu 55 r. p.n.e. najpierw pokonał germańskich najeźdźców w Galii, a następnie sam wyprowadził się za Ren po moście, który Rzymianie w 10 dni postawili w okolicach dzisiejszej Koblenck. Dostatecznie tym Germanów wystraszył. Jedni błagali o pokój, inni uciekli w lasy. W tymże jeszcze roku zorganizował pierwszą wyprawę za dzisiejszy kanał La Manche, by dać nauczkę Brytom udzielającym schronienia galijskim uciekinierom. Wyładował dzięki katapultom, których pociski odgoniły Brytów od plaży. Mimo wiatrów, które uniemożliwiły przybycie jazdy, zniszczeniu trans-

portowców i uszkodzeniu licznych okrętów wojennych bitwę z wyspiarzami wygrał.

Po roku ruszyła ogromna wyprawa na 800 okrętach z pięcioma legionami i jazdą. Cezar nie zdołał jednak zrealizować swego zamierzenia: rozbicia do końca brytyjskich sił i podboju kraju. Skorzystał z pierwszej okazji, by zawrzeć honorowy pokój i wrócić na kontynent jako zwycięzca.

W latach 54–53 p.n.e. trwa rebelia Eburonów w północno-wschodniej Galii pod wodzą Ambioriksa. Ich zwycięstwa w pierwszej fazie zakończyły się rzezią rzymskiego legionu pod Adatuką oraz ciężkim oblężeniem Namurcum. Gdy Cezar dowiedział się o buncie, w błyskawicznej odsieczy pobił Eburonów i oswobodził oblężonych. Następnego roku całkowicie rozbił Eburonów. Plemię rozproszyło się po lasach, gdzie inni, poszczuci przez Cezara Galowie wybijali ich i łupili.

Cezar stosował z rozmysłem okrucieństwo (nawet ludobójcze masakry ludności) wobec opornych, ale i wspaniałomyślność wobec okazujących uległość. Łączył stosowanie zasady divide et impera z wyjątkowym talentem i doświadczeniem militarnym. Zimno wykorzystywał przewagę organizacji, uzbrojenia i taktyki legionów, ale i swe niekłamane męstwo, inteligencję oraz charyzmę. Wszystkie te przymioty składały się na niebywałe zwycięstwa Cezara, stającego się w oczach rodaków ucieleśnieniem ideału Rzymianina. Ale oto z początkiem 52 r. p.n.e. na scenę wkroczył Wercyngetoryks...

„Nadwojownik” z Owernii

Stał się on ucieleśnieniem ideału Gala. Pochodził z plemienia Arwenów mieszkającego nad górną Loarą (dzisiejsza Owernia w Masywie Centralnym), skupionego wokół grodu-twierdzy Gergowii. W wieku 12 lat Wercyngetoryksa wy-



Rzymski pomnik Juliusza Cezara

FOT. ADOBE STOCK

ślano do szkoły druidów, gdzie uczył się nie tylko czytania i pisania (również po grecku), lecz także dawnych pieśni sławiących galijskich bohaterów. Od 16. do 21. roku życia specjalna kasta kobiet – jak gdyby galijskich amazonek – uczyła go władania mieczem i toporem oraz sztuki miłości. Mając 25 lat, jako arystokrata trafił w 57 r. p.n.e. do rady wojskowej w armii Cezara.

Sporo dowiedział się wtedy o organizacji i taktyce rzymskiego wojska, ale też napatrzył się okrucieństw, mordów i rabunków dokonywanych przez to wojsko. Z goryczą opuścił rzymskie szeregi po kilku miesiącach. Zwycięstwo Eburonów pod Adatuką, a następnie (52 r. p.n.e.) wystąpienie Karnutów nad środkową Loarą, którzy w Awarikum (dzisiejsze Bourges) wymordowali kupców rzymskich i zdobyli magazyny zbożowe legionów, sprawiły, że – jak Galia długa i szeroka – rozpałała się żądza celtyckiego odwetu na okupantach.

Gdy Wercyngetoryks wrócił wraz ze zwolennikami na początku marca 52 r. p.n.e. do Gregowii, skąd dopiero co wygnano go pod zarzutem antyrzymskiej agitacji, ludność obwołała go królem. Pokonał przeciwników i stanął na czele powstania, które sam ogłosił. Wiadomość o tym błyskawicznie obiegła galijskie krainy. Przysięgę wierności na swe sztandary bojowe – jedną z największych świętości Galów – złożyli mu wodzowie i naczelnicy ponad 40 plemion. Niespotykane dotąd zjednoczenie Galów stało się faktem.

Cezar już na wieść o rzezi rzymskich kupców w Awaricum zrozumiał, co się święci. Natychmiast przekroczył Alpy i szedł przez Galię jak gradowa burza, zmierzając ku buntownicznemu miastu, by pomścić zamordowanych kupców. Ale Wercyngetoryks wiedział, czym grozi marsz Cezara. Rozkazał palić wszystkie miejscowości na jego drodze, aby pobawić legionistów zaopatrzenia w żywność. Awaricum nie zostało jednak spalone, bo mieszkańcy na kolanach wyłagali u Wercyngetoryksa litość.

Do tej pory dwukrotnie dochodziło do potyczek obu stron: raz Rzymianie, a raz Galowie byli górą. Pod Awaricum, gdzie Cezar dotarł i rozpoczął regularne oblężenie w stylu rzymskim, z machinami oblężniczymi i budową rampy przy najbardziej dostępnym podejściu, wódz Galów rozmieścił powstańcze wojska w pobliżu i szarpał najeźdźców. Bezskutecznie. W końcu obrońcy miasta postanowili z niego wyjść i połączyć się z rodakami. Lament kobiet, które nie chciały wypuścić mężczyzn, zaalarmował wrogów, którzy skorzystali z zamieszania, wdarli się rampą do grodu i urządzili swoim zwyczajem rzeź. Nie oszczędzali kobiet, dzieci i starców. Zamordowali 40 tys. ludzi i tylko 800 przedarło się do swoich. Miasto spalił.

Za drugim razem wódz sam polecił bronić rodzinnej Gergowii. I miał rację. Cezar ruszył tu na czele sześciu legionów, ale zdobywcę z marszu miasta położonego na stromych zboczach, do którego jedyne łagodniejsze podejście blokowały wojska Wercyngetoryksa, okazało się niemożliwe. Nagły atak Galów z tyłu i od lewej flanki zaskoczył wdzierających się już na mury Rzymian, siejąc panikę i śmierć w ich szeregach. 700 Rzymian poległo w pułapce i Cezar jak nie pyszny odstąpił od Gergowii, ponosząc pierwszą tak wielką porażkę.

Kiedy uchodził w kierunku Galii Narbońskiej, powstańcy zaskoczyli go i byli bliscy zadać mu klęskę uderzeniem jazdy nad Saoną. Nagle podjął wtedy jedną ze swych niecodziennych decyzji. Otóż kazał oficerom rzymskim oddać ich wspianiałe konie, aby mogli przesiąść się na nie znakomici kawalerzyści – najemni Germanie, dosiadający dotąd kuców. Ci odgonili Galów od rzymskiego taboru, a piechota zdążyła sformować szyki. Wercyngetoryks uszedł i, ścigany przez Rzymian, ruszył ku najbliższemu miastu. Była nim stolica plemienia Mandubiów, na terenie dzisiejszej Burgundii. Nazywała się Alezja.

Po wschodniej stronie wznosił się płaskowyż z górą Penneville, a po zachodniej – dość rozległa równina. Cezar dotarł tu z początkiem września i kazał otoczyć gród wałem wewnętrznym od strony Alezji, pod którą rozłożyły się wojska Wercyngetoryksa, oraz zewnętrznym dla ochrony przed odsieczą. Obydwa łącznie liczyły ponad 20 km. Ponadto zaplanowano osiem obozów, 24 forty, dwie fosy i liczne pułapki z ostrokołami. Rzymianie byli mistrzami prac fortyfikacyjnych; narzędzia mieli ze sobą, a drzewa ścinali w okolicznych lasach.

Gdy wódz Galów ujrzał szybki postęp robót, uderzył na równinie. Bez powodzenia. Nocą zaatakowała jazda galijska i udało się jej przedrzeć się przez linie wroga, a pozostałe oddziały schroniły się za murami. Wódz skonfiskował bydło i wszystkie zapasy żywności dla zbrojnych, czym skazał kobiety, dzieci i starców na śmierć głodową. Wygnał ich za mury, licząc, że zaopiekują nimi Rzymianie, ale oni – choć rozpaczliwy lament matek patrzących na swe konające dzieci szarpał im nerwy i nie pozwalał spać – nie mieli litości. Brutalnie odpędzono je od wałów Rzymian do murów Galów i z powrotem, aż umierały wraz z dziećmi...

Wreszcie pod koniec września nadiągnęła ćwierćmilionowa – wedle Cezara – odsiecz, złożona z pospolitego ruszenia 43 plemion galijskich, źle uzbrojona i niewyszkolona. Jazda złożona z arystokracji liczyła

8 tys. To nieobliczalne wojsko prowadził Kommiusz, zasłużony w wojnach brytyjskich dla Cezara, który z pewnym żalem i szacunkiem tak wyraził się o takich jak on, którzy przystali do Wercyngetoryksa: „Tak powszechne było w całej Galii pragnienie wolności i odzyskania dawnej chwały wojennej, że nie poruszała ich pamięć ani o dobrodziejstwach, ani o przyjaźni”.

Chmary Galów z początku rozproszyły oddziały Rzymian na równinie z zewnątrz wałów, a wypad od wewnętrznej strony zniszczył część zasadzek i fortyfikacji. Rodacy, którzy jak w teatrze obserwowali wszystko z murów, powitali te sukcesy z entuzjazmem. Jednak wraz z zachodem słońca Cezar wysłał jazdę germańską, która wyparła wrogów ze zdobytych pozycji. Następną noc do decydującego szturm postanowili wykorzystać Galowie. Tysiące wojowników ruszyły znów na równinę, ale pokodem kładły ich pociski z katapult. Ci z miasta musieli całą noc zmarnować na zasypywanie fos oraz niszczenie wałów i palisad. Galów pokonało więc przede wszystkim inżynieryjne mistrzostwo rzymskich legionistów.

Oni sami znaleźli się kilkakrotnie w krytycznej sytuacji, gdy uderzenia spadły od strony północnej, gdzie fosy i wały biegnęły po zboczach i były bardziej dostępne. Dwa legiony znalazły się tu w okrążeniu. Od południa natomiast to Wercyngetoryks natarł, i to z taką determinacją, że żołnierze rzymscy stamtąd uciekli. Ale Cezar na zagrożone odcinki rzucał kolejne odwoły, sam stał w szeregu lub pojawieniem się w swym purpurowym płaszczu zagrzewał podkomendnych do boju. Straty i bezskuteczne ataki wyczerpały siły i ducha bojowego Galów. Gdy zaś Cezar zażegnał niebezpieczeństwo, wysłał jazdę łukiem na tyły wojsk Kommiusza,

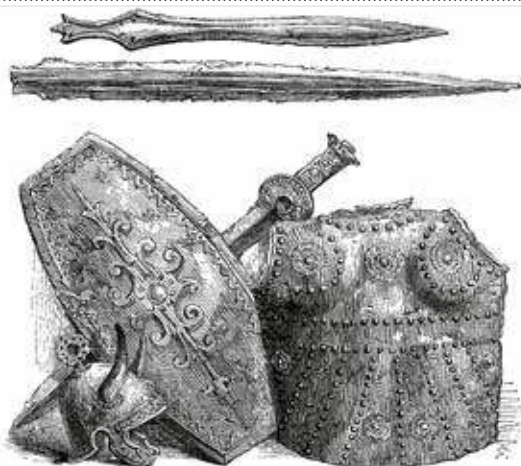
Głód silniejszy niż miecz

Miasto stało na wzgórzu, które od północy i południa opływały rzeki.



Pomnik konny Wercyngetoryksa w Clermont-Ferrand

FOT. ADOBE STOCK



Elementy uzbrojenia Galów (górna ilustracja)
i Rzymian

FOT. ADOBE STOCK

co wywołało ich panikę, ucieczkę i rzeź. Manewr ten przesądził nie tylko o losach bitwy. Pod Alezją przegrała także celtycka Galia.

Wercyngetoryks natychmiast zwołał zgromadzenie resztek oblężonych i pozostawił im do wyboru: czy chcą wydać go Cezarowi żywego czy wcześniej sami go zabiją. Zadecydował za nich rzymski wódz. Dumny Gal trafił do jego niewoli, został wtrącony do lochu, a wywleczony stamtąd w 46 r. p.n.e. szedł w rzymskim triumfie Cezara. Potem – niepotrzebnego już – uduszono.

Rok jeszcze po upadku Alezji trwały walki Rzymian z Galami, okazywanie wspaniałomyślności ukorzonemu i pacyfikacja najbardziej hardych plemion oraz zacięta obrona ostatnich powstańców w górskiej twierdzy Uxellodunum na koniec. I tak z upadku celtyckiej Alezji narodziła się Galia romańska, a z niej – wielka i dumna Francja.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Łzy Anity



Maciej Rosalak

Gdy zabrzmiał „Mazurek Dąbrowskiego”, a na środkowy maszt wciągano biało-czerwoną flagę, w nieumalowanych modrych oczach pod płową czupryną Anity Włodarczyk błysnęła łza i powoli spływała po policzku za medyczną maseczkę. Po raz kolejny, trzeci już, stała na najwyższym stopniu letnich igrzysk olimpijskich ze złotym medalem na piersiach, a jakby to było po raz pierwszy. My, miliony rodaków rozmieszczonych przed telewizorami po domach, być może reagowaliśmy podobnie. Skąd to się bierze: dźwięk niewymyślnych tonów oraz widok najprostszego zestawu dwóch kolorów, a tu te łzy, ściśnięte gardła, kłopoty z artykulacją, mimowolne, trudne do opanowania wzruszenie?

Przecież to nie pierwszy raz. 57 lat temu niewielu Polaków miało telewizory i relacji z igrzysk w Tokio słuchaliśmy na ogół przez radio. Cóż to były za relacje! Cóż za igrzyska! Pamiętam, że walki naszych pięściarzy w olimpijskim finale sprawozdawał wspaniały, niezapomniany krzewiciel miłości do sportu i nienagannej polszczyzny Bohdan Tomaszewski. Gdy doszedł do dekoracji trzeciego z rzędu (!) polskiego zwycięzcy – tym razem w wadze półśredniej – z entuzjazmem opisywał: „Na podium wskoczył nasz pan Marian Kasprzyk, szeroki w ramionach, w biodrach... [tu jakby się chwilę zawahał, ale sumienność sprawozdawcy zwyciężyła]... w biodrach też szeroki!”. I znów słysząc „Mazurek Dąbrowskiego”, i znów Polak najwyżej – jak nieco wcześniej Józef Grudzień w wadze lekkiej i Jerzy Kulew w lekkopółśredniej (Artura Olecha w muszej wyraźnie skrzywdzono, bo też powinni przyznać mu złoto) – na najwyższym podium. Tej relacji radiowej towarzyszyło wzruszenie nie mniejsze, niż dziś wzbudzą transmisje telewizyjne.

Wtedy zresztą radość nad Wisłą potęgował fakt, że wszyscy pokonani przez Polaków w finałach rywale reprezentowali „bratni”, a w wymordowanym i spalonym po Powstaniu Warszawskim mieście szczególnie ukochany Związek Sowiecki. Dokładnie widzieliśmy oczami wyobraźni biało-czerwoną ponad czerwoną z sierpem i młotem. „Dałby Dobry Bóg, żeby tak było rzeczywiście!” – wzdychano.

Dał. Niejeden z nas dożył. Imperium się posypało, a my mogliśmy na przykład w kolejne rocznice Powstania bez obawy zapalać znicze w Dolinie Katyńskiej (na lewo od Gloria Victis) pod krzyżem z datą „1940” – jako rokiem sowieckiego mordu polskich oficerów – a nie „1943”, jak chciała bezpieka na usługach Moskwy, obarczając winą także za ów mord Niemców. Tak się złożyło, że tegoroczne obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego obchodziliśmy (na szczęście bez gwizdów i tęczowych prowokacji) dwa dni przed dekoracją sympatycznej pani Anity na igrzyskach w Tokio. Kiedy patrzyłem na jej wzruszenie, świeżo miałem w pamięci „Mazurek Dąbrowskiego” grany i śpiewany przez setki rodaków na Powązkach Wojskowych i to dojmujące wrażenie, jakie sprawia odgłos fabrycznych syren i kościelnych dzwonów właśnie tam, wśród ciszy stojących szeregi Polaków, których cienie jakby spletały się z cieniami drzew, krzyży i poległych bohaterów. A skąd łzy? Cóż, jak pisał Ignacy Krasicki: „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły pocziwe!”. © ©

Bagnet dla WP



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ W dwudziestoleciu międzywojennym polski przemysł zbrojeniowy produkował – obok innej broni i wyposażenia – także bagnety do karabinów i karabinków

Na początku lat 20. ubiegłego wieku w Wojsku Polskim rozpoczął się żmudny proces związany z ujednoliceniem uzbrojenia i wyposażenia. Mozaika wzorów związana z okresem walk o kształt granic była przeogromna. Dotyczyło to m.in. długiej broni strzeleckiej oraz stosowanych do niej bagnety. Z początku w krakowskiej Zbrojowni nr 2, zlokalizowanej w poaustriackich zakładach artyleryjskich, rozpoczęto wytwarzanie bagnety do austriackich karabinów i karabinków systemu Manlichera. Ostateczny wybór mauzerów jako standardowej broni strzeleckiej w WP sprawił, iż fabrykacji tego wzoru zaniechano po wyprodukowaniu 20 tys. sztuk. Należało czym prędzej wdrożyć

do produkcji bagnet pasujący do broni niemieckiej, tym bardziej że braki były kolosalne.

Na stanie armii znajdowało się blisko 290 tys. poniemieckich kb/kbk systemu 98 oraz rosyjskich Mosinów przerobionych u nas na amunicję 7,92 mm i zaopatrzonych w mauserowską obsadę do bagnety. Brakowało do nich blisko 170 tys. bagnety! Uwzględnivszy rezerwę, niedobór oszacowano na 200 tys. sztuk. Pozostawało pytanie: Jaki to ma być bagnet? Wybór był niełatwy, ponieważ Niemcy używali wielu rozmaitych modeli różniących się konstrukcją, a nade wszystko długością głowni. Pod koniec pierwszej wojny światowej królowały jednak dwa – wz. 98/05 o 375 mm głowni oraz krótki wz. 84/98 z głownią 253 mm. Ten pierwszy, z uwagi na im-

ponujące meczetowe ostrze, nazywano popularnie bagnetem liściastym. Drugi z kolei był w pełni nowoczesnym bagnetem nożowym, lżejszym i wygodniejszym, przypominającym współczesne uniwersalne noże/bagnety.

Sprawę wyboru standardowego bagnety przesądziło w 1922 r. Szef Departamentu I Piechoty gen. bryg. Stanisław Wróblewski konkludował: „Wyposażenie piechura w bagnet tak ciężki, jakim jest niemiecki bagnet »liściasty«, uważam w ogóle za zupełnie zbyteczne, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że do walki wręcz przyszedł bardzo rzadko, a nawet w tym wypadku o rezultacie decyduje nie bagnet, ale siły moralne walczącego. Z tego punktu widzenia każdy bagnet należy uważać za przeżytek. Chcąc jednak dać piechurowi do ręki broń białą, która w pewnych wypadkach, np. w walce okopowej, mogłaby okazać się potrzebną, jestem za wyposażeniem piechoty w krótki bagnet jedno lub obosieczny”.

Tym samym niemiecki wz. 84/98 stał się pierwowzorem broni produkowanej w Polsce.

W drugiej połowie 1923 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych zleciło wyprodukowanie 200 tys. sztuk bagnety wz. 98. Połowa przypadła Zbrojowni nr 2 w Krakowie, zaś druga „setka” prywatnej warszawskiej wytwórni „Perkun”. Krakowski bagnet, ochrzczony z czasem wz. 22, okazał się nieudany i po ukończeniu zamówionej partii produkcja w Zbrojowni nr 2 nie była już kontynuowana. Bagnet wytwarzany równolegle w warszawskim „Perkunie” (wz. 24, potem wz. 27) okazał się produktem znacznie doskonalszym. Do końca lat 20. polska wersja bagnety do Mausera, podobnie jak i niemiecki pierwowzór, miała tzw. jednopunktowe mocowanie. W rękojeści bagnety znajdował się podłużny kanał odpowiadający szynie (obsadzie) pod spodem lufy karabinu; broń blokowana była sprężynującym zatrzaskiem mieszczącym się w głowicy rękojeści. Nowy wzór (wz. 28/29), którego produkcję uruchomiono także w radomskiej Fabryce Broni, posiadał tzw. pierścień jelca, który przy nakładaniu na karabin nachodził na wylot lufy, zapewniając solidniejsze, dwupunktowe mocowanie (na zdjęciu kondukt żałobny po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego; żołnierze uzbrojeni są w karabinki wz. 98 z nałożonymi bagnetami wz. 24/27). ©



Legion Allobrogów

Formację sformowano w sierpniu 1792 r. w Grenoble. Legion składał się z 14 kompanii lekkiej piechoty (strzelców i karabinierów) tworzących dwa bataliony, trzech kompanii lekkich dragonów i kompanii artylerii. Według etatu liczył 2157 żołnierzy: 680



piechurów, 300 kawalerzystów, 160 artylerzystów i 17 członków sztabu. Ochotnicy pochodzili z południowo-wschodniego, alpejskiego regionu Francji. Geneza Légion des Allobroges (nazwa nawiązywała do starożytnego plemienia galijskiego) sięga kwietnia 1792 r., kiedy francuskie Zgromadzenie Narodowe dekretoowało o tworzeniu legionów wchodzących w skład wojsk nieregularnych. Wzorce czerpano z okresu przedrewolucyjnego.

Przed 1788 r. istniały w armii królewskiej legiony złożone z kompanii lekkiej piechoty (chasseurs à pied – strzelcy piesi) i kawalerii (chasseurs à cheval – strzelcy konni) oraz artylerii. Te kombinowane formacje przeznaczone były do działań samodzielnych, walki w szyku rozproszonym i wpisywały się w ogólnoeuropejską tendencję tworzenia lekkich oddziałów wspierających trzon armii – piechotę liniową. Tworzenie takich oddziałów w ramach rewolucyjnych sił zbrojnych wynikało z dążenia do zagospodarowania rzesz ochotników, na których szkolenie nie było po prostu czasu, jak również posiadania odpowiednich sił do zabezpieczania przemarszów, prowadzenia wojny nieregularnej, partyzanckiej, często na terytorium przeciwnika. Łącznie powstało kilkanaście takich legionów. Allobrogowie wzięli udział m.in. w słynnych walkach o Tulon (1793), podczas których zasłynął pewien niewielki wzrostem kapitan... ©©



Choć koncepcja tego brytyjskiego pojazdu sięga 1940 r. (była związana z katastrofalną porażką w kampanii francuskiej), to w swej dojrzałej postaci pojawił się dosyć późno, w 1943 r. Czołg szybki Mk VIII Cromwell produkowany był w kilku wersjach w latach 1943–1945; szacuje się, że zbudowano ich ponad 2 tys. Najliczniejszą wersją był Cromwell IV uzbrojony w armatę kal. 75 mm. 27,5-tonowy pojazd napędzany był gaźnikowym silnikiem Rolls-Royce Meteor i osiągał prędkość 64 km/h (na utwardzonych drogach). Załogę tworzyło pięciu ludzi, których chronił pancierz grubości od 8 mm do 76 mm. Cromwell uznawany jest za stosunkowo udaną konstrukcję, cechującą się dobrymi właściwościami manewrowymi i niezawodną. Widoczną na pierwszy rzut oka wadą był kanciasty kadłub znacznie obniżający walory defensywne. Z kolei zamontowana w wieży armata była zbyt słaba, by sprostać pancierzom niemieckich czołgów ciężkich. Czołgi w wersji IV trafiły m.in. na uzbrojenie polskiej 1. Dywizji Pancерnej, głównie do pułku rozpoznawczego, czyli 10. Pułku Strzelców Konnych. Walczyły w Normandii, a potem w Belgii i Holandii (na zdjęciu pojazd polskiej dywizji sfotografowany już po zakończeniu wojny). ©©

Broń imperialistów

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego znajdują się militaria bardzo egzotyczne. Nie chodzi wcale o starodawną broń orientálną ani tę pochodzącą z wysp Pacyfiku, ale o uzbrojenie związane z konfliktami toczonymi po 1945 r. w Chinach i Korei. Było ono darem od „bratnich narodów” i trafiło do Polski na początku lat 50., a więc w apogeum stalinizmu. Towarzyszące im opisy są doskonałym świadectwem epoki. Na kolbie jednego z karabinków automatycz-



nych M2 napisano: „Oto jeden z rodzajów broni, w którą imperialiści amerykańscy zaopatrywali kontrrewolucjonistów czangkajskich [Czang Kaj-szek – przywódca nacjonalistów chińskich – przyp. M.M.] w celu mordowania narodu chińskiego, lecz która została zdobyta przez Chińską Armie Ludowo-Wyzwoleńczą. Proszę Pana, Drogi Generale Korczyc, przyjąć

ją na dobrą pamiątkę. Czu Teh, Pekin, w sierpniu 1952 r.”. Generał Korczyc był oficerem Armii Czerwonej przysłanym do Wojska Polskiego w 1944 r. Do 1954 r. był szefem Sztabu Generalnego ludowego Wojska Polskiego. Inny karabinek (na zdjęciu) zdobył mosiężna tabliczka z napisem w języku koreańskim: „Zdobyty przez żołnierzy 123. Pułku 47. Dyw. I Armii przy wyzwoleniu Seulu 1951.I”. ©©

DDT

/ Przeciw insektom, ptakom i ludziom

Środek na komary



Tymoteusz Pawłowski

/ Wakacje na świeżym powietrzu byłyby prawdziwą przyjemnością, gdyby nie komary. Istnieją techniczne możliwości, aby wyeliminować je z tego świata, ale musielibyśmy najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie: Jak wyglądałby świat bez komarów?

Owady można zwalczać na dwa sposoby: truciem i okadzaniem. Do okadzania – naukowcy częściej używają określenia „fumigacja”, mającego mniej kościelnych konotacji – używało się od niepamiętnych czasów siarki, a od XIX w. – toksycznych gazów: bromku metylu, fosforowodoru czy też cyjanowodoru. Fumigacja ma swoje zalety – nie wpływa na fumigowane obiekty – ale ma rów-

nież swoje wady, może bowiem nastąpić jedynie w zamkniętym pomieszczeniu. Można oczywiście fumigować drzewka owocowe, owijając je najpierw w szczelne kokony, ale jest to rozwiązanie drogie i niewygodne.

Najbardziej osławionym fumigantem jest cyjanowodór, którego technologię produkcji opracował wielki niemiecki chemik żydowskiego pochodzenia Fritz Haber. Nowy produkt – nazwany Zyklon B – był bardzo skuteczny prze-

ciwko owadom roznoszącym choroby, stosowano go często do odkażania mundurów i ubrań, szczególnie podczas aktywności ulubionych przez Niemców: przemarszów wojsk oraz przesiedleń ludności. W 1940 r. – z typową dla siebie spostrzegawczością – Niemcy zauważyli, że skoro Zyklon B zabija insekty, to można go wykorzystać do zabijania ludzi. Metodę wypróbowano na 250 romskich dzieciach w Buchenwaldzie, potem zastosowano w innych niemieckich obozach zagłady, m.in. w Auschwitz.

Skuteczna broń

Według niemieckich obliczeń do zabicia 1,5 tys. ludzi trzeba było użyć od 5 do 7 kg Zyklonu B, kosztującego 5 ówczesnych marek za 1 kg (ok. 100 dzisiejszych złotych). Dla ułatwienia zadania trzeba było wyprodukować Zyklon B pozbawiony ostrzegawczego środka zapachowego. Dyrektorzy fabryki, która produkowała taką wersję Zyklonu B, zostali po wojnie

osądzeni i straceni przez Brytyjczyków. Zyklon B produkuje się – i stosuje – do dziś, tylko pod inną nazwą. W Czechach – jako Uragan D2.

Z owadami można poradzić sobie również inaczej: podając im truciznę, która porazi ich system nerwowy i układ mięśniowy. W XIX w. popularne stały się ekstrakty z tytoniu, niektórych chryzantem czy roślin tropikalnych. Miały same zalety i jedną wadę: były bardzo drogie.

W 1939 r. szwajcarski chemik Paul Hermann Müller odkrył, że dichlorodifenylotrichloroetan – zsyntetyzowany jeszcze w 1878 r. – atakuje system nerwowy i powoduje paraliż niemal wszystkich owadów. Za swoje odkrycie Paul Hermann Müller otrzymał w 1948 r. Nagrodę Nobla.

DDT – bo tak powszechnie nazywano nowy środek – był tani i został błyskawicznie wprowadzony do produkcji w Ameryce. Stał się jedną z „cudownych broni”, dzięki której alianci wygrali wojnę światową. DDT zasłużyło się szczególnie w pokonaniu Japonii. Początkowo Japończycy byli uznawani za lepiej przygotowanych do wojny w dżungli od Amerykanów i Brytyjczyków. Nie do końca tak było, po prostu mniej przejmowali się chorobami tropikalnymi. W dżungli – gdzie toczyła się większość walk aliantów z Japończykami – żołnierze błyskawicznie zapadali na choroby przenoszone przez owady: przede wszystkim malarię oraz dengę. Żołnierze alianccy byli wówczas wycofywani na tyły, żołnierze japońscy – na których zdrowie dowódcy nie zwracali uwagi – kontynuowali walkę i wygrywali.

Zmieniło się to po zastosowaniu DDT. Gdy Amerykanie przeszli do kontrofensywy, swoje ataki na japońskie pozycje rozpoczęli od przygotowania artyleryjskiego i lotniczego. Zrzucali wówczas nie tylko bomby i pociski, lecz także DDT. Po wyeliminowaniu komarów, pcheł, pluskiew i wszy rozpoczął się atak lądowy. Okazywało się wówczas, że Japończycy wcale nie są lepiej przygotowani do walki. Podobne było źródło sukcesów Brytyjczyków, którzy DDT obsypali całe Indie i połowę Birmy. DDT znalazło również zastosowanie w Europie: wzorcowym przykładem jest Sardynia, na której żołnierzom amerykańskim tak przeszkadzały komary, że poprosili o wsparcie lotnicze. Bombardowania



Belgijski plakat z lat 40. reklamujący preparat owadobójczy na bazie DDT. FOT. DOMENA PUBLICNA

DDT były bardzo skuteczne i przez wiele lat Sardynia była jedynym miejscem w Europie bez komarów.

Kariera DDT kwitła również po wojnie, choć miała nieco inny wymiar. Amerykanie – a właściwie UNRRA, agencja do spraw pomocy i odbudowy – zasypała Europę DDT, aby zwalczyć insekty niszczące rolnictwo. Gdy UNRRA została w 1947 r. zlikwidowana, w Polsce DDT zaczęto produkować samodzielnie, nadając mu nazwę Azotox.

Cicha wiosna

Tak jak wiele rewolucyjnych specyfików – chociażby szczepionki – tak i DDT stało się bardzo szybko obiektem ataków. Oskarżono go m.in. o to, że wywołuje chorobę Heinego-Medina. Polio jest oczywiście chorobą wirusową, ale w istnienie wirusów niektórym ludziom trudno jest uwierzyć nawet dzisiaj.

W 1962 r. opublikowano książkę „Silent Spring” („Cicha wiosna”), która oskarżała DDT o przyczynienie się do wymierania ptaków. Po drugiej wojnie światowej pogłowia ptaków – zwłaszcza drapieżnych – zaczęło gwałtownie spadać. Zauważano m.in., że ścianki jaj stają się wiotkie i lęgie coraz mniej piskląt. DDT, co prawda, nie było w stanie otruć zwierzęcia kręgowego, ale kumulowało się w skorupkach jajek. Jeśli tylko zakaze się oprysków DDT – brzmiał wniosek – wówczas pogłowia ptaków wróci do przedwojennej normy.

Świat naukowy podzielił się na dwa obozy. Jedni stanęli w obronie DDT. Spośród nich najbardziej interesującą postacią był profesor entomologii J. Gordon Edwards, który wykłady na temat szkodliwości DDT zaczynał od zjedzenia łyżeczki tego specyfiku (dożył 84 lat, zginął podczas wycieczki w górach). Wskazywał, że chociaż stężenie DDT w wiotkich skorupkach było bardzo wysokie, to nie opisano mechanizmów osłabiających skorupki. Innym argumentem obrońców DDT był wzrost – choć powolny – pogłowia ptaków amerykańskich na przełomie lat 50. i 60. Wskazywało to, że za liczebność ptaków odpowiada być może jakiś inny czynnik. Cóż, w XXI w. – gdy od 50. lat nie stosuje się DDT – nadal niektóre ptaki mają wiotkie skorupki i nadal nie jest znany mechanizm, w jaki sposób DDT miałby je niszczyć.

Drugi obóz żądał zaprzestania oprysków DDT. Rachel Carson – autorkę „Silent Spring” – wykreowano na przywódczynię rodzącego się ruchu ekologicznego. Nie miało znaczenia, że jej zainteresowanie DDT narodziło się z powodów czysto finansowych, a książka opierała się przede wszystkim na emocjach – nie zaś na badaniach naukowych. Rachel Carson zmarła dwa lata po wydaniu książki i dyskusja naukowa stała się niemożliwa: wszelkie argumenty były opierane stwierdzeniem: o zmarłych albo dobrze, albo wcale.

Przeciwnicy DDT odnieśli sukces – specyfik został zakazany. W Stanach Zjednoczonych w 1972 r., Wielkiej Brytanii w 1984 r. Polska przestała stosować Azotox w 1976 r. W krajach rozwiniętych DDT został zastąpiony przez inne insektycydy, a Europejczycy i Amerykanie zdołali za jego pomocą zwalczyć malarię.

W krajach mniej rozwiniętych malaria nadal zbiera swoje żniwo. Co prawda, w latach 50. liczbę zachorowań zdołano za pomocą DDT ograniczyć kilkanaście tysięcy razy, a gdy zakazano DDT – liczba zachorowań znów wzrosła o te kilkanaście tysięcy razy. Znów więc zaczęto używać DDT, ale już nie pod odkrytym niebem – gdzie specyfik mógłby zaszkodzić ptakom – tylko wewnątrz pomieszczeń. Liczba zachorowań spadała kilkakrotnie. Na malarię zapadają obecnie setki milionów ludzi rocznie, pół miliona – umiera. Czy gdyby nie zakazano DDT, to świat wyglądałby inaczej?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

KRÓL ZYGMUNT AUGUST W 1571 R. ZAPISAŁ CAŁĄ KOLEKCJĘ ARRASÓW SKARBOWI RZECZPOSPOLITEJ, POWIERZAJĄC PIECZĘ NAD NIĄ SEJMOWI. ZBIÓR TEN LICZYŁ WÓWczas 350 EGZEMPLARZY, JEDNAK W KOLEJNYM WIEKU ZMNIJSZYŁ SIĘ W WYNIKU POTOPI SZWEDZKIEGO, A W 1795 R. CAŁOŚĆ ZOSTAŁA WYWIEJONĄ DO ROSJI. WIĘKSZOŚĆ TYCH, KTÓRE SIĘ ZACHOWAŁY ODZYSKANO W 1921 R. NA MOCY TRAKTATU RYSKIEGO. WRÓCIŁY NA WAWEL, GDZIE PODDAŁO JE ZABIEGOM KONSERWATORSKIM, BOHIERM ZNAČNA CZĘŚĆ BYŁA MOCNO ZNISZCZONA I POCIĘTA.

OPIEKĘ NAD ZBIOREM W KANADZIE SPRAWOWALI DWAJ PRZEDWOJENNI PRACOWNICY MUZEUM NA WAWELU: KUSTOŚZ STANISŁAW ŚWIERZ-ZAŁEŚKI ORAZ ARCHITEKT JÓZEF KRZYWDA-POLKOWSKI.

MUSIMY PRZENIEŚĆ KOLEKCJĘ Z BANKU W OTTAWIE. JEŚLI ARRASY MIAŁYBY TERAZ WRÓCIĆ DO KRAJU, WPADNĄ W RĘCE KOMUNISTÓW I MOCĄ TRAFIĆ DO ZWIĄZKU RADZIECKIEGO.

POD KONIEC SIERNIA 1939 R. ROZPOCZĘTO DZIAŁANIA ABY ZABEZPIECZYĆ ÓW SKARB NARODOWY NA WYPADEK NIEMIECKIEJ INWAZJI. 3 WRZESNIA WIECZOREM SKRZYNIĘ Z ARRASAMI I INNYMI CENNYMI PRZEDMIOTAMI Z WAWELU, W TYM MIECZEM KORONACYJNYM - SZCZERBCEM, BARKĄ WĘGLOWĄ PRZETRASPORTOWANO DO KAZIMIERZA. STAMTĄD CHŁOPSKIMI WOZAMI DO TOMASZOWIC, A NASTĘPNIE CIĘŻARÓWKAMI PRZEWIEJONO JE DO RUMUNII, BY W KOŃCU TRAFIŁY DO FRANCJI. JEDNAK PO INWAZJI NIEMIECKIEJ NA TEN KRAJ, PODJĘTO DECYZJĘ O POŚPIESZNEJ EWAKUACJI ZBIORU DO WIELKIEJ BRYTANII, A STAMTĄD DO KANADY, GDZIE DOTARŁ NA POKŁADZIE STATKU MS „BATORY” 12 LIPCA 1940 R.



UKRYJEMY JE W KLASZTORACH, POLONIA NAM W TYM POMOŻE.

DOPIERO KILKANAŚCIE LAT PÓŹNIEJ ZA SPRAWĄ DYREKTORA WAWELSKIEGO MUZEUM - JERZEGO SZABLŃSKIEGO, UDAŁO SIĘ DOPROWADZIĆ DO POROZUMIENIA W SPRAWIE POWROTU KOLEKCJI DO KRAKOWA. ARRASY DO POLSKI PRZETRASPORTOWANO NA POKŁADZIE STATKU „KRYNICA”.



PANIE DYREKTORZE, ROZMAWIAŁEM Z POLSKIM RADIEM. POWIEDZIAŁEM, ŻE CAŁY CZAS KTOŚ TU PRZEBYWA, ZAŁAGA DO TYCH SKARBÓW, NIE MA WIĘC NAJMNIEJSZEJ OBawy, ŻE COŚ IM SIĘ STANIE, NAWET PRZY SZTORMOWIEJ POCODZIE.

DOBRE, BARDZO DOBRE...

16 STYCZNIA 1961 R. WYŁADOWANO JE W PORCIE W Gdyni.



SKĄD POCIĄGIEM RUSZYŁY W PODRÓŻ PRZEZ KRAJ...



opracowanie i jasiński 2011

...BY 19 STYCZNIA TRAFIĆ DO KRAKOWA, GDZIE POWITANO JE BICIEM DZWONU ZYGMUNT.



W 2021 R. Z OKAZJĄ 60. ROCZNICY POWROTU NA WAWEL, MOŻNA OGŁAĐAĆ CAŁĄ KOLEKCJĘ W RAMACH WYSTAWY „WSZYSTKIE ARRASY KRÓLA”, KTÓRA BĘDZIE OTWARTA DO 31 PAŹDZIERNIKA.

/ Felieton

25 lat LTW



**Sławomir
Cenckiewicz**

Mój Boże! Ćwierć wieku historii Polski! Powstali w czasie rządów postkomunistów i na początku pierwszej kadencji prezydentury Kwaśniewskiego, a świętują pod koniec drugiej kadencji rządów „dobrej zmiany” i na początku reelekcji prezydenta Dudy. Ileż wydarzeń, zmian, zwrotów akcji, przełomów, ludzi, tych nowo poznanych i tych, którzy odeszli w przeszłość... Ileż wydanych książek, poznanych autorów, sukcesów, przeżyć, podróży, nagród i wyróżnień...

Za tym, co banalne, kronikarskie i ludzkie, kryje się jednak misja. Tak! Mariolka i Marek Jastrzębscy 25 lat temu podjęli się misji – trudnej, może nawet straceńczej, bo z góry skazanej na klęskę, czego świadkami obecnie wszyscy jesteśmy. Książka tożsamościowa stała się szczególną ofiarą cywilizacji barbarzyństwa. Dziś z „inteligentkiej” gazety codziennej bije po oczach lead o „fałszywym kulcie czytelnictwa” i quasi-apel, abyśmy „nie dali sobie wmówić, że jeśli nie czytamy książek, to jesteśmy gorsi”. Skoro zatem nie tylko nieoczytanie, lecz także nawet nieczytanie może się stać powodem do wyróżnienia (a może i dumy), to podjęta przed

dać. Klęska Wydawców z pasją. Klęska dzieł bez komercji. Klęska bez dotacji. Klęska... Nasza wspólna klęska, która upomina się o to wszystko, co z definicji skazane na klęskę! I nie ma w niej niczego z moralnego zwycięstwa. Nie ma tu pobjawiska, nie ma ofiar, nie ma ruin, nie ma cikliwych wspomnień, nie ma więc Herbertowskiego „plecaka pełnego klęsk” ani „krzepiącej wiedzy, że jesteście – sami”. Jest to za to Giedroyciowska klęska „obrony spraw przegranych” lub jeszcze inaczej: klęska Wydawnictwa LTW jest klęską urodzaju na ziemi pełnej kąkol, który z wiosny na wiosnę wypiera zboże. Oto nowa definicja „klęski”.

Mariolko! Marku!

Daliście mi niezapomnianą chwilę radości związanej z wydaniem u Was pierwszej autorskiej monografii poświęconej Tadeuszowi Katelbachowi. To się na zawsze pamięta, jak pierwszą miłość, jak narodziny pierwszego dziecka... Ale byłoby nietaktem pamiętać jedynie rok 2005 i przecięcie się naszych dróg. Tych radości z narodzin kolejnych książek u Was wydanych było przecież więcej. Największym jednak zaszczytem jest być Waszym autorem. Stać w łańcuchu pokoleń, w orszaku świadectw, w szeregu pisarzy, których imiona wzbudzają jedynie uległość i lęk przed niezmierzoną wielkością. Pawlikowski, Mackiewicz, Wierzyński, Zbyszewski, Skiński, Siemiaszko, Katelbach, Malczewski, Bobkowski, Hemar, Matuszewski, Konarski, Malczewski, Raczyński, Piasecki, Ossendowski, ale i Wieczorkiewicz, Wyszowski, Gałęzowski, Urbanowski, Kowalski, Tarka, Rybarczyk... i ja! Cóż za honor, cóż za niesprawiedliwość! Dziękuję.

Kochani!

W gruncie rzeczy osiągnęliście dopiero wiek w pełni dorosły, ale do Chrystusowej dojrzałości brakuje Wam blisko dekady, nie mówiąc już o mądrości biblijnego Nikodema czy Józefa z Arymatei. A zatem wiele jeszcze przed Wami. Chciałoby się powiedzieć: jeszcze wiele „klęsk” przed Wami! Ile bym dał za to, żebym mógł w nich po trosze uczestniczyć i ja. ©©

Nie ma tu pobjawiska, nie ma Herbertowskiego „plecaka pełnego klęsk”. Jest za to Giedroyciowska klęska „obrony spraw przegranych”

ćwierćwieczem misja LTW okazała się sromotną klęską!

Klęsk nie znoszę, klęskami gardzę i klęski się brzydzę. Poza jedną: klęską LTW! Bo ta klęska jest wyjątkowa wśród klęsk. Jedyna taka klęska na świecie! Klęska, która smakuje słodczą zwycięstwa. Klęska książki nie dla każdego. Klęska książki, która nie trafia pod strzechę. Klęska książki ambitnej. Klęska autorów przywróconych z otchłani niepamięci. Klęska pisarzy niechcianych. Klęska pisarzy skazanych na zapomnienie. Klęska książek, których nikt inny nie chce wy-

Odbudowa Pałacu Saskiego w Warszawie



Wspólnie odbudujemy to,
co nigdy nie powinno być zniszczone



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

niepodległa



Projekt finansowany ze środków budżetu Państwa, w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości